

Pełna napięcia, niedomówień i zażyłości historia, która zabierze Was w niezapomnianą przygodę do XVI-wiecznej Szkocji. Anna Tuziak powraca z kontynuacją historii, która pochłonie Was bez reszty.

Riva Scott, autorka

SZKOCKA DIABLICA

Deja Vu
TOM II

ANNA TUZIAK



ANNA TUZIAK

SZKOCKA DIABLICA

Deja Vu
TOM II



*Dla mojego syna, Kacpra
Teraz Ty...*



Rozdział 1 Ervin



Patrząc na Vanorę, Gaston uśmiechał się pobłażliwie, chcąc ukryć rozbawienie wywołane jej zachowaniem przy stole. Ubrana w sukienkę i z ułożonymi w skomplikowany węzeł włosami wyglądała nieco komicznie. Co chwila przewracając oczami, drapała się po głowie i zniecierpliwiona wzdychała niczym mała dziewczynka. Dzisiejszego wieczoru ucztą miała wyjątkowy przebieg. Na zamku gościły ważne osobistości i stary Angus poprosił Vanorę, aby ubrała się nieco bardziej kobieco.

– Myślisz, że możemy już odejść od stołu? – rozbrzmiał jej szept, w którym wyczuł nutkę desperacji.
– Jestem przekonany, że jeszcze nie – odparł konspiracyjnie. Już za moment poczuł silne kopnięcie w kostkę.
– Po namyśle dochodzę do wniosku, że jesteście tu wystarczająco długo.
– Skoro nalegasz – oznajmiła z zadowoleniem, na co westchnął zrezygnowany.
– Śmiem przypuszczać, że nie przypadkiem siedzimy w miejscu, skąd możemy oddalić się niepostrzeżenie.

– Nie mam z tym absolutnie nic wspólnego i nie rozumiem, skąd u ciebie takie przypuszczenia. – Zrobiła niewinną minę, a on parsknął śmiechem.

– Wybacz, Vanoro, sam nie wiem, dlaczego tak pomyślałem.

– Wybaczam, a teraz, za pozwoleniem, rusz tyłek, zanim mój ojciec wzniesie kolejny toast.

Po kilku minutach znaleźli się na dziedzińcu. Dziewczyna podążała w stronę izby czeladnej przyspieszonym krokiem, jakby w obawie, że ktoś ją zawoła i będzie musiała wrócić do stołu. Po drodze rozplatała włosy, ale szło jej to niezbyt wprawnie. Zniecierpliwiona, co chwilę szemrała pod nosem przekleństwa.

– Tu jesteście – oznajmił zdyszonym głosem Luthias. – Wszędzie was szukałem.

– Więc już znalazłeś – mruknęła niezadowolona.

– Wiem coś, co powinno cię zainteresować, Vanoro – powiedział zadowolony.

– Mów zatem.

– Wyobraź sobie, że...

– Proszę, proszę, ma siostrzyczka jak zawsze wśród swych umiłowanych druhów. – Usłyszeli i odwrócili się w tył. Ich wzrok spoczął na podchodzącym do nich młodym chłopaku. Był bardzo wysoki oraz szczupły. Miał krótko ostrzyżone blond włosy i jasnoniebieskie oczy. Nie ulegało wątpliwości, że złamał niejedno serce.

Gaston ujrzał, jaka zmiana następuje w stojącej obok niego Vanorze, gdy tylko dostrzegła młodzieńca. Cała złość i irytacja zniknęły, a ona sama wpatrywała się w przybyłego z czułością oraz radością. Na pierwszy rzut oka widać było, że chłopak jest dla niej kimś ważnym.

– Ervin!... Nie wiedziałam, że przybyłeś – wyszeptła uradowanym głosem na widok brata. – Tak bardzo się cieszę, że jesteś.

Gaston uśmiechnął się, widząc reakcję przyjaciółki. Na jej twarzy malowało się ogromne uczucie. Zerknął na Luthiasa i zobaczył, że Ervin wzbudził w nim odmienne nastroje. Zupełnie tego nie pojmował, lecz nie musiał długo czekać, by zrozumieć.

– Nie widziałem powodu, aby cię o tym informować, droga siostrzyczko, wszak zajęta byłaś taplaniem się w błocie wraz z resztą ludzi mego ojca. Miałem inne, ważniejsze zajęcie.

– Ronan jest bardziej jej ojcem niż twoim – odparł Luthias. Postąpił krok w przód, lecz Vanora go powstrzymała.

– Tęskniłam za tobą, Ervinie. Gdybym wiedziała, że jesteś w zamku, to...

– Co, siostrze? Co takiego byś zrobiła? – przerwał jej, patrząc na nią ze złością.

– Ty psie! – Złość Luthiasa była już prawie namacalna.

Gaston ujrzał w oczach Vanory łzy i stwierdził, że sytuacja wymyka się spod kontroli. Jej brat wydawał się cholernym skurczybykiem, jednak nie czas teraz nad tym dumać. Musiał ratować sytuację. Choćby ze względu na Vanorę.

– Jestem Gaston de Ponton-a-Mousson. Rad jestem cię poznać – przedstawił się, podchodząc, i wyciągnął do niego dłoń.

– Ktoś ty? – rozbrzmiał chłodny głos blondyna, a Gaston ledwie powstrzymał się, aby nie posłać gnoja do diabła.

– Przybyłem w gościnę do waszego ojca wraz z markizem de la Valette – poinformował.

– Markizem? – zainteresował się chłopak. – Czy twój pan jest w zamku?

– Markiz de la Valette ucztuje właśnie z twym ojcem – odparł spokojnym głosem Gaston.

– Nie jest jego panem! – wykrzyknął doprowadzony do ostateczności Luthias, któremu niewiele już brakowało, aby rzucić się z pięściami na blondyna.

– To markiz. I, o ile się nie mylę, wkrótce zostanie księciem Lotaryngii. Jest zatem jego panem. Tak jak ja jestem twoim i nie radzę ci o tym zapominać – oświadczył z zawiścią.

– Ervinie, proszę... – szepnęła smutno Vanora.

– Nie jesteś moim panem i nigdy nie będziesz! Twój ojciec jeszcze żyje, a gdy odejdziesz, to Vanora zostanie naczelną...

– Moja siostra zostanie czyjąś żoną – wszedł mu w słowo. – Naczelnikiem klanu będę ja! I nie zamierzam...

– Twemu ojcu posłuszni są wszyscy ludzie z klanu, Ervinie. Szanują go i kochają – przerwał mu Gaston. – Jeżeli zasłużyłeś na równe poważanie, będziesz dobrym naczelnikiem.

Chłopak przeniósł na niego wzrok i zmierzył lodowatym spojrzeniem, oceniając, z kim ma do czynienia.

– Nikt nie będzie go słuchał – zaprzeczył Luthias.

– Więc kogo w takim razie będziecie słuchać? Męża Vanory?

– Choćby został nim sam Blane MacLeod, to będzie lepszym naczelnikiem od ciebie – oznajmił Luthias. Gastona coraz bardziej niepokoiło milczenie Vanory.

– Blane MacLeod? – Usłyszeli głos Ervina, a zaraz później jego głośny śmiech. – W takim razie muszę was czymś zadziwić. Ciebie, siostrze, chyba najbardziej.

– Co się stało? – wyszeptwała poruszona.

– Jeżeli upatrzyłeś sobie męża w MacLeodzie, to wiedz, że nie spełnisz swego kaprysu. Ma inną.

– O czym mówisz? – Luthias zastanawiał się, czy to kolejna próba pogwałcenia dziewczyny.

– To francuska szlachcianka. Ponoć wyjątkowo urodziwa i wykształcona. Mówią o niej „francuska kocica”. Mogę jedynie przypuszczać, co jest powodem tego, jakże wymownego określenia, siostrzyczko – oświadczył zawistnie i jakby nigdy nic ruszył w stronę zamku.

Przez chwilę panowało milczenie. Gaston zastanawiał się nad relacjami panującymi między rodzeństwem. Do tej pory słyszał, że jest między nimi konflikt, lecz myślał, że są to raczej drobne sprzeczki siostry i brata. Teraz jednak przekonał się, że to coś poważnego, a Vanora z tego powodu cierpi. Nie mógł obojętnie na to patrzeć, ale w przeciwieństwie do Luthiasa orientował się, że w tym przypadku nie można reagować ani gniewem, ani złością. I choć Ervin budził w nim te same emocje co w Luthiasie, wiedział, że ze względu na Vanorę nie mogą zrobić tego, na co zasłużył ten zadufany w sobie, zawistny gnojek. Widać było na pierwszy rzut oka, że jedyne, czego ten kretyń pragnie, to władza. Gaston czuł, że Ervin może być całkiem sporym problemem, gdyż w przeciwieństwie do Blane'a MacLeoda, Vanora kocha brata i każda krzywda, która mogłaby go spotkać, ją zaboluje najmocniej. To była bardzo kłopotliwa sytuacja.

– Nie możesz mu na to pozwolić, Vanoro! – Luthias z zaciętością wpatrywał się w milczącą dziewczynę. – Nie pozwolę, aby bezkarnie cię obrażał!

– Przestań – przerwała mu zniechęconym głosem. – Niczego takiego nie zrobił.

– Ubliża ci za każdym razem, gdy tylko...

– Powiedział, że MacLeod ma kochankę – przerwał mu Gaston, który widział, że Luthias, choć chciał pomóc, jedynie szkodził. Chłopak był młody i zapalczywy, a Vanorę traktował jak siostrę. – To bardzo istotna informacja. – Chciał odciągnąć ich myśli na inne tory.

– To kłamca. Łgał!

– Wydawał się dość pewny siebie – stwierdził i ujrzał wahanie w oczach chłopaka. – Myślę, że można tę sytuację wykorzystać. – Kuł żelazo, póki gorące.

– Jak chcesz to wykorzystać? Poprosić go, aby podzielił się z tobą swoją kochanicą? – Na twarzy Vanory pojawiło się zniecierpliwienie, a on odetchnął.

– Ma kochankę. Masz zatem powód, aby mu odmówić albo zawrzeć z nim korzystny dla ciebie układ.

– Jaki układ masz na myśli? – zainteresowała się.

– Wasze małżeństwo byłoby jedynie formalnością i mogłabyś wieść osobne życie – wytłumaczył i zobaczył, że patrzy na niego zaintrygowana. Jednak już za moment na jej twarzy pojawił się bunt.

– Mieć męża na pokaz to co innego niż męża sypiającego z inną – odparła bez przekonania.

– Więc albo z nim sypiaj, albo nakaż mu zawiązać supeł na części ciała używanej podczas miłosnego aktu – powiedział, siląc się na delikatność.

– Masz na myśli to coś, czym rżnie swoją francuską kocicę? – Mógł się spodziewać, że Vanora nie jest delikatną młodką.

– Mam na myśli to, że w tej sytuacji możesz wywiązać się z obowiązku i pozostać naczelnikiem klanu. Jeżeli on mieszkałby w Ardvreck wraz z tą kobietą, ty mogłabyś tu...

– Nie pozwolę sobie na to – warknęła, lecz nie wyczuwał w jej głosie stanowczości.

Była wytrącona z równowagi. Nie wiedział, czy większy problem tego stanu to informacja o kochance Blane’a MacLeoda, czy może zachowanie Ervina i to, jak ją potraktował. Czuł, że sprawcą jest jej brat, chociaż pewności nie miał.

– Powinnaś to jeszcze przemyśleć, Vanoro.

Nagle usłyszeli krzyki i na dziedziniec wjechał konno Angus razem z jakimś człowiekiem. Ujrzeli, że mężczyzna jest czymś poruszony. Od razu podążyli w jego stronę.

– Co się dzieje? – zapytała Vanora, gdy tylko zeskoczył z konia.

– Zbierz ludzi. Szybko! – krzyknął do Luthiasa.

– Angusie!

– Klan MacAulayów napadł na wsie klanu MacLeod. Blane już tam jest, ale nie mają zbyt wielu ludzi. Nie wiadomo, jak zachowa się klan MacKenzie. Być może dołączą do MacAulayów. Zbiorę ludzi i ruszę z odsieczą.

– MacLeod jest na miejscu? – zapytała gwałtownie.

– Jest naczelnikiem, musi tam być, Vanoro – oświadczył pośpiesznie.

– Jadę z wami – stwierdziła krótko. – Gaston? – Domyślił się, o co pytała.

– W każdej chwili jestem gotowy do drogi – odpowiedział bez wahania i już po chwili galopowali konno w stronę wsi, gdzie toczyła się bitwa. Dziewczyna jechała w milczeniu z zaciętą miną. Ze zgrozą pomyślał, że Vanora może spróbować zabić Zwierza, a to nie wyglądałoby najlepiej. Mógł jedynie przypuszczać się, co jej chodzi po głowie.

1 *Ervin* – (ze szkoc.) Piękny (przyp. aut.).

2 *Niezgodność*. Między *Ardvreck Castle*, a *Eilean Donan Castle* jest 172 km odległości. Dotarcie na miejsce zajęłoby o wiele więcej czasu niż przewiduje fabuła, dlatego naginam w tym miejscu fakty (przyp. aut.).

Rozdział 2 Najważniejszy element



Momentami Vanora nie potrafiła skupić się na jeździe. Dziękowała w duchu, że ani Gaston, ani nikt inny nie miał teraz możliwości z nią dyskutować. Chaos towarzyszył jej od czasu, gdy ujrzała Ervina. Nie wiedzieć czemu za każdym razem, kiedy go spotykała, wybuchała w niej dzika radość. Chyba liczyła na cud i na to, że chociaż raz nie zachowa się jak ostatni drań i tak po prostu ją przytuli. Zapyta, co u niej słyhać, jak czuje się ojciec i opowie, co działo się u niego od czasu ostatniej wizyty. Niestety jego chorobliwa zazdrość niszczyła ich wzajemne relacje. Przynajmniej tak to sobie tłumaczyła. Że jedynym powodem jego niechęci jest pragnienie zostania naczelnikiem klanu. Ale czy tak naprawdę jedynie o to chodziło? Ervin od zawsze traktował ją z wyższością i pogardą, jakby miał do czynienia z kimś gorszym. Po śmierci matki wrócił, chociaż odnosiła wrażenie, że kieruje nim nie chęć ujżenia rodziny tylko objęcia urzędu. Jednak nawet nie wiedział, na czym to polegało.

Naczelnik klanu nie wydawał rozkazów niczym król, nie miał poddanych jak monarchowie w angielskich zamkach, na których do tej pory gościł Ervin. Stary Angus niedomagał. Podeszły wiek i odniesione rany sprawiały, że nie mógł już udawać się na wyprawy ani spędzać czasu aktywnie. Jednak jego syn, zarzucając siostrze „taplanie się w błocie”, nie zdawał sobie sprawy z tego, że Vanora nie spędza czasu na placu treningowym dla kaprysu. Chciała być w formie, aby radzić sobie w sytuacjach takich jak ta. Musiała być gotowa w każdej chwili bronić ludzi, za których odpowiadała. Pragnęła z nimi przebywać na co dzień, bratać się i zdobywać ich zaufanie oraz przyjaźń. I nie traktowała tego jak obowiązek. Kochała ich.

Gdyby nawet Ervin został naczelnikiem, to i tak całe dni spędzałyby wśród przyjaciół. Nie należała do typowych dziewczyn. Na myśl o tym, jakie życie wiodły kobiety z jej otoczenia, przechodziły ją dreszcze. Nie umiała całymi godzinami upiększać się niczym jej kuzynki. Nie potrafiła gotować, przybory do dziergania były jej wrogiem naturalnym, a na myśl o jakimkolwiek instrumencie muzycznym dostawała torsji. Walka – to jedno przychodziło jej z łatwością, tę jedną rzecz kochała ponad wszystko. Tworzyć jedność z ludźmi, którzy tak jak ona bronili bezpieczeństwa klanu. To było bezcenne.

Czasami myślała o tym, czy nie powinna porozmawiać z ojcem i poprosić go, aby uczynił Ervina naczelnikiem. Spełniłby jego marzenie i być może wtedy chłopak zachowywałby się inaczej. Naprawdę w to wierzyła? Czy myślała, że Ervin kiedykolwiek zachowa się jak syn? Jak brat? Jak przyjaciel? Jak dobry przywódca? W głębi duszy wiedziała, że to nigdy by się nie udało. Widziała, w jaki sposób traktują go ludzie. Wzbudzał powszechną niechęć i, prawdę mówiąc, dawał ku temu powody absolutnie każdemu.

Był zawistny, wyniosły oraz niesprawiedliwy. Wszystkich traktował z góry, jakby był kimś lepszym. Każdemu dawał do zrozumienia, że jest panem i władcą, a pozostali powinni być mu posłuszni i bez słowa protestu wykonywać jego rozkazy. Nie miał świadomości, że to tak nie działało. Vanora wiedziała, że gdyby Ervin został naczelnikiem, nikt nie spełniałby jego poleceń i doszłoby do konfliktu. Do tego nie mogła dopuścić. Do licha – nigdy!

Francuska kocica? I wszystko przybrało inny obrót. Czy to dobrze? Czy Gaston miał rację? Blane MacLeod w zamku Ardvreck z francuską kochanicą, a ona w Eilean Donan ze swymi ludźmi. To mogło zdać egzamin. Potwierdził przybycie, więc nie ulegało wątpliwości, że ma w stosunku do niej plany. Posiadanie nałożnicy równało się ustaleniu układu, ale nie wszystko było takie różowe. Z ich związku musiało narodzić się potomstwo. To konieczność. Czy chciała spać z kimś, kto w łóżku ma inną? Wtedy sama czułaby się jak

kochanka, a to niedopuszczalne. Francuska kocica – ona zmieniała postać rzeczy.

Jechała niczym sam diabeł. Czy aż tak bardzo chciała dopomóc klanowi MacLeod? Czy po prostu ujrzeć owianego złą sławą Zwierza? Zobaczyć go i przekonać się, jaka z niego kanalia. To powinna zrobić, żeby rozwiązać wszystkie wątpliwości. A później Gaston pomoże jej w pozbyciu się tego potwora.

Gdy byli już na miejscu, szybko rozejrzała się po okolicy. Oczy chłonęły widok, który roztaczał się wokół, a serce zabiło żywiej. Klan, walka, ocalenie przyjaciół. Tylko to się teraz liczyło. Zeskoczyła z konia i przyklękła, a następnie zanurzyła dłoń w błocie, którym wymazała policzki. Ubrana jak mężczyzna, ze związanymi włosami i z gliną na twarzy nie przypominała kobiety. I właśnie o to chodziło.

Gaston już z daleka ujrzał ogromną łunę ognia bijącego od palących się chat. Zapadła noc i ciemności jeszcze bardziej potęgowały efekt zjawiska. Poczłł niepokój. Tu wszystko wyglądało inaczej niż na polach bitew, na których do tej pory walczył. Poczłł dezorientację. Fakty przedstawiały się tak, że o ile członków klanu MacCallum znał doskonale, tak tych z klanu MacLeod zupełnie nie rozpoznawał. Kto był wrogiem, a kto sprzymierzeńcem? Zdał sobie sprawę, że czeka go niełatwe zadanie. Spojrzał na Vanorę, która zwinnie zeskoczyła z konia i odesławszy zwierzę w tył, ruszyła przed siebie. Widział, jak podchodzi do jednej z chat i ustawiając się w jej rogu, spogląda na pole bitwy wnikliwym wzrokiem, badając sytuację. Idąc w jej ślady, zeskoczył z wierzchowca. Była zupełnie inna niż na co dzień. Skupiona, poważna i precyzyjna, oceniała wszystko na chłodno. Szybkim ruchem zdjęła przewieszony przez ramię łuk, po czym wyjęła strzałę z kołczanu i wyprowadziła ją w stronę biegnącego na nich człowieka, który padł w połowie drogi.

– Idź za Luthiasem – nakazała, a on od razu pojął, iż zorientowała się w jego rozterce.

Podziękował jej skinieniem głowy i rozejrzał się w poszukiwaniu młodego Szkota. Zobaczył go, jak odpierał ataki dwóch napastników. Bezzwłocznie ruszył w jego stronę i już po chwili obaj zakończyli życie wrogów. Początkowe obawy rozwiąły się wraz z rozwojem walki. Bez rozwodzenia się nad szczegółami po prostu wojował z wrogami swoich przyjaciół.

– Przyjaciół – wymamrotał pod nosem.

Uświadomił sobie coś bardzo ważnego. W tej chwili nie walczył z przeciwnikiem, aby zwyciężyć, aby zabijać i podbijać, a nawet wygrywać. Teraz walczył, aby chronić i wspierać ludzi, na których mu zależało. To takie przedziwne i ekscytujące zarazem.

– Gaston! – Usłyszał wrzask Ivara i obejrzał się za siebie. Pomimo iż kompan chciał go ostrzec, byłoby zbyt późno, gdyby nie topór, który wbił się w czaszkę atakującego go od tyłu mężczyzny. Gaston popatrzył z wdzięcznością w oczy Angusa, który właśnie ocalił mu życie.

– Zamiast włączyć się z Vanorą, powinienes więcej ćwiczyć na placu treningowym, ambasadorze! – krzyknął ze śmiechem Angus i ruszył w stronę walczących.

– Vanora – wyszeptał Gaston, obracając się w stronę chaty, gdzie pozostawił dziewczynę. Jednak nie ujrzał jej tam.

Podążając tropem strzał przesywających piersi napastników, dotarł do zadaszienia, spod którego wypuszczała je Vanora. Ubrana w spodnie i skórzaną kamizelkę narzuconą na płócienną koszulę wyglądała jak drobny, młody chłopak. Związane włosy i wymazana twarz sprawiały, że nie można było w niej rozpoznać kobiety. Co pewien czas zapuszczał się w jej stronę jakiś rywal, a wtedy dobywała miecza i rozprawiała się z wrogiem, aby już po chwili ponownie ślać strzały, które przedierały drogę jej ludziom. Obserwując to, Gaston pojął, kim tak naprawdę jest Vanora. Ona nie była jedynie naczelnikiem klanu. Była jego sercem. To ona stanowiła najważniejszy element, część scalającą wszystko w jedność. Zrozumiawszy to, poczuł dumę. Dlaczego? Ponieważ miał zaszczyt być jej przyjacielem.

Potyczka, którą toczyli, różniła się od tych, w jakich brał udział. Szkoci byli bardziej agresywni, dzicy, a niektórzy wydawali się nawet prymitywni. Wrzeszcząc, wymachiwali bezmyślnie orężem. Musiał dostosować się do walki dość szybko, lecz lata spędzone na polach bitewnych dały mu całkiem niezłą wprawę, przez co teraz doskonale sobie radził, szybko przystosowując się do nowej sytuacji. Wiedział już, kto jest wrogiem, a kto sprzymierzeńcem. Walczył ze spokojem, analizując i nie forsując się lekkomyślnie. Przeciwników ubywało i sytuacja wyglądała na opanowaną.

W chwili, kiedy pomyślał, że nic nie jest już w stanie go zaskoczyć, zamarł i bezmyślnie gapił się na walczącą kilkadziesiąt metrów dalej rudowłosą dziewczynę. Kim była? Tego nie wiedział, jedyne czego był pewien, to fakt, że z pewnością nie pochodziła z klanu MacCallum. Takiej dziewczyny nie można było przeoczyć. Poczłł obawę. Przecież gdyby okazało się, że jest przeciwnikiem, będzie musiał z nią walczyć, a

tego nie chciał. Miała może sto pięćdziesiąt, góra sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu. Wyglądała jak dziecko, jednak walczyła z niesłychaną wprawą. Zwinna, gibka niczym kocica, zręczna i niebywale skuteczna. Ku swemu zaskoczeniu szybko zorientował się, że nieznajoma na chłodno ocenia każdą sytuację. Działała błyskawicznie oraz instynktownie. Zadawała ciosy precyzyjnie i robiła to, nie wykazując żadnych emocji.

Widział, jak się rozpędza i wskakuje na plecy jednego z kucających mężczyzn, a następnie wybija się, wyskakując w górę niczym strzała. W międzyczasie jednym ruchem odrzuciła noże, którymi walczyła, i dobiła skrzyżowanych na plecach mieczy. Opadając ku ziemi, zakończyła życie dwóch zaskoczonych Szkotów, którzy ku ogromnej uldze Gastona okazali się nieprzyjaciółmi.

Obserwował ją zdumiony, ledwie odpierając ataki napastników. Ujrzał, jak podbiega do niej z wrzaskiem mężczyzna o zwalistej budowie ciała. Przy tak drobnej osobce wyglądał niczym góra. Gaston poczuł niepokój, ale zanim zdążył cokolwiek zrobić, nieznajoma zaczęła z nim walczyć. Wywijając zwinnie mieczem i, choć jej przeciwnikiem był rostry, zbudowany niczym dąb Szkot, doskonale sobie z nim radziła. Gdy skrzyżowali miecze, nieoczekiwanie uderzyła go kolanem w brzuch. Napastnik zgiął się w pasie, a ona, złapawszy jego głowę, z całej siły ponowiła cios, sprawiając, że z impetem runął na plecy. Wykorzystując ten moment, naskoczyła na niego i usiadłszy mu okrakiem na piersi, przystawiła dwa duże noże do gardła, krzyżując ręce w nadgarstkach. Gaston widział, jak patrzyła obojętnym wzrokiem w oczy mężczyzny, a następnie bez żadnych emocji przyciągnęła do siebie dłonie, podrzynając przeciwnikowi gardło. Tryskająca krew zalała jej oblicze, co jednak nie zrobiło na niej żadnego wrażenia. Niedbale otarła twarz i spojrzała przed siebie w poszukiwaniu następnego rywala, którego w mgnieniu oka znalazła.

Gaston był zaintrygowany nieznajomą, jednak nie mógł zapominać o walce. Panna zniknęła mu z oczu, a on skupił się na przeciwniku. Nagle usłyszał potworny ryk i obejrzał się w stronę, skąd dochodził. Nie mógł tego wiedzieć, nie mógł nawet przypuszczać. Niemniej miał pewność, w głębi duszy czuł, że ten człowiek to naczelnik klanu MacLeod. I, do diabła, nie dziwiło go już wcale, że wołano na niego Zwierz. Odruchowo podążył wzrokiem ku zadaszeniu, gdzie stała Vanorze, lecz dziewczyny już tam nie było.

Rozdział 3 Życie za życie



Od chwili, gdy ujrzał zalanego krwią Roslina, jego nastrój uległ diametralnej zmianie. Sprawy przybrały zupełnie inny obrót niż sobie wcześniej zaplanował. Uczta, powrót do domu, noc z Brice przepełniona nie tylko rozkosznym spełnieniem, lecz również głupotami, jakie dla niego wymyślała. Czy chciała mu się w ten sposób przypodobać? Nie wiedział. Jednak było to nieistotne. Rzeczy, o których mówiła, śmieszyły go i intrygowały jednocześnie. Czy tego chciał, czy nie, chłonał każde jej słowo niczym gąbka.

– Co się stało? – zagrzemiał, starając się skryć niepokój. Niewinna Brice i skąpany we krwi Roslin. Nie rokowało to najlepiej. Zarznął na jej żądanie świniaka, czy może poprosiła go o uśmiercenie Clacha?

– Klan MacAulayów napadł na nasze wioski! Musimy ruszać bezzwłocznie! – wykrzyknął chłopak. Blane w głębi duszy odetchnął, upewniwszy się, że krew, którą miał na sobie Roslin, nie znalazła się na nim za udziałem Brice.

– Ilu? – Teraz liczyły się jedynie konkrety. Sprawa wyglądała na poważną.

– Obawiam się, że mogą mieć wsparcie innego klanu – wydyszał.

– Zwołam ludzi! – krzyknął Bothan, znajdujący się już przy drzwiach. – Tormod, idziemy! – zarządził.

– Tormod zostaje – oznajmił niespodziewanie dla samego siebie Blane. Co takiego się z nim działo? Dlaczego niby Tormod miał zostać? Spojrzawszy na zebranych, ujrzał na ich twarzach zdziwienie.

– Czemuż to, naczelniku? – Blane sapnął ze złością, słysząc zaskoczony głos chłopaka.

– Idziesz ze mną – nakazał rzeczowo, co współtowarzysze przyjęli za logiczne.

Wychodząc z Calda House, zadawał sobie pytanie, dlaczego próbował powstrzymać Tormoda.

Podążając w stronę stajni, również o tym rozprawiał. Całą drogę do oblężonej wioski nie zdołał myśleć o niczym innym. Brice – to wszystko jej wina. Przez nią stawał się słabym człowiekiem, złym naczelnikiem i beznadziejnym władcą. Jakże mógł zarządzać klanem, gdy w jego głowie umościła sobie miejsce ta głupia dziewczyna? Przez nią za rzadko bywał na placu treningowym! Ona ponosiła winę za to, że jego ludzie są mało wyszkoleni.

Może i nawet miała rację, że wybierał za młodych gówniarzy, ale to też wszystko przez nią. Gdyby nie ona, to więcej uwagi skupiałby na istotnych, militarnych sprawach i teraz nie byłoby absolutnie żadnego problemu. Całą winę za te wszystkie nieszczęścia ponosiła jedynie Brice.

– Idiotka – mruknął pod nosem i zaczął ubliżać sobie w duchu. Jeszcze chwila, a obarczy dziewczynę winą nawet za napaść na ich wioski przez klan MacAulayów. Basta! Musiał skupić się na najważniejszym. Teraz liczyło się jedynie bezpieczeństwo całego klanu.

Gdy dojeżdżali, słyszeli z oddali odgłosy walki. Było już ciemno i nie widział dokładnie całej perspektywy.

– Ossianie, zadbasz o ludzi z wioski! – krzyknął. – Niech odprawią wszystkich w bezpieczne miejsca.

– Tak jest!

Blane pomyślał, iż fantastycznie byłoby choć raz usłyszeć takie słowa z ust tej cholernej kobiety. Znowu poczuł złość. Czy ta diablica musi być z nim wszędzie? Czy nawet na polu bitwy nie może dać mu spokoju?

– Roslin, weź kilku ludzi i podpalcie chaty na obrzeżach! Te stojące najdalej! I upewnijcie się, że ogień nie rozniesie się po całej wiosce!

Chłopak bez słowa zawrócił rumaka i ruszył wykonać polecenie. Blane dobył miecza i zanim jeszcze zeskokczył z końskiego grzbietu, zadał śmiertelne rany napotkanym na drodze przeciwnikom. Gdy stał już na ziemi, zwrócił się ku biegnącym do niego dwóm mężczyznom, po czym z rykiem ruszył wprost na nich.

– To za teatr! – wrzasnął wściekle, rozpruwając brzuch pierwszemu. Ujrawszy, jak mężczyzna próbuje bezowocnie powstrzymać wypływające z rany bebechy, kontynuował: – Miała mi dziś opowiedzieć o teatrze! O kinie! – Na widok drugiego przeciwnika, który przystanął kompletnie zdezorientowany, poczuł furię. – Może wreszcie powiedziałaaby mi, kim jest kurwa! – ryczał, wywijając mieczem. Kosił wszystko, co stało mu na drodze, a jego ludzie, widząc go w takim stanie, po prostu usuwali mu się z drogi. – A kiedy już się dowiem, co to, do diabła, jest komórka, to ją zdobędę! Jestem naczelnikiem i powinienem mieć komórkę!

– Tak, panie, powinienieś mieć kom... – Tyle zaledwie zdążył wypowiedzieć człowiek z przeciwnego klanu, który w ostatniej chwili próbował się wycofać.

Cios za ciosem, trup za trupem, parł przed siebie, nie zastanawiając się nawet nad tym, że powinien bardziej uważać, na kogo podnosi miecz. Gdy w ostatniej chwili zatrzymał ostrze nad szyją Eiliga, przyszło opamiętanie, jednak nie trwało zbyt długo. Nagle coś mu się przypomniało i, złapawszy za gardło jednego z MacAulayów, podniósł go.

– Kim jest Krzysztof Kolumb?! – wrzasnął. Widząc, że mężczyzna nie może zaczerpnąć oddechu, odrzucił go na ziemię i skierował ostrze na jego pierś. – Mów, kim jest Kolumb, to daruję ci życie!

– Powiem! – rozdarł się wróg. Blane ujrzał na jego twarzy panikę.

– Kim jest?!

– Znajdę go dla ciebie, panie, jeno mnie wypuść – wydusił z nadzieją przeciwnik.

Blane domyślił się, że człowiek ten niczego nie wie i próbuje jedynie ująć z życiem, uciekając się do podstępów. Robił z niego głupca, ale się pomylił. Wszak nawet Brice twierdziła, że jest sprawiedliwy i mądry.

– Jestem skurwielem, ty gnido! – ryknął, opuszczając miecz i zatapiając go w ciele wroga.

Rozejrzał się, ciężko oddychając. Musiał na spokojnie poddać ocenie zaistniałą sytuację. Po drugiej stronie dostrzegł walczącego Angusa z klanu MacCallum i zaklął w duchu. Jeszcze tego mu brakowało. Jeżeli wierzyć plotkom, to ta poczwara Vanora wojuje wraz z klanem. Rozejrzał się w poszukiwaniu babochłopa, ale nikogo na tyle wstrętnego nie znalazł.

Na środku placu dostrzegł walczącą młodą, rudowłosą dziewczynę, lecz jej nie rozpoznał. Ubiór świadczył o tym, że nie należała do żadnego z klanów. Kim zatem była i czy powinien ją zabić? Ujrawszy, jak podrzyła gardło jednemu z MacAulayów, zrozumiał, że nie walczą przeciw sobie. Omijał zatem rudowłosą wojowniczkę bez zadawania jej ran, jakie otrzymywali raz za razem ludzie z wrogiego klanu.

Sytuacja wyglądała lepiej niż początkowo przypuszczał. Nie miało znaczenia, czy sprawiła to pomoc ze strony zaprzyjaźnionego klanu, czy też jego zamiłowania do sztuki oraz sprzętu elektronicznego. Liczyło się jedynie to, że zabitych MacLeodów było ledwie kilku, a i rannych niewielu. Natomiast klan MacAuleyów wydawał się zdziesiątkowany.

Jego rozmyślania przerwał krzyk, który zmroził mu krew w żyłach. Obejrawszy się w stronę, skąd doszedł go głos Tormoda, ujrzał, jak chłopak mocuje się z przeciwnikiem. Wróg napierał na niego z całej siły, przystawiając mu nóż do gardła. Ledwie sekundy dzieliły chłopaka od spotkania z ostatecznością. Widząc to, Blane ruszył bez zastanowienia w jego stronę, opuszczając miecz, którym walczył z napastnikiem, przez co ostrze wroga przeorało jego biodro. To się jednak nie liczyło. Tormod był jeszcze dzieckiem według Brice i, choć w istocie się myliła, musiał żyć. Dostawszy się na miejsce, Blane ujął w dłonie głowę przeciwnika i ścisnął tak mocno, że poczuł pod palcami pękające kości czaszki.

– Zabiję cię, jeżeli jeszcze raz spróbujesz dać się zabić! – rozdarł się na Tormoda, odrzucając ciało zabitego.

– Tak, panie.

– Trzymaj się tuż za mną, gówniarzu, inaczej cię zabiję! Zrozumiałeś?!

Tormodowi wypowiedzi Blane'a wydawały się niespójne i pozbawione logiki, lecz nie oponował, widząc dziwnie pobudzonego naczelnika.

– Tak, panie – przytaknął po raz kolejny.

Blane odetchnął z ulgą, lecz ku jego strapieniu ujrzał, że tuż za chłopakiem pojawia się napastnik z uniesionym mieczem i gdyby nie jakaś zagubiona strzała, która przeszła pierś wroga, Tormod rozstałby się z życiem. Blane spojrział w stronę zadaszenia. Dostrzegł stojącego pod nim w cieniu młodego chłopaka z klanu MacCallum. Chudy i drobny, wymazany na twarzy błotem, nie miał na sobie kiltu, lecz spodnie. Nie poznawał tego dzieciaka, lecz zarejestrował, że śle strzały w jego stronę, wielokrotnie trafiając w przeciwników. W chwili, kiedy się już odwracał, zauważył kątem oka ruch tuż za młokosem i zobaczywszy tam jakiegoś MacAuleya, rzucił nożem w jego stronę, ratując chłopaka.

– Życie za życie – mruknął pod nosem, zerkając na stojącego jak kołek Tormoda, który gapił się na niego z niedowierzaniem. Na ten widok poczuł wściekłość. – Walcz, idioto, i nie daj się zabić, bo w innym razie...

– Wiem, panie, zabijesz mnie! – krzyknął młodzieniec.

– Jestem skurwielem i masz się mnie słuchać! – To wydawało się najodpowiedniejszym podsumowaniem tych okoliczności. Musiał wszak pokazać gówniarzowi, kto tu ma ostatnie słowo. Był naczelnikiem, nie miał może na razie komórki, lecz bez wątpienia wkrótce ją zdobędzie.

Rozdział 4 Dziewczyna taka jak ona



Vanora wpatrywała się w tego człowieka z pogardą, momentami nawet z obrzydzeniem. Czy ktokolwiek sądził, że mogłaby wyjść za takiego prymitywnego imbecyla? Sama myśl o tym sprawiała, że żołądek podchodził jej do gardła. Bezmyślny prostak. Czy wyglądał jak Zwierz? Raczej jak kretyń jadający ze świniami. Jakim cudem ten człowiek został naczelnikiem klanu? Na pierwszy rzut oka widać było jego głupotę, która przerażała Vanorę bardziej niż jego widok. Ogolona na łyso głowa i postura olbrzyma. Miał chyba ze dwa metry wzrostu, może nawet więcej. Wymachiwał wokoło mieczem i chyba jedynie przez przypadek trafił w przeciwników. Sam jego widok ją odpychał. Odetchnęła z ulgą, co było nawet zabawne. Teraz miała już jasność. Blane MacLeod nigdy w życiu nie zostanie jej mężem.

– Jestem skurwielem! – Kilka metrów dalej rozbrzmiał potężny ryk. Gdy spojrzała w tamtą stronę, wstrzymała oddech. Cała sprawa skomplikowała się w jednym momencie.

Jaki był? Pełen pasji, żywiołowy, nieokiełznany, przepełniony brawurą i nieugięty. Szedł przed siebie niczym taran. Widziała, że uważnie obserwuje sytuację i nie walczy bezmyślnie. Mimo że wywijał mieczem niczym furiat, był bystry. Miał niebywały refleks. W chwili, w której natrafił na swego człowieka, wstrzymał ostrze, choć niejeden nie zawahałby się i ściał nieszczęśnika. Takie sytuacje zdarzały się w ferworze walki i nie można było nic na to poradzić, a czasem nawet dostrzec.

Blane MacLeod zaskoczył ją i wytrącił z równowagi. Wzbudził wątpliwości. Nie wiedzieć czemu po prostu czuła, że to właśnie on. Zwierz? Owszem. Nawet prawdziwa bestia. Taka bestia, której pragnęłaby dziewczyna taka jak ona. Zauważyła, że przykłęka na kolano i z wprawą kosi trzech MacAuleyów. Coś zakłuło ją w piersi. Spoglądała, jak krew przeciwników tryska mu na twarz, a przemoczone nią włosy smagają jego oblicze przy każdym ruchu. Pomyślała, że nie chciałaby znaleźć się na miejscu jego wrogów. Jednak nie była jednym z MacAuleyów, tylko Vanorą MacCallum, dziewczyną, do której ten człowiek wkrótce przyjedzie, aby starać się o jej rękę.

– Francuska kocica – wyszeptła z niechęcią, napinając cięciwę.

Cudzoziemka stała się dość istotną postacią, lecz sytuacja przedstawiała się teraz zupełnie inaczej. Ta pasja na jego twarzy, gdy walczył. I wszystko nagle się zachwiało. Krzysztof Kolumb? Kto to był? Słyszała, że wielokrotnie wrzeszczał to imię do ludzi z wrogiego klanu. Bez wątpienia szukał tego człowieka i chyba było to dla niego dość ważne. Dlaczego? Czy Kolumb to jego wróg, czy może przyjaciel? Wciąż wykrzykiwał, że jest skurwielem, i widziała, że przynosi mu to satysfakcję. Co to mogło znaczyć? Czy to francuskie słowa, których nauczyła go jego kochanica? Vanora czuła do tej dziewczyny coraz większą niechęć.

Nagle zobaczyła, jak na jego twarzy pojawia się panika i z przerażeniem odwraca się w stronę walczącego kilka metrów dalej młodzieńca. Dostrzegła, że jego przeciwnik wykorzystuje sytuację, raniąc go w bok. Poczowała wściekłość, po czym posłała strzałę w stronę wroga, kończąc jego żywot. Obserwowała, jak Blane z wściekłością rozgniała głowę człowieka, który prawie zabił tego młodego chłopaka. Bronił go tak zaciekle, jakby od tego zależało jego życie. Kim tak naprawdę był Blane MacLeod? Pełen pasji, nieujarzmiony Zwierz.

Z przerażeniem wypatrzyła jednego z ludzi zamierzającego się mieczem na chłopaka. Działała błyskawicznie. Jej strzała zabrała życie napastnika, zanim ten odebrał je młodzieńcowi. I wtedy stało się coś,

co ją zamurowało. Blane spojrział w jej stronę, a ona nie potrafiła się ruszyć. Odnosiła wrażenie, że się zorientuje, kim jest, choć była świadoma, że z tej odległości to niemożliwe. Sama już teraz nie wiedziała, czy tego chciała. Może wołałaby, aby ją zobaczył? Zrobił krok w jej stronę. Miała wrażenie, że przybliżył się do niej o co najmniej kilka metrów. Patrzył pociemniałymi z gniewu oczami, a jego górna warga uniosła się jak u warczącego wilka. Na ten widok dosłownie zmiękły jej kolana. Oddychał ciężko, nie spuszczać z niej wzroku, a gdy już miał się odwrócić, ujrzała, że robi coś, co ją zaskoczyło.

Czy słyszała kroki za sobą? Owszem. Czy potrafiła zareagować, wiedząc, że niebezpieczeństwo jest blisko? Nie. Po prostu nie mogła oderwać oczu od MacLeoda.

– Życie za życie.

W tym samym momencie dostrzegła osuwające się zwłoki mężczyzny, który w tamtej chwili niechybnie by ją zabił. Musiała się skoncentrować na walce i przestać myśleć o Zwierzu, który przed chwilą ją ocalił, ale nie było to takie proste. Od czasu do czasu słyszała jego ryk i za każdym razem przeszywały ją dreszcze. Czuła w sobie tak wiele adrenaliny, że momentami odnosiła wrażenie, jakby się unosiła.

– Jestem skurwielem! – wrzeszczał gdzieś w oddali.

Nie miała pojęcia, kim jest skurwiel, ale wiedziała jedno. Musiała się tego za wszelką cenę dowiedzieć. Teraz był jednak czas na walkę, na wszystko inne przyjdzie niebawem.

Rozdział 5 Tenebris



Gdy po skończonej bitwie do Gastona dołączyła Vanora, od razu się uspokoił. Jechali konno wolnym tempem. Utrudzeni i oboje z ogromnym chaosem w głowach. On poruszony nowymi doznaniem i tym, że pośród tych ludzi poczuł się jak w rodzinie. Ujrzał Vanorę w innym świetle i zrozumiał, kim tak naprawdę jest ta drobna, niepozorna dziewczyna. Wszystko zaczęło się układać w całość. Z przerażeniem wrócił myślami do widoku Blane'a MacLeoda i postanowił, że pomoże jej za wszelką cenę pozbyć się tego człowieka.

– Widziałem go – wyznał nieoczekiwanie, przerywając milczenie, jakie towarzyszyło im podczas podróży.

– Ja również. – Nieco zaskoczyła go jej odpowiedź. Dziewczyna wydawała się nad wyraz spokojna. – Lecz cóż w tym dziwnego? To jego walka, my byliśmy tam jedynie gośćmi – stwierdziła, ciężko wzdychając.

– Pomogę ci, Vanoro. Nie lękaj się, zrobię wszystko, aby nie dopuścić do...

– Plany uległy zmianie, Gaston – weszła mu w zdanie. Zmarszczył czoło, zupełnie zdezorientowany.

Byli już prawie na miejscu i marzył jedynie o tym, aby wymknąć się nad jezioro.

Zaczął się powoli przejaśniać. Nad ziemią unosił się lekki opar mgły.

– O jakich planach mowa, Vanoro? – zapytał, spoglądając na nią uważnie. Widział, że jest zmęczona i wcale go to nie dziwiło. Zanim zdążyła odpowiedzieć, usłyszeli za sobą tętent końskich kopyt i już po chwili ktoś zajechał im drogę.

Gaston zatrzymał rumaka, wpatrując się niczym urzeczony w siedzącą na gniadej klaczy rudowłosą nieznajomą, która na polu bitwy tak wprawnie radziła sobie w walce. I o ile dziewczyna wcześniej wywarła na nim piorunujące wrażenie, to spotęgowało się ono w chwili, gdy ujrzał jej oblicze. Poczul niepokój, który pojawił się znikąd.

– Kim jesteś? – Rozległ się zaintrygowany głos Vanory. Gaston nie mógł oderwać wzroku od rudowłosej wojowniczk.

Tym razem już nie drobna budowa ciała oraz zwinność wprawiły go w zaskoczenie. Wpatrywał się w jej niezwykle oczy i sam nie wiedział, co ma o tym myśleć. Jedno oko dziewczyny miało wyjątkowo niecodzienną, zieloną barwę, a drugie mieniło się pomarańczowym kolorem. Coś takiego widział po raz pierwszy w życiu i przez moment wydawało mu się, że ma omamy.

– Jesteś z klanu MacLeod? – Vanora bezskutecznie próbowała się dowiedzieć, kim jest nieznajoma.

Ta jednak jedynie wpatrywała się w nich z nic niemówiącym wyrazem twarzy. Była dziwna, bardzo dziwna. Wszystko w niej było dziwne. To, jak walczyła i jak się zachowywała podczas walki. Zabijała z taką obojętnością, jakby była to dla niej rutyna.

Teraz zajechała im drogę i po prostu spoglądała na nich w milczeniu.

– Widzę, że poznaliście Tenebris – oznajmił Ervin, który nieoczekiwanie do nich dołączył.

– Tenebris? – powtórzył Gaston, nie odrywając od dziewczyny zaintrygowanego wzroku.

– Co tu robisz, bracie? – wydusiła poruszonym głosem Vanora.

– To samo co ty, siostrze – odparł zawistnie Ervin, a później zwrócił się do nieznajomej: – Tenebris, poczekaj na mnie, wrócimy razem. Mam ci coś do powiedzenia.

Gaston obserwował dziewczynę, która nie spuszczała z niego wzroku. Nagle zawróciła konia i pogalopowała w stronę zamku, zupełnie ignorując Ervina. Chłopak wyglądał na wściekłego, lecz starał się nie pokazywać tego po sobie.

– Kim ona jest? – zapytał Gaston. Blondyn spojrzał na niego z wyższością.

– Tenebris i jej brat Raven są moimi gośćmi – mruknął wyniośle.

– Jesteś ranny, Ervinie? – wyszeptła Vanora z niepokojem. Chłopak wykrzywił się złośliwie, lecz zanim zdążył odpowiedzieć, Gaston go wyprzedził:

– Nie jest nawet brudny, Vanoro. – Na te słowa młody MacCallum odwrócił się i odjechał, nic nie mówiąc. – Jestem pewien, że na jego mieczu nie ma ani kropli krwi, tak zażarcie walczył – dodał znacząco, a Vanora przewróciła oczami. Doskonale to wiedziała.

– Mogłeś chociaż udawać – westchnęła.

– Jest dziwna.

– Kto? – wydusiła zdeorientowana.

– Ta dziewczyna. Tenebris3 – szepnął.

– Według mnie jest bardzo ładna, niczego jej nie brakuje, a podczas walki radziła sobie wyjątkowo dobrze – oświadczyła obojętnie.

– Znasz łacinę, Vanoro? – zapytał od niechcienia.

– Gaston! Czy ty zupełnie zgłupiałeś? Wracamy z bitwy, a ty pytasz, czy znam łacinę? – warknęła poirytowana, a on zganiał się w myślach. – O co ci chodzi, do diabła?

– O jej imię – wymamrotał pod nosem, a na głos dodał: – Co miałaś na myśli, mówiąc, że plany uległy zmianie?

To pytanie przywróciło spokój na twarz Vanory, a on odetchnął z ulgą. Niepotrzebnie ją denerwował niepokojem, który wzbudziła w nim nowo poznana panna. Od zamku dzieliło ich już zaledwie kilkanaście metrów. Widzieli, jak przez zwodzony most wjeżdżają powracający z bitwy mężczyźni.

– Chcę MacLeoda za męża, a ty mi w tym pomożesz – oświadczyła, przerywając ciszę, a on westchnął.

Znowu?

– W jaki sposób mam ci w tym pomóc, Vanoro? Poprosić go, żeby się z tobą ożenił?

– Oczywiście, że nie! – obruszyła się.

– Czy ty go w ogóle widziałas podczas bitwy? – dociekał.

– Tak, Gaston. Widziałam tam Blane'a MacLeoda i właśnie dlatego go chcę – poinformowała, a on jęknął w duchu. Powoli tracił do niej cierpliwość.

– Co mam zatem zrobić? – zapytał bez przekonania, dochodząc do wniosku, że zarówno on jak i ona nie myślą już logicznie. Gdy tylko wypoczną, prawdopodobnie będzie się z tego śmiała.

– Masz zająć się francuską kocicą. Jedynie tyle. – Ściągnął wodze, wstrzymując konia.

Ujrzał odjeżdżającą Vanorę, w którą wpatrywał się bezmyślnie. Jeszcze przed momentem był przekonany, że nic już nie jest w stanie bardziej go zadziwić. Ani Tenebris, ani nawet sam Blane MacLeod. Jednak po raz kolejny się pomylił. Francuska kocica? Czyżby? Kobieta spijająca ze Zwierzem powinna się raczej nazywać francuską smoczą. Wzdrygnął się, gdy jego umysł utworzył obraz zwałistej, ogorzałej na twarzy dziewczyny, gapiącej się bezmyślnie przed siebie.

– Francuska kocica – szepnął z niechęcią. – Nie ma mowy.

W tym właśnie momencie wróciła dziewczyna ze snu. Tylko takiej mógłby chcieć. Choć tak naprawdę nie miał nawet pojęcia, jak wyglądała. Była tylko bezimienną zjawą ze snu. Kimś, kto nie istnieje.

Wracając, Blane marzył tylko o tym, by znaleźć się w ramionach Brice i, pomimo iż czuł do siebie złość, to nie było sensu się oszukiwać, że za nią nie tęsknił. Żywił wobec niej przedziwną słabość, jakiej nie powinien nigdy poczuć. To komplikowało sytuację, która i tak mocno się już zagmatwała. Czy mógł zachować ją na dłużej? Czas tak szybko płynął i wyjazd do Eilean Donan zbliżał się nieuchronnie. A może by to zignorować? Westchnął ciężko. Wiedział, że nie może. Otrzymał właśnie dowód, że połączenie klanów jest słuszną decyzją.

– Głupia czarownica – mruknął pod nosem, po czym przyspieszył.

Oby szybciej dotrzeć na miejsce, udać się do Calda House, spełnić obowiązek, a później wrócić na zamek, do Brice. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo skomplikuje się sytuacja, gdy spotka swoją czarownicę. Nie była ona szczęśliwa ani radosna, a maczał w tym palce sam Leonardo da Vinci. Między innymi.

3 *Tenebris* – (z łac.) Ciemność, mrok (przyp. aut.).

Rozdział 6 Ciemność



Tenebris poderwała się z posłania. Miała kolejny z tych snów. Nienawidziła ich i gdyby tylko potrafiła je zakończyć, zrobiłaby to za cenę wszystkiego. Co najbardziej ją niepokoiło? Chyba fakt, że tak naprawdę do końca nie wiedziała, jak interpretować swoje sny. Śmierć, krew, wrzaski oraz lamentsy. Za każdym razem to samo. Ranił ją sam widok tego, co się działo. Te sny, zbyt prawdziwe, żeby być jedynie wytworem wyobraźni, zbyt realne, aby były kłamstwem i zbyt bolesne, by potrafiła sobie z tym poradzić. Widziała śmierć, ból, nieszczęście i koniec. A najgorsze, że wszystkie stawały się prawdą... Nie znała czasu, nie znała miejsca, czasem nawet nie wiedziała, kto jej się śni. Jedno było pewne: sprawdzało się to, co wyśniła. Nie zawsze chodziło o śmierć, jednak za każdym razem działo się coś złego. Nigdy nie próbowała w to ingerować, po prostu ktoś umierał albo działo mu się krzywda, a ona o tym wiedziała wcześniej. To wszystko. Czy mogła temu zapobiec? Nie sprawdziła, nigdy nie próbowała pomagać, nie tego ją uczyło. Jedyne, co mogła, to zabijać.

Tenebris nie pamiętała ani matki, ani ojca. Od zawsze mieszkała z Malum i Ravenem. Nie było to typowe rodzeństwo, nie wpoili jej właściwych rzeczy, sami przecież nie byli dobrzy. Wiedziała, że krzywdzili ludzi i zdawała sobie sprawę, że jest w ich rękach niczym marionetka. Manipulowali nią, a ona w milczeniu wykonywała wszystko, co jej kazali. Nauczyli ją zabijać, twierdząc, iż to normalne, że to jedynie konieczna samoobrona. Nie umiała pisać, nie umiała czytać, potrafiła jedynie zadawać śmierć, której było w jej życiu zbyt wiele. Towarzyszyła jej nawet nocami, podczas snów. Nigdy nie powiedziała im o koszmarach, obawiała się, że gdy to zrobi, oni w jakiś sposób to wykorzystają. A czy nie wystarczyło, że wykorzystywali ją do tego, aby dla nich mordowała? Czy umyślnie odizolowali ją od normalnego życia? Przyzwyczaili się do tego, że wciąż była nieobecna, milcząca niczym kukła, którą można przestawić jak mebel. Czasem tęskniła do czegoś, czego nie znała. I to było frustrujące. Zdarzały się momenty, gdy czegoś jej brakowało. Czowała pustkę, a to sprawiało, że coś w niej płakało. Czy życie już zawsze takie będzie? Pozbawione sensu, szare i okrutne. Bezcelowe. Z dnia na dzień.

Gdy w ich życiu pojawił się Ervin, coś się zmieniło. Od początku ją w pewien sposób niepokoił, nie budził jej zaufania. Był niczym podstępny wąż. Chciał pozbawić władzy swojego ojca i usunąć siostrę. Zwyczajna, banalna sprawa, jednak tym razem nieco się różniła. Początkowo go ignorowali, lecz w którymś momencie to się odmieniło. Zamierzali odprawić Ervina, później jednak wędrowali przez ziemie MacLeoda. Tam stało się coś, co wpłynęło na zmianę decyzji Malum. Bo przecież zdanie Ravena niewiele znaczyło. Był niczym wosk w rękach Malum, chociaż nawet nie zdawał sobie z tego sprawy. Tenebris wiedziała o tym doskonale, lecz wiedzę tę zachowywała dla siebie. Postanowili pomóc Erwinowi. Tenebris zdawała sobie sprawę z tego, że to kłamstwo i jej rodzeństwo ma własny plan. Czy ją to niepokoiło? Nic nie mogło zaniepokoić kogoś, kto nie widzi sensu w życiu. Kogoś, komu jest wszystko jedno. Kogoś takiego jak ona. Stąpająca po linie nad przepaścią. I z zawiązanymi oczami widząca więcej niżby chciała.

Musiła dziś walczyć w bitwie, by ten tchórz Ervin zachował pozory. Mały gnojek kryjący się w ciemności chciał pokazać się później w glorii i chwale niczym niepokonany wojownik. Zabijanie to była jej codzienność. Jednak tam, na placu boju, coś się wydarzyło, na krótką chwilę sprawiając, że wstrzymała oddech. Spojrzały na nią oczy młodego chłopaka, wywołując w niej dziwne uczucie. Coś nią wstrząsnęło, a ona poczuła, że nie chce tam być i nie chce, aby on na nią patrzył z takim zdziwieniem, z taką pasją. To

spojrzenie, takie łagodne i serdeczne...

– Dlaczego? – wyszeptała, zrywając się z posłania i wybiegając z pomieszczenia. Musiała odbiec. Zgubić obraz tych oczu.

Dosiadła konia, po czym pogalopowała przed siebie. Wiedziała, że pierwszy człowiek, którego spotka na swej drodze, poniesie śmiertelne konsekwencje jej obecnego stanu. Jednak musiała spuścić z siebie emocje i to nie mogło odbyć się inaczej.

Rozdział 7 Autoportret



Zanim Brice otworzyła oczy, leżała przez chwilę, wsłuchując się w dochodzące do jej uszu dźwięki skrzypiec. Uśmiechnęła się, czując męską dłoń odgarniającą jej włosy, robiąc miejsce dla ust, którymi już po chwili błędził po jej szyi. Westchnęła, zaciskając palce na jasnej tkaninie prześcieradła.

– Pora wstawać, śpioszku. – Uchyliła powieki, natrafiając wzrokiem na spojrzenie zawsze radosnych, błękitnych oczu.

– Jeszcze dziesięć minut, Bruce – wyszeptwała, obejmując jego szyję ramionami.

– Helen i Bo już wstali. Za godzinę powinniśmy być w drodze do twojego ojca, Brice.

– Pięć minut – szepnęła, muskając jego usta swoimi. Usłyszała zrezygnowane westchnienie. Wiedziała, że to zadziała, zawsze działo.

– Jeżeli przez te pięć minut pozwolisz mi na...

– Mamo, Bo zabrał mi misia! – Rozległ się rozżalony głos ich pięcioletniej córeczki i już wiedzieli, że nici z obiecujących pięciu minut.

– To nieprawda, ona kłamie! Wcale nie zabrałem jej tego głupiego miśka! – krzyk siedmiolatka był donośny i nieco nadąsany.

– Zabrałeś!

– Nie zabrałem!

– Uspokójcie się – przerwał im stanowczy ton ojca. – Wracajcie do pokoi i dokończcie się ubierać, a później zejdźcie na dół na śniadanie.

Brice uniosła się na łokciach i wpatrywała w tę sytuację z rozbawieniem. Nie za bardzo wiedziała, jak się zachować i czy karcić te dzieci, bo przecież... Zaraz, coś tu się nie zgadzało.

– Mamo, powiedz coś tacie – poprosiła dziewczynka, a ona przełknęła głośno ślinę.

– Jakiemu tacie? – zapytała niepewnie, rozglądając się po sypialni. Dziwne, coś w tym pomieszczeniu było nie tak.

– Oj, mamo, przestań sobie żartować. Przecież zaginął mój miś, a to bardzo ważna sprawa.

– Pewnie sama gdzieś go położyłaś!

– To nieprawda.

– Mamo, powiedz coś! – zawołały oba głosy jednocześnie, a ona gapiła się na nich jak idiotka.

– Ty głupia kobieto! – Na dźwięk wrzasku przebiegły jej po plecach ciarki.

O tak, to znała doskonale. Co, do licha, się działo? Skąd wzięły się tu dzieci. Tu? Ale właściwie gdzie?

– Panie, ona jest niewinna! – Tego głosu też nie pomyliłaby z żadnym innym.

Poderwała się gwałtownie z pościeli i rozejrzała po sypialni. Odetchnęła z ulgą, widząc znajome ściany. Opadła ponownie na poduszkę i, patrząc w sufit, próbowała się uspokoić. To tylko sen, ale jakże przedziwny. Myśląc nad tym, doszła do pewnych wniosków. We współczesności była samotna, lecz co gdyby w tamtym życiu miała rodzinę? Męża i dzieci. Westchnęła głośno. Raczej nie poradziłaby sobie, jeżeli los odebrałby jej bliskich, pozbawił miłości i rozłączył z kochanymi ludźmi. Coś do niej dotarło, a świadomość tego sprawiła, że krew uderzyła jej do głowy. Co by się stało, gdyby wróciła do współczesnego świata? Serce przyspieszyło rytm.

– Blane – szepnęła drżącym głosem.

Czy umiałaby tak po prostu go stracić? Jak mogłaby bez niego żyć? Przecież to niemożliwe. Bez tych wszystkich ludzi, których pokochała może nawet bardziej, niż jej się wydawało. Co z tego, że mężczyźni traktowali tu kobiety jak dodatek do siebie? Zaakceptowała te obyczaje, lecz jednocześnie pokazała im, że nie jest kobietą, która sobie na to pozwoli. Wiedzieli, kim jest, zdawali sobie sprawę z tego, że nie da się zdusić ani sobą pomiatać i byli również świadomi, że jest kobietą Blane'a MacLeoda, który może zachowywał się jak idiota w niektórych sytuacjach, lecz tak naprawdę był... Uśmiechnęła się nieznacznie.

– Kobieta Blane'a – wyszeptała. Czy umiałaby przestać być kobietą Zwierza? Czy mogłaby zapomnieć i zakochać się w innym? Chyba zbyt wiele czuła, chyba zbyt mocno kochała. Ale czy to źle?

Westchnęła przeciągle, szczęśliwa, że za chwilę przyjdzie Blane i porozmawiają. Uśmiechnęła się na myśl o tej rozmowie, bo chyba jednak nie można tego nazwać rozmową. Będzie krzyczał, może postraszy ją lochem albo zaplanuje wsadzić w dyby. Zabijał ją ostatnio dość rzadko. Spojrzała w okno i zmarszczyła brwi. Dziwne. Robiło się dopiero szaro, a była przekonana, że spała dość długo i zapadła już noc. Wstała z łóżka, po czym wolno podeszła do okna. Wyjrzała przez nie i przez krótką chwilę wpatrywała się przed siebie z głupią miną. Czy to możliwe?

– Skurwysyn – wymamrotała pod nosem.

Ranek! Cholerny ranek, a miejsce w łóżku po stronie Blane'a było drastycznie puste. Przecież obiecał. W pierwszej chwili oblało ją gorąco i poczuła ogromną złość. Gdyby teraz znalazł się w zasięgu jej rąk, niechybnie miałby spore kłopoty. Po chwili poczuła dojmujący żal. Ponownie nie wrócił na noc, a przecież przeprosiła go, ukorzyła się przed nim. Drań to zignorował.

– Pewnie znowu uczyła go jakaś inna – wymamrotała rozeźlona.

Co powinna teraz zrobić? Poczekać na niego, aby wrócił i upokorzył ją jeszcze bardziej? Jak długo powinna czekać? Tydzień, dwa? Miesiąc? A może rok? Nie tym razem! Wyszła, zatraskując z hukiem drzwi, i ruszyła schodami w dół. Co teraz? Gdzie iść? Co robić? Pomyślała, że weźmie konia i po prostu odjedzie jak najdalej stąd, jak najdalej od Blane'a MacLeoda. Wpadła z impetem do ogromnego salonu, przez który przechodziło się do pomieszczeń kuchennych. Gdy była w połowie drogi, gwałtownie przystanęła i wstrzymała oddech. Wpatrywała się w coś, co stało pod ścianą i nie mogła uwierzyć swoim oczom. Czy to mogła być prawda? Czy wzrok jej nie mylił? Przysiadła na stojącym obok podnóżku i wpatrywała się z namaszczeniem w oparte o jasną ścianę obrazy.

– Mona Lisa – wyszeptała z zachwytem.

Miała przed sobą jedno z największych arcydzieł sztuki. Jednak to ten drugi obraz sprawiał, że jej euforia sięgała szczytu. Obok hiszpańskiej Giocondy z drugiej ramy obrazu spoglądał na nią bliźniaczko podobny mężczyzna. W jej głowie zapanował kuriozalny chaos.

– Autoportret – wyszeptała z niedowierzaniem.

Na wyciągnięcie ręki miała autoportret samego Leonarda da Vinci. Zupełnie różny od tego, który znany był we współczesności.

Według teorii dr Lilian Schwartz Mona Lisa była drugim autoportretem artysty. Tezę tę obalono, lecz nie ulegało wątpliwości, że mężczyzna z obrazu był łudząco podobny do tajemniczo uśmiechniętej, młodziutkiej modelki. Jego wiek zdecydowanie zbliżony był do Mony Lisy, więc musiał powstać mniej więcej w tym samym czasie. Wyglądało na to, że albo teoria Schwartz była właściwa, albo da Vinci miał nieznaną historię siostrę bliźniaczkę. W co wątpiła.

– Czy to możliwe? – wyszeptała niemal z namaszczeniem.

Podeszła do płótna i wzięła je do ręki.

Przysunęła się bliżej kominka, aby móc dokładniej przyjrzeć się pracy autora. Wpatrywała się w arcydzieło z zachwytem. Przejechała dłonią po twarzy mężczyzny i poczuła dreszcze. Obraz był w doskonałym stanie. W tej chwili nie miał nawet stu lat. Ale co się z nim stało? Przecież nikt nigdy o nim nie słyszał. Czyżby zaginął podczas którejś wojny? A może jest gdzieś w prywatnych zbiorach i o jego istnieniu nikt jeszcze nie wie? Gdyby jakimś cudem wróciła do współczesności, mogłaby...

– Tu jesteś! Wszędzie cię szukam! – krzyknęła Una, na co Brice podskoczyła złęknona, upuszczając malowidło wprost w płomień. Schyliła się gwałtownie, chcąc wyciągnąć z paleniska płótno, lecz Una odciągnęła ją na bok.

– Ale to da Vinci! – wrzasnęła zrozpaczona, gdy zaczęło do niej docierać, dlaczego nigdy nie słyszała

o tym obrazie.

– To Morven, a nie żaden da Vinci! – Popatrzyła na Unę z głupią miną. Jaki, do cholery, Morven? Czy ona zgłupiała?

– Morven? Co ty opowiadasz, przecież to...

– Morven wygrał to malowidło w kości, nic dobrego z tego chłopaka nie ma. Dobrze, że już nie pokazuje się na zamku. – Brice chłonęła informacje, starając się to wszystko logicznie poukładać.

– Ale co one tu robią? Przecież powinny stać gdzieś...

– Dziewki przyniosły do spalenia – oświadczyła obojętnym tonem Una, a Brice włos zjeżył się na karku.

– Do spalenia? Mona Lisa? – wyszeptwała z niedowierzaniem.

– Jaka Lisa? – zapytała staruszka, patrząc na nią zdziwionym wzrokiem.

– Una! Proszę, obiecaj mi coś.

Musiała przecież ratować ten wiekopomny obraz. Do cholery jasnej, to przecież Mona Lisa. Może da Vinci namalował jeszcze więcej nieznanych jej dzieł, ale jeden jego obraz przed chwilą osobiście spaliła, więc musiała zrobić wszystko, aby ocalić choć hiszpańską Giocondę.

– Mów, dziecko – zachęciła zaniepokojona Una.

– Czy mogłabyś dać mi ten obraz? – wyszeptwała z błaganiem w oczach. Staruszka zmarszczyła czoło.

– Chcesz ten bohomasz? – zapytała zaskoczona. Brice ledwie powstrzymywała się, aby nie parsknąć śmiechem. Bohomasz? Gdyby tylko Una wiedziała, czym w przyszłości zostanie ten „bohomasz” i jak ogromne znaczenie będzie miał dla świata sztuki.

– Podoba mi się. Czy mogę go dostać? – poprosiła. Staruszka się uśmiechnęła.

– Liliias też lubiła obrazy – westchnęła.

– Liliias? – W pierwszej chwili nie dotarło do niej, kogo Una ma na myśli.

– Moja kochana Liliias. Matka Blane’a – powiedziała zamyślona. Gdy tylko padło imię Blane’a, Brice aż zagotowała się ze złości, przypominając sobie, po co tu w ogóle zeszła i gdzie szła.

– Szkoda, że ten skurwiel nie wrodził się w matkę – mruknęła ze złością i ujrzała na twarzy kobiety grymas smutku. No tak, tym razem również przeięła. Przecież ten idiota mimo wszystko był dla niej jak syn. Co z tego, że ona sama chciała jedynie nadzieć go na ruszt i upiec jak świnię? – Przepraszam, chodziło mi raczej o to, że byłoby miło, gdyby od czasu do czasu...

– Pojechali na bitwę – przerwała jej.

– Właśnie o tym mówię! Ciągłe tylko plac treningowy, bitwy, miecze... Co?! – wrzasnęła, gdy dotarł do niej sens słów staruszki. – Na jaką bitwę?!

– Klan MacAuleyów napadł na nasze wsie.

– Ale o co chodzi? Jak to napadł? Dzwoniliście już na policję? – Miała ochotę uderzyć się czymś ciężkim w głowę. Znowu zagalopowała się z policją. – O Boże, trzeba im pomóc! Gdzie to jest? Musimy tam jechać. Powinniśmy...

– Brice, uspokój się. Pojechali w nocy. Możemy jedynie czekać.

– Ale jak to w nocy? To dlatego do mnie nie wrócił? A ja myślałam, że on... – Wszystko nagle oszalało. Co mogła zrobić? Bo przecież musiała coś zrobić! – Nie możemy czekać! Musimy im pomóc! Muszę tam natychmiast jechać! Gdzie to jest? Podaj mi adres, proszę. Przecież muszę...

– Co chcesz zrobić, Brice? – przerwała jej Una i ująwszy ją za ramiona, potrząsnęła. – Nie możesz nic zrobić, dziecko. Musimy czekać i modlić się do bogów, aby wszyscy wrócili cali i zdrowi.

– Modlić się? – zapytała głupio, po czym bezradnie się rozplakała.

Una miała rację. Co takiego mogła zrobić poza czekaniem? To ją przytłaczało. Ale przecież to szesnasty wiek, do cholery jasnej! Nie mogli zadzwonić po policję. Blane wraz z ludźmi mógł jedynie się tam udać i walczyć.

– Będzie dobrze, córko.

Poczuła, jak Una przygarnia ją i mocno przytula. Rozszlochała się w jej ramionach. Nie umiała się pogodzić z tą bezradnością. Czekaniem. Dlaczego jej nie powiedział? Czemu nie zabrał ze sobą? Była już na jednej bitwie. Może jakoś mogłaby im się przydać. Ale przecież wtedy jedynie przeszkadzała. Prawie przez nią zginął. Zadrżała na wspomnienie tamtej nocy.

– Una, czy to taka sama bitwa jak ta, z której mnie przywiózł? Czy tam też tak jest i czy oni tak samo

się zabijają?

Zadawała pytania, wiedząc, że są pozbawione sensu, lecz nie mogła przestać. Musiała wciąż mówić, żeby nie myśleć, nie przywoływać widoku mordujących się ludzi. Upadających głów, rozplątanych brzuchów, przebijanych piersi i tryskającej ze wszystkich stron krwi. Tego wrzasku, krzyku. A on tam był. Walczył. Wtedy myślała, że to nie działo się naprawdę, że to jakiś plan filmowy albo niegroźne zamieszki. Teraz już wiedziała, że to aż nazbyt realne. Niestety nie mogła nic zrobić. Pozostawało jedynie czekać.

– Każda bitwa jest taka sama.

Zacisnęła dłonie w pięści z bezsilności.

– Przecież on może zginąć – powiedziała z żalem. – Oni wszyscy mogą tam zginąć. Czy Bothan też pojechał? Eilig? Ossian? Są starzy, nie walczą sprawnie. To dla nich niebezpieczne. A Tormod? Jego też ze sobą wzięli?

– Pojechali wszyscy.

Załkała. Z całej siły pragnęła tam z nimi teraz być.

Robić cokolwiek. Mogła nawet rzucać kamieniami, byle tylko im towarzyszyć. Jak mogła tak po prostu bezradnie czekać, wiedząc, że są w niebezpieczeństwie? Czy jeszcze porozmawia z Eiligiem? Czy poprzekomarza się z Bothanem? A Tormod? Czy jeszcze kiedyś stanie w jej obronie? Blane – to przecież on był najważniejszy. Wiedziała, że ten idiota będzie ryzykował, że nie pozwoli skrzywdzić nikogo z klanu. Odda życie za każdego z nich.

– Ja go kocham, Una – wyszeptwała. Kobieta westchnęła.

– Tego się właśnie obawiałam, moja droga. Tego się bałam, Brice – powiedziała drżącym głosem. – Nie powinnaś go pokochać, dziecko – mamrotała, wtulając twarz w jasne włosy dziewczyny.

– Nie chciałam tego, Una. Boję się, że gdybym jakimś cudem wróciła do domu, to pięknie mi serce, kiedy go zabraknie.

– To się nie może stać. Nie możesz go kochać, dziecko.

– Jest potworem. Wrzeszczy na mnie bez powodu, chciał zgwałcić i mnie uderzył. Chciał spalić żywcem i ciągle jest dla mnie niesprawiedliwy. Nigdy nie przyniósł mi kwiatów i nie byliśmy ani razu na randce. Nie zabrał mnie do kina, nie mówi, że jestem piękna. Nie jest nawet moim chłopakiem i nie jest o mnie zazdrosny. Z niczym się nie zdeklarował. Nie ma dobrej pracy ani zasobnego konta w banku. Nie ma ogromnej willi z basenem i nie jest nawet przystojny. Wygląda jak dzika bestia, a zachowuje się jak najgorszy bydlak. Nie jest nawet dobrze wykształcony – mówiła na jednym wydechu. – Nienawidzę go! – zakończyła z pasją.

– Kształcił się, Brice. Umie przecież dobrze walczyć.

Spojrzała na staruszkę przez łzy.

Uśmiechnęła się smutno.

Znowu robiła tej kobiecie zamieszanie swym bezmyślnym gadaniem.

– Nie umiałabym nikogo pokochać bardziej, Una – wyznała bezradnie. – Ale teraz chcę po prostu, chciałabym, aby... żeby on...

– Czego byś chciała, moje dziecko?

– Żeby bezpiecznie wrócił – szepnęła Brice, a Una przytuliła ją mocno.

Tego się właśnie obawiała. Bała się, że dojdzie do takiej sytuacji i że któreś z nich ucierpi. Co stanie się z Brice, gdy Blane poślubi Vanorę? Przecież ona nie była zwyczajną kobietą, którą można zepchnąć na dalszy plan. Jest zbyt waleczna, zbyt niezwykła. Gada może od rzeczy, kiedy się zdenerwuje, ale jest tak niesamowicie odważna.

Una widziała, jak bardzo przeżyła informację o bitwie, i żałowała, że ją o niej poinformowała. Mogła przecież poczekać, aż wróci. Usiadły na ławie, a dziewczyna położyła głowę na jej kolanach. Una czule głaskała ją po jasnych włosach. Czekwały w milczeniu. Słyszała cichy płacz Brice, lecz nic nie mówiła. Nie istniały właściwe słowa. Czy mogła ją pocieszyć? W jaki sposób? Przecież ona nie wiedziała, że i tak go straci. Nawet jeżeli nie odbierze jej go śmierć, sprawi to inna kobieta. Co było gorsze?

– On wróci, Una. – Przez cichy szept dziewczyny serce ścisnęło jej się z żalu. – Oni wszyscy wrócą. Zobaczysz.

Mogły jedynie bezradnie czekać. Nic więcej.

Rozdział 8 Zagubiona



Vanora była przekonana, że gdy się prześni, to emocje, jakie wzbudził w niej widok Blane'a MacLeoda osłabną, że to wszystko choćby przycichnie. Lecz tak się nie stało. Wciąż wracał do niej widok jego twarzy. Tej pasji, która się na niej malowała, zaciekłości, siły. Tak intensywnej i tak dojmującej.

W jednej chwili wszystkie misternie poukładane przez nią kamienie runęły, obnażając uczucia, o których istnieniu nigdy nie miała pojęcia. Kim był ten człowiek? Przecież niewiele o nim wiedziała. Obserwując go podczas walki, czuła podziw. Widząc w nim ten ogień, ten zapał, tę dzikość. Przy każdym obrocie jego włosy smagały twarz, na której gościła wściekłość. Długie pasma zbroczone krwią zabitych malowały na jego obliczu obraz zniszczenia, jakie siał. Dwa długie miecze w jego dłoniach co chwilę zadawały śmiertelne ciosy. Niepokromiony, pełen ognia, potężny żywioł. A później ta agresja na twarzy i pasja, z jaką osłaniał tego młodego chłopaka, sprawiały, że momentami przypominał narowistego rumaka, który nie pozwala nikomu się do siebie zbliżyć. Zapragnęła być kimś, kogo z takim zapałem ochraniałby Zwierz. Ale przecież uratował jej życie. Gdyby nie on, jej ojciec oplakiwałby właśnie śmierć córki.

Jakim byłby mężem? Jakim kochankiem? Poczwała dreszcze na samą myśl o tym. On blisko niej, wpatrujący się w nią tym pociemniałym z gniewu wzrokiem. Dłonie z taką łatwością zadające śmierć... Czy równie skutecznie dawały kobiecie rozkosz? A może to jeden z tych mężczyzn, który potrzebuje niewiasty jedynie do zaspakajania żądz? Zapragnęła się tego dowiedzieć. Czy to się stanie? Czy pozna dotyk jego rąk? Czy poczuje pocałunki? A jego kochanka, francuska kocica... Kim tak naprawdę była? Czy była piękna? Co takiego miała w sobie, że zdobyła takiego mężczyznę jak on? Bo nie mogła być kimś przeciętnym, skoro została jego nałożnicą. Gościła w jego łóżu wielokrotnie, a to oznaczało, że odnalazł w niej coś, do czego wracał. Czy była to uroda, czy może coś więcej? Jakie żywił do niej uczucia? A czy ona go miłowała, czy może chodziło jedynie o sprawy cielesne? Rola kochanki naczelnika klanu to poniekąd zaszczyt. Niejedna dziewczka chciałaby zostać choćby jednonocną przygodą. Co takiego było w tej dziewczynie, że spędziła w łóżu Zwierza więcej niż jedną noc? Czy będzie chciał zachować tę pannę, gdyby doszło do zaślubin?

Poczwała się zagubiona. Ujrzała człowieka mającego starać się o jej rękę. Wiedziała, że nie będzie to powodowane uczuciem do niej, lecz powinnością wobec klanu. Zwyczajny, aranżowany mariaż, nic więcej. Cała pewność siebie nagle gdzieś uciekła. Była jedynie dziewczyną, która nie miała niczego do zaoferowania mężczyźnie. Nie czuła się piękna ani kobieca i nie miała żadnego doświadczenia z płcią przeciwną. Nigdy w życiu nawet się nie całowała. I teraz pojawił się ten pasjonujący mężczyzna. Wzbudził w niej zachwyt, rozniecił coś w jej wnętrzu. Jednak miał kochankę, z którą spędzał noce, francuską kocicę. Jak mogłaby dorównać tej dziewczynie? Nie miała takiej możliwości, nie czuła się na siłach, lecz pragnienie było większe niż mogła przypuszczać. Niemniej, co mogła zrobić? Jak pozbyć się konkurentki? Gaston, tylko on przychodził jej do głowy. Widziała, jakie wrażenie wywierał na kobietach. Jego nieprzeciętna inteligencja, wdzięczna aparycja oraz rycerskie maniery. Czy to wystarczy? Jeżeli tamta jest z Blane'm jedynie dla uciech cielesnych to nie doceni inteligencji Gastona.

Nieznajoma jawiła się Vanorze jako przepiękna uwodzicielka, świadoma swoich wdzięków, kipiąca zmysłowością i seksapilem. Zadufana w sobie i dumna z tego, iż jest kochanką naczelnika. Czy Vanora podejrzewała, że będzie miała do czynienia ze zwyczajną, sympatyczną dziewczyną? Gadającą od rzeczy, buntowniczą i posiadającą w sobie taką samą charyzmę jak ona? Nie mogła tego wiedzieć. Nie przypuszczała nawet, jak bardzo los skomplikuje jej życie, gdy pojawi się Brice. A miało to wkrótce nastąpić.

Rozdział 9 Inne opcje



Blane nie mógł usiedzieć w miejscu. Jedyne, czego teraz chciał, to wrócić na zamek, do Brice. Jednak nie mógł zlekceważyć ludzi i musiał spędzić z nimi jakiś czas. Zawsze tak działo się po bitwie. Miał wrażenie, że krzesło, na którym siedział, parzy i jedyne czego chciał, to podnieść się i udać do Brice. Wciąż o niej myślał. Nie potrafił się na niczym skupić. Przecież ta jędza będzie wściekła. Nie wrócił na noc, choć obiecał. Był naczelnikiem i jego obietnice się liczyły. Powinien dotrzymywać wszystkich. *Czy ona jest na zamku?* – przemknęło mu przez myśl. Może...

– Gdzie Morven? – zapytał siedzącego obok Bothana, jednak ten opacznie go zrozumiał.

– Cały. Nic mu się nie stało – uspokoił go.

Blane zacisnął ze złością zęby, w ostatniej chwili powstrzymując się przed powiedzeniem, że nie miałby nic przeciwko, aby ktoś wypruł mu na bitwie bebechy.

– Klan MacCallum bardzo pomógł. Angus przybył w ostatniej chwili – oznajmił Ossian. Blane nie chciał rozmawiać na ten temat, gdyż ostatnim, czego teraz pragnął to wysłuchiwanie, że małżeństwo z tą paskudą jest konieczne.

– Słyszałem, że stary MacLaren niedomaga – wtrącił Eilig. – Nie ma dziedzica – dodał znacząco.

Blane patrzył na niego zdziwiony. Klan MacLaren nie był dobrym rozwiązaniem i wiedział o tym każdy, jednak nikt nie zaprotestował. Wszyscy milczeli, czekając na jego odpowiedź. To było dziwne.

– Nie ufam im – powiedział krótko.

– A MacKenzie? – kontynuował Eilig. Blane spojrzał na niego jak na idiotę. – Gdybyśmy rozmówili się z nimi i...

– MacKenzie układają się z MacAuleyami, doskonale to wiesz – odburknął. O co, do diabła, im chodziło? Przecież do tej pory brali pod uwagę jedynie klan MacCallum.

– Masz rację – oznajmił Ossian. – Ale można rozważyć inne opcje.

Co się z nimi działo? Drażnili go umyślnie? Dlaczego złośliwie ciągnęli temat? Czyż niewystarczająco nieprzyjemny obowiązek będzie musiał dla nich spełnić?

– Nasz klan potrzebuje wsparcia i dzisiejsza noc jest tego przykładem! – zagrział wściekły. Nie chciał już rozmawiać, nie zamierzał przywoływać myśli o szpetnej córce Ronana i tego, co musiało się stać. Teraz chciał jedynie wrócić do Brice. – Poślubię Vanorę MacCallum. To już przesądzone! – obwieścił z mocą.

W tym samym momencie otworzyły się drzwi i stanęła w nich wściekła Brice. Oblało go gorąco na myśl, że gdyby weszła tu zaledwie kilka sekund wcześniej, usłyszałaby, jak deklarował mariaż z inną, a pragnął spędzić w spokoju jeszcze kilka dni z tą złośnicą. Natomiast poinformować ją o planach matrymonialnych zamierzał na osobności, gdyż nie miał pojęcia jak zareaguje, a przecież do pokornych nie należała.

Patrzył na dziewczynę z coraz większą złością. Dlaczego przysłała? Dlaczego po prostu nie zaczekała w zamku? Czy choć raz nie mogła zachować się jak normalna kobieta?

Rozdział 10 *Chcę ją dostać!*



Gaston od samego rana starał się odnaleźć Vanorę i porozmawiać z nią o jej absurdalnym życzeniu. A może po prostu chciał upewnić się, że to jedynie żart? Z godziny na godzinę zaczynał się coraz bardziej niepokoić. A co, jeśli mówiła poważnie? Może naprawdę postanowiła wyjść za mąż za tego barbarzyńcę? Ale Vanora? Ta rozsądna dziewczyna, rozstawiająca wszystkich po kątach chciała dać się zdominować temu człowiekowi? Przecież na pierwszy rzut oka widać, że to zwykły, prymitywny idiota, który nie traktuje kobiet z należyтым szacunkiem. Nie wyglądał na dżentelmena i Gaston był przekonany, że ostatnim, co ten człowiek by zrobił, to przepuszczenie kobiety w drzwiach.

Vanora zażądała od niego, aby zajął się francuską kocicą? Przecież ta dziewczyna musiała być jemu podobna albo niespełna rozumu, aby zadawać się z kimś takim. Poczł niepokój. A jeżeli sprawa wygląda inaczej i ten człowiek przymusza ją do dzielenia z nim łóża? Może to właśnie Francuzka potrzebowała pomocy, a nie Vanora? Czy to możliwe, że cudzoziemka jest pozbawioną woli, bezbronną dziewczyną, którą ta bestia zmusza do wyuzdanych aktów cielesnych?

Poczł się zdezorientowany.

Co powinien zrobić?

Jak mógłby pomóc obu tym niewiastom?

Był już późny wieczór, kiedy zagubiony w chaotycznych rozmyślaniach wchodził po schodach. W chwili, gdy z korytarza dotarł do jego uszu czyjeś szepty, zatrzymał się w miejscu, rozpoznawszy w jednym z nich głos Ervina. Rozmawiał z bratem Tenebris, Ravenem. Gaston widział tego człowieka kilka razy, lecz jedynie w przelocie. Coś mu się w nim nie spodobało. I nie chodziło tu o aparycję, ponieważ chłopak należał do przystojnych. Uprzejmy i nad wyraz przyjazny, może aż za bardzo. Gaston wyczuwał w tym ukryty fałsz. Człł, że coś z nim jest nie tak. Chłłpak już po krótkiej rozmowie wzbudzał sympatię każdego z rozmówców. Posiadał niebywały talent do zjednywania sobie ludzi. Jednak nie wszyscy łapali się na piękne słowa.

– Widziałem ją. – Głos Ravena przepełniał niezdrowe emocje, co wzbudziło niepokój Gastona. Kogo mógł mieć na myśli?

– Nie chcę o niej rozmawiać. Powiedz lepiej, co z Malum – dociekał Ervin.

Gaston zmrużył oczy. Słyszał już dziś to imię. Z tego, co się zorientował, Tenebris miała dwóch braci. Malum najwyraźniej budził w Erwinie większe emocje. Ale dlaczego?

– Chcę ją dostać! – zażądał Raven, ignorując Ervina, a Gaston wstrzymał oddech. Czyżby chodziło o Vanorę? Cóż za absurdalne żądanie. Czy ten człowiek mówił poważnie?

– Jest tego warta? – Pogardliwy ton brata Vanory upewnił Gastona, że Raven istotnie mówił o jego siostrze. Wcale go to nie dziwiło. Młodziutka Szkotka była piękną dziewczyną i nie on jeden napalał się na jej wdzięki.

– Warta jest wszystkiego! – zaręczył żarliwie.

Ekscytacja w głosie Ravena nie zapowiadała niczego dobrego.

– Najpierw zrób, co do ciebie należy, a później o niej porozmawiamy – uciął krótko Ervin. Gaston uśmiechnął się pod nosem na myśl o tym, że mogą gadać godzinami, a Vanora i tak nic sobie nie zrobi z umizgów Ravena.

Doskonale wiedział, że drażnił ją ten typ mężczyzn. Wiecznie przymilających się pięknościów, którzy

miecz noszą jedynie dla ozdoby. Jednak słowa o zrobieniu czegoś, co do niego należy, zaniepokoiły Gastona. O co mogło chodzić? Czyżby brat Vanory knuł coś za plecami ojca i siostry? W zasadzie zdziwiłoby go, gdyby tego nie robił. Ervin to fałszywy człowiek i trudność w tym przypadku polegała jedynie na tym, że nie można było nic z tym począć, ponieważ to Vanora najbardziej by na tym ucierpiała. Miłość do brata zaślepiła ją i nie pozwalała obiektywnie spojrzeć na tego człowieka.

– Kiedy przybędzie Malum? – Ervin ponowił pytanie. Gaston zmarszczył czoło. Czemu ciągle pytał o tego mężczyznę? Dlaczego tak bardzo zależało mu na jego przybyciu?

– Jest już w drodze, wkrótce tu dotrze – poinformował Raven.

Gaston domyślił się, że brat Tenebris w zamian za jakąś przysługę chce dostać się za pomocą Ervina do Vanory. Nie martwił się tym, gdyż wiedział, że nie uda mu się jej zdobyć. Lecz co takiego miał zrobić dla Ervina Raven? To niepokoiło go najbardziej. W myślach Gastona pojawiło się od razu mnóstwo scenariuszy. Może planował pozbyć się siostry? Ale w takim razie nie obiecywałby jej Ravenowi. Co ten zawistnik knuł? Czy powinien się podzielić tą nowiną z przyjaciółką? Nie. Zrobiłby jej tym dodatkowy ambaras. Więc jak postąpić? Z kim porozmawiać? Z Luthiasem? Chłopak był tak ofensywnie nastawiony do Ervina, że groziłoby to niepotrzebną agresją, a ta sprawa wymagała spokojnego rozwiązania. Gaston uznał, że na razie nie powinien nikogo o tym informować. Właściwiej będzie poczekać i sprawdzić, jak potoczy się sprawa. Może nawet nie było to nic poważnego. Mogło przecież chodzić o zwykłą głupotę.

– Mam nadzieję, że tym razem nie będzie problemów – mruknął posępnie Ervin. – Powiadom mnie, gdy pojawi się Malum⁴ – zakończył chłodno, po czym pospiesznie odszedł.

Na dźwięk tego imienia Gastona ogarnął niepokój. Czy rodzice nie mogli nadać im zwyczajnych imion? Dlaczego akurat takie? Czy to cokolwiek znaczyło? Tenebris była przedziwna. Jaki będzie jej brat, Malum?

Stał tak przez pewien czas, rozmyślając. Pełen sprzecznych i coraz bardziej chaotycznych myśli oraz wątpliwości. Nagle usłyszał tuż za sobą hałas i odwróciwszy się gwałtownie, ujrzał wpatrzony w niego piękne, dwukolorowe oczy Tenebris. Jak długo tu stała? Czy zorientowała się, że podsłuchiwał rozmowę jej brata z Ervinem? Dlaczego tak się gapiła? Nic nie mówiąc, nie odrywała od niego wzroku. Miała w spojrzeniu jakąś przedziwną moc. Czuł się jak zahipnotyzowany, uwięziony niczym owad w sieci pająka. Ile mogła mieć lat? W jasnym świetle z przerażeniem odkrył, że była o wiele młodsza niż przypuszczał. Nie mogła mieć więcej niż szesnaście, może siedemnaście wiosen, lecz niewykluczone, że była jeszcze młodsza. Poczul złość na wspomnienie, z jaką łatwością i wprawą zabijała. Do czego dopuścili jej bracia?

– Ile masz lat, Tenebris? – zapytał. Na te słowa dziewczyna po prostu odwróciła się i odeszła. Robiło się coraz dziwniej.

Tenebris nie była może nadzwyczajną piękną, jednak coś ją wyróżniało. Drobną, wciąż poważną twarz, tak jakby dziewczyna nosiła maskę nieprzepuszczającą żadnych emocji.

Bardzo chciał usłyszeć jej głos, lecz wciąż milczała. Może to niemowa? Zastanawiał się, jakiej są narodowości, gdyż w głosie jej brata wyczuwał dziwny akcent. Wizualnie nie byli do siebie podobni i gdyby nie wiedział, że są rodzeństwem, nigdy by się tego nie domyślił.

Bardzo niska i drobna. Miała długie, gęste włosy w miedzianym kolorze, dość bladą skórę, nieliczne piegi na twarzy oraz te nieprawdopodobnie zjawiskowe oczy. Odcień tęczówek był tak niecodzienny, że nawet gdyby oba były w jednym kolorze, to i tak budziłyby zdumienie. Mimo że miała w sobie coś niepokojącego, nie wywoływała w Gastonie złych emocji.

Raven był zupełnie różny od siostry. Wysoki i przystojny. Włosy idealnie przystrzyżone według najmodniejszych trendów, nienagannie ułożone i nabłyszczane jakimś specyfikiem. Czarne pukle idealnie komponowały się ze śniadą skórą i tęczówkami w głębokim, ciemnym odcieniu. Mężczyzna stanowił idealne odzwierciedlenie swego imienia⁵. Nawet szaty, w jakie się przyodziewał, miały czarny kolor. Zawsze sympatycznie uśmiechnięty i za każdym razem szarmancki. Jednak Gaston wyczuwał bijące od niego zło. Widział jego dwulicowość. Odnosił wrażenie, że prawdziwy Raven czai się wewnątrz niego i mężczyzna po prostu dobrze gra swoją rolę. Intrygowało go jeszcze jedno. Kim był drugi z braci Tenebris? Ten, którego przybycie tak niesamowicie ekscytowało Ervina. Gaston przeczuwał, że Malum może być najbardziej kłopotliwym z rodzeństwa. I się nie mylił.

⁴ *Malum* – (z łac.) Zło (przyp. aut.).

⁵ *Raven* – (z ang.) Kruk (przyp. aut.).

Rozdział 11 Absolutnie



- Wrócili. – Usłyszała Brice i poderwała się gwałtownie z ławy, na której siedziała z Uną.
- Co z nim?! Gdzie jest?! – wrzasnęła.
- Kto? – zapytała dziewczyna, która przyniosła nowinę.
- Blane! Co z nim? Powrócił? – Teraz nadeszła ta chwila. Najważniejsza. Być albo nie być.
- Naczelnik jest w Calda House.
- Żyje?! Mów, czy żyje, ty głupia kretynko! – krzyczała rozgorączkowana.
- Żyje.
- Jest ranny? – wymamrotała drżącym głosem, widząc oczami wyobraźni leżącego na stole Blane'a.

Zakrwawionego i poranionego.

– Ucztuje.

Brice milczała przez moment, przyswajając informacje.

– Że co robi?! – wrzasnęła po chwili wściekle. Dziewczyna cofnęła się kilka kroków w tył, złęczona nagłym wybuchem Brice.

– Zasiadł do stołu z resztą mężczyzn, kiedy tylko powrócili – powiedziała pospiesznie.

– Jak tylko powrócili?

– Jakaś godzina minęła albo dwie, odkąd przybyli – wyszeptła niepewnie, potem czym prędzej uciekła do kuchni.

Brice przymknęła oczy.

Jak to wyglądało? Nie wrócił na noc. Okej, miał powód. Zrobiła z niego niedouczzonego osła. Nie wrócił na kolejną, ale i tym razem miał powód. Bitwa to cholernie poważna sprawa. Ale teraz? Dlaczego nie posłał do niej kogoś z informacją, że jest cały i zdrowy? Sam osobiście nie mógł przyjść, to oczywiste. Była jedynie głupią kobietą, którą sobie od czasu do czasu bzykał. Starła się powstrzymać złość i sama już nie wiedziała, czy jest bardziej zła, czy może jednak szczęśliwa, że jest cały. Ale czy naprawdę był?

– Najważniejsze, że wrócili – wtrąciła niepewnie staruszka, trochę zaniepokojona zmiennymi reakcjami blondynki. Brice odwróciła się do niej gwałtownie.

– Una, musisz wiedzieć, że nie mówiłam prawdy – oświadczyła pospiesznie. – Wcale go nie kocham i powiedziałam tak tylko dlatego, że się o nich wszystkich niepokoiłam. I w ogóle to tak naprawdę miałam na myśli ciebie – dodała poważnym tonem.

– Mnie? – Na twarzy kobiety odmalowała się konsternacja.

– Mówiłam, że kocham ciebie. Wiesz, tak jak matkę. Niechący mogło to zabrzmieć, jakby była mowa o nim, ale z całą pewnością nie jego miałam na myśli – oznajmiła, siląc się na obojętność.

– Czyli jego nie kochasz? – zapytała Una, uśmiechając się przekornie.

– Jego nienawidzę! – krzyknęła wściekle Brice. – Absolutnie!

– Absolutnie? – Una ledwie powstrzymywała się, aby nie parsknąć śmiechem. – No to poważna sprawa.

Pokochała tę dziewczynę jak córkę. W pewnym momencie Brice stała się dla niej tak samo ważna jak Blane. Czy istniała szansa, aby oboje byli szczęśliwi? Blane to tylko mężczyzna. Gruboskórny, taki, który weźmie każdą, aby się zaspokoić, a żonę potraktuje jak obowiązek. Ale jaką rolę w tej historii odgrywa

Brice? Ją jedną inaczej traktował. Czy przypadkiem nie czuł do tej piekielnicy czegoś więcej? Przecież nieraz widziała, że zachowywał się przy niej dziwacznie. Momentami robił z siebie głupca. Narażał dla niej życie, a to przecież kobieta. Czy pociągało go w niej to, że jest inna? Czasem gadała niczym pomyłona, była zbyt spontaniczna, bardzo odważna i bezpośrednia. Jakby żyła w innym świecie. Ale przecież pochodziła z Francji, a tam prawdopodobnie panują inne obyczaje.

– Nienawidzę Blane’a! Cholernie go nienawidzę.

– Dało się to zauważyć, Brice. Absolutnie.

– A teraz muszę iść – oświadczyła dobitnie blondynka.

– Gdzie musisz iść? – zapytała Una, chociaż doskonale знаła odpowiedź.

– Do Calda House!

– Zamierzasz powiedzieć Blane’owi, że go nienawidzisz? – Nie zdołała ukryć uśmiechu.

– Chcę po prostu wiedzieć, czy to prawda – wyznała bezradnie.

– Prawda? – Una spoglądała na nią teraz zdeorientowanym wzrokiem.

– Że są cali i zdrowi. Martwię się o Eiliga i o Ossiana. Nie są najmłodszy i coś mogło im się stać.

Bradana mówiła, że Eilig ostatnio niedomagał. Ossian ciągle naraża się dla tego lumpa i teraz też mógł osłaniać syna. A ja muszę mieć pewność, że nic im nie jest! I Tormod. Co, jeżeli został ranny? To jeszcze dzieciak. Uważacie, że powinien walczyć, ale nawet jeżeli to przecież on nie ma jeszcze doświadczenia. Bothan też mógł oberwać. Za dużo pije. Jeśli pojechał wstawiony, to nie miał wystarczającej koncentracji. Roslin ostatnio nie bywał tak często na placu treningowym, może jest w niewystarczającej formie? Ktoś mógł mu zrobić krzywdę. On jest taki roztrzepany. Sama wiesz. Przecież oni wszyscy byli zagrożeni. Tam na pewno komuś stało się coś złego i może będę mogła jakoś pomóc. I muszę sprawdzić...

– Co musisz sprawdzić? – zapytała kobieta. Do tej pory nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo Brice się przejmuje i nie chodziło tylko o Blane’a, ale o cały klan. To napawało ją podziwem dla tej dziewczyny.

– Muszę sprawdzić, czy Blane jest cały i zdrowy. Muszę to wiedzieć, po prostu muszę go zobaczyć na własne oczy, aby uwierzyć – wyszeptwała rozgorączkowana. – I wcale nie powiem mu, że go nienawidzę. Nigdy mu tego nie powiem! – zapewniła i odwróciła się na pięcie, po czym wybiegła.

– To takie niesprawiedliwe – wymamrotała Una, wpatrując się w drzwi, za którymi zniknęła Brice. Ta dziewczyna myślała o nich wszystkich. Troszczyła się o każdego członka klanu. Znała ich i prawdopodobnie wiedziała o nich więcej niż Blane. Dostrzegała rzeczy, które umykały nawet jemu. Byłaby dla niego idealną żoną, gdyby tylko nie była francuską szlachcianką, lecz córką szkockiego naczelnika. – Ale przecież Blane jest skurwielem. Może znajdzie jakiś sposób – wyszeptwała z nadzieją.

Rozdział 12 Rekonesans



Blane widział na twarzy Brice złość i ogarniała go coraz większa wściekłość. Dlaczego tu przyszła? Chciał powoli kończyć biesiadę i udać się na zamek, a ona wszystko skomplikowała. Miał ją teraz odesłać i spędzić tu z nimi jeszcze kilka godzin? Przecież nie mógł wrócić z nią do zamku niczym posłuszny kretyń. Mogliby sobie jeszcze coś pomyśleć. Owszem, wiedzą już, że dzieli z nią łożo, ale nie powinni wiedzieć, że mu się to aż tak podoba, bo przecież wcale tak nie jest. Ot, zwykła dziewczka, może trochę lepsza niż inne, ale jest szlachcianką, więc to oczywiste.

Gapił się na nią, zastanawiając się, co zrobić i jak zareagować, nie mógł przecież udawać, że jej nie zauważył. Wparowała do środka, robiąc przy tym hałas, jakby dostało się tu stado byków. Każdy patrzył teraz w jej stronę. Zauważył, jak oczy dziewczyny przenoszą się na siedzących przy stole mężczyzn. Zaniepokojonym wzrokiem ogarniała zebranych, co wcale mu się nie spodobało. Kogo, u licha, szukała ta jędba? Do kogo tu przyszła? Rozgniewał się jeszcze bardziej. Wyglądało na to, że wcale nie zawędrowała tu dla niego. Z przyzwyczajenia zerknął na siedzącego obok ojca Morvena, który gapił się na Brice zbyt swawolnym wzrokiem, co sprawiło, że dłoń Blane'a zacisnęła się ze złością na pucharze z winem. To, że nie trzymał w ręku miecza, było dla chłopaka dobrą nowiną.

– Gdzie Eilig? – wyszeptwała. Odetchnęła, dostrzegając mężczyznę.

– Co, u licha? – mruknął pod nosem Blane. Eilig? Czegoś tu chyba nie rozumiał. – Co tu robisz?! – wrzasnął.

Na jej twarzy pojawiła się złość, gdy dotarł do niej jego głos.

– Co tu robisz?! Czekam, aż powiadomi mnie ktoś, czy wszyscy wrócili cali z bitwy – warknęła, po czym ponownie zaczęła rozglądać się po sali. – Gdzie Tormod? – zapytała złęknona, nie widząc przy stole chłopaka.

– Ścieli go w walce. Korpus jest w stajni, a głowy jeszcze szukają! – zagrzemiał. Wstrzymała oddech.

– Cały i zdrowy – uspokoił ją Bothan, który spoglądał na nią z rozbawieniem. – Nikt poważnie nie ucierpiał, Brice. Otrzymaliśmy pomoc innego klanu.

Na słowa o pomocy innego klanu Blane aż się zagotował. Może powinien poinformować ją jeszcze, jaki to klan i jaka jest jego rola w tej cholernej sprawie. Poczul wściekłość na Bothana, lecz zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Brice podeszła do niego i bez ceregieli zaczęła uderzać go pięściami w pierś, zupełnie go tym zaskakując.

– Ty podły draniu! – wrzasnęła, a on szarpnął ją i odepchnął.

Był wytracony z równowagi. Wszyscy przypatrywali się zajściu, a on nie wiedział, jak się zachować. Musiał szybko przywołać ją do porządku. Głupia dziewczka na zbyt wiele sobie pozwalała. Za każdym razem, gdy ją odsuwał, atakowała zapalczywiej. Wreszcie puściły mu nerwy i uderzył ją w twarz. Cios był na tyle mocny, że aż zatoczyła się w tył. Zapanowało milczenie. Widział, jak spogląda na niego z niedowierzaniem w oczach. Ujrzał w jej wzroku zawód i jedyne, na co miał ochotę, to... przytulić ją. Przez chwilę mierzyła go wzrokiem, a następnie nieoczekiwanym ruchem wyszarpała z jego pochwy nóż i skierowała ostrze w jego stronę. Patrzyła na niego z gniewem, milcząc. Wokoło zapanowała cisza, co w sumie go zaskoczyło. Nikt nawet się nie poruszył, aby przyjść z pomocą swemu naczelnikowi.

– Powinienem cię zabić już dawno temu – mruknął pod nosem, oceniając sytuację. Czy mógł

wyglupić się jeszcze bardziej? Jak miał ją teraz uspokoić? Co ona sobie właściwie wyobrażała, stając tu przed nim i grożąc mu w obecności klanu? I dlaczego nikt, u diabła, nie zareagował? Bali się jej czy co?

– Pieprzysz mnie, gdy masz na to ochotę, a teraz tak po prostu bijesz po twarzy?! – wydarła się na całe gardło, a on jęknął w duchu. Przynęła gwałtownie nóż do swojej szyi, po której pociekła krew, a jego nagle oblało gorąco. Takiego przebiegu sytuacji się nie spodziewał. Zakładał, że wyprowadzi w jego stronę cios, może nawet go zrani, lecz przez myśl by mu nie przeszło, że skieruje ostrze na siebie. Jeszcze bardziej zdziwiło go to, że tym razem kilku mężczyzn poderwało się z krzesel. – Nic straconego. Zabij mnie. Po co masz wtrącać do lochu albo zakuwać w dyby?! Skończ to szybko – wykrzyknęła. – A może chcesz, żebym sama to zrobiła?

Jej zachowanie z chwili na chwilę stawało się coraz bardziej niepokojące. Zaskoczyła go i nawet w jakimś stopniu napełniła podziwem. Mogłaby przecież teraz wrzeszczeć, nazwać go tchórzem bijącym kobiety i miałaby rację. Mogła też płakać i lamentować niczym normalna kobieta. Ale przecież ona nie była normalna. Wpatrywała się w niego ze złością i pasją, a on nie wiedział, jak na to zareagować? Tak bardzo się teraz o nią bał.

Chwila nieuwagi sprawiła, że ostrze wbiło się głębiej, a po jej twarzy przebiegł grymas bólu. Ona z nim nie igrała. Była taka nieobliczalna. Błyskawicznie wyrwał z jej ręki nóż, który pospiesznie schował do pochwy. Stał naprzeciw niej niczym sparaliżowany, spoglądał w jej rzucające gromy oczy i myślał jedynie o tym, aby zatamować krew płynącą z rany. *Co zrobić? Jak się zachować?* Z pomocą przyszedł jak zawsze niezawodny Bothan.

– Może Brice powinna usiąść z nami – zaproponował, a następnie zwrócił się bezpośrednio do niej: – Na pewno jesteś głodna, spocznij, proszę, przy mnie.

– Powinna znać swoje miejsce – mruknął groźnym głosem Blane, starając się zachować twarz, po czym usiadł przy stole. Cały aż buzował, przepełniony skrajnymi emocjami.

Nie odrywał od niej wzroku, chociaż ona ani razu nie zerknęła w jego stronę. Na jej twarzy malował się ogromny smutek i zniechęcenie. Widział tam również zawód, a to najbardziej go bolało. Była taka smutna, tak niesamowicie przybita. Ale czego mógł się spodziewać? Po tym wszystkim, co się wydarzyło, ponownie ją uderzył i w dodatku zrobił to przy ludziach. Nie mógł znieść tego, że siedziała przygaszona i przygnębiona. Choć wiele głów zwracało się w jej stronę, a kilka głosów próbowało ją zaczepić, nie reagowała na nic, jakby nagle zupełnie ogłuchła.

Ujrzał Bothana podającego jej białą chustkę i poczuł żal, że nie on to robi, ale nie mógł, choć chciał. Nawet bardzo. Pragnął siedzieć teraz obok niej i sprawić, aby na jej twarzy pojawiał się uśmiech albo ta zadziorna złość. Nienawidził jej tak bardzo, że jedyne, czego potrzebował, to wyrzucić ją ze swego życia. Była przecież tylko kobietą. Więc dlaczego nie potrafił teraz przestać o niej myśleć? Dlaczego nie mógł przestać na nią patrzeć?

Do tej pory ukrywał to, co ich łączyło, ale tak naprawdę nie było to nic złego. Czy to rozsądne? Te wszystkie sekrety. Ludzie wiedzieli, że miewał kochanki. Jak każdy z nich. Czemu więc ukrywał związek z Brice? Przecież nie była pierwszą lepszą kobietą, pochodziła z Francji i miała wyższy status od innych. Piękna, niegłupia, odważna, nie to co te wszystkie dziewczki ze wsi. Nikt nie powinien się dziwić, że jako naczelnik wybrał właśnie ją. Wkrótce i tak czekał go wyjazd do Eilean Donan i ślub ze szpetną Szkotką.

Spojrzał w jej stronę i znowu poczuł skurcz w żołądku. To wcale nie było łatwe. Ten jej smutek i zrezygnowanie oraz obojętność przygnębiały również jego. Niepokoiły go. Chciał zareagować, niemniej nie mógł teraz nic z tym zrobić. Po chwili zobaczył, że do pomieszczenia wchodzi Tormod i westchnął głośno. Teraz dopiero znacznie się spektakl. Chłopak na widok blondynki wyraźnie się ucieszył. Od razu ruszył w jej stronę, nie kryjąc zaskoczenia jej obecnością. Ona również się uradowała. Połączyło ich jakieś przedziwne porozumienie i wzajemna troska. W oczach Tormoda Brice, stojąca nad zwłokami zamordowanego człowieka z bronią w ręku i cała zakrwawiona, nadal byłaby niewinna. A dla Brice młody chłopak, będący już mężczyzną, nadal pozostawał dzieckiem, które trzeba ochraniać. Może przez wrażliwość wydawał jej się mniej dorosły niż w rzeczywistości. Albo po prostu takim chciała go widzieć.

Blane obserwował zmieniającą się minę Tormoda w chwili, gdy ujrzał zakrwawioną chusteczkę, którą Brice przyciskała do szyi. Wszyscy wiedzieli, jak zareaguje chłopak. Sytuacja wyglądała niepokojąco. Przecież nie mogła się tu polać krew, dopiero co wrócili z boju. Nie powinno być dodatkowych ofiar. Blane jako wódz mógł zrobić wszystko, a dziś pokazał się już z tej gorszej strony. Zachował się jak Zwierz, jakim

go obwoływano, i nikt nie miałby śmiałości z nim zadrzeć. Nikt prócz zapatrzzonego w Brice Tormoda.

– Co się stało? – zapytał młokos, podchodząc do dziewczyny i przykląkł obok niej. – Któż to zrobił? – wypowiedział wyjątkowo stanowczym głosem.

Blane czuł się dość dziwnie. Lubił tego chłopaka, nie dało się go nie lubić.

Czy powinien go teraz zabić? Bothan nigdy by mu tego nie wybaczył, ale przecież gdy Tormod dowie się, co zaszło, jak nic rzuci się na niego, nie pozostawiając mu wyboru. Jako naczelnik nie mógł sobie pozwolić na takie wybryki. Może już teraz sprać chłopaka? Zanim ta wariatka powie mu, co się stało. Bothan powinien już dawno zareagować, wyprowadzić go lub kazać się przymknąć. *Tak wiele problemów przez jedną, głupią dziewczynę* – pomyślał ze złością.

– Och, Tormodzie, tak żałuję, że cię tu nie było – wypowiedziała rozżalonym głosem Brice. Wszyscy popatrzyli na nią zdezorientowani. Wyraźnie dolewała oliwy do ognia. Blane poczuł wściekłość. Zabije ich oboje, jedno po drugim, zadusi jak kurczaki! A jeżeli Bothan się odezwie, to jego również zabije! Zamorduje każdego, kto uczyni jakikolwiek ruch, aby go powstrzymać! – Ten miecz był taki ciężki – dodała płacziwie.

Jaki, u licha, miecz?! Przecież to zaledwie nóż. Miała zamiar kłamać przy tylu świadkach? Blane ostatkiem sił powstrzymywał się przed wybuchem.

– Miecz? – W tym samym momencie pytanie zadało kilka głosów.

– Jaki miecz? – Tormod dopominał się odpowiedzi, którą chciał poznać każdy z zebranych.

– Leżał wysoko na jednej z półek i chciałam go zdjąć. Jestem taka niemądra, Tormodzie. Mogłam przecież poprosić kogoś, aby mi go podał, ale pomyślałam, że sobie poradzę – wyszeptała smutnym głosem.

– Powinnaś poczekać, pomógłbym ci. – Chłopak mówił cicho. Na jego twarzy malowało się zmartwienie. – Dobrze, że nie stało się nic gorszego.

– Na pewno wydarzyłoby się coś gorszego, gdyby nie Bothan, który stał obok i uratował mi życie – oznajmiła wymownie. Blane poczuł złość, zdając sobie sprawę, że słowa te skierowane były wprost do niego. Nie mógł w żaden sposób zareagować, inaczej rozpętałoby się tu piekło.

Przepelniała go złość. Na Brice, na Tormoda, na Bothana, na wszystkich obecnych przy stole, a największa na samego siebie.

Nagle rozległ się gromki śmiech gdzieś na końcu stołu. Przeniósłszy wzrok w tamtą stronę, Blane ujrzał rozbawionego Morvena, który i tym razem przesadził z trunkami.

– O tak, Tormodzie, Bothan uratował życie twojej „niewinnej”! Może chcesz o tym posłuchać? Chętnie ci opowiem, w jaki sposób...

Brice ogarnęła złość. Cały ten gniew, który w sobie nosiła, znalazł w tym momencie ujście. Jeden skurwiel ją uderzył, a gdy próbowała zaradzić, by nie stała się nikomu krzywda, drugi pojeb robił sobie z tego pośmiewisko.

– Nie tym, kurwa, razem! – wrzasnęła, przyciągając uwagę zebranych.

Ogarnęła ją taka furia, że wcale nie zrobiłoby jej różnicy, gdyby to Blane siedział na miejscu Morvena. Również do niego by podeszła i z wściekłością uniosła dzbanek, a później z całej siły uderzyła, rozbijając mu go na głowie. Przypominała niszczycielską lawinę, której nic nie zdołałoby powstrzymać.

Gdy widziała osuwające się ciało chłopaka, miała wszystko centralnie w czterech literach. Niech robią, co chcą, wtrąca do lochu, wychłostają, mogą nawet zabić, ale nie pozwoli sobie na kolejne zniewagi. Nie dopuści też, aby komukolwiek stała się krzywda, a już na pewno nie Tormodowi, który nie zasłużył na konsekwencje jej czynów. Wytarła dłonie o materiał sukienki, po czym podeszła do siedzącego w bezruchu Ossiana.

– Możesz zrobić ze mną, co chcesz – rzekła bez lęku. – Nie żałuję niczego i gdybym miała uczynić to jeszcze raz, nawet bym się nie zawahała. Ten paskudny gnojek sobie na to zasłużył!

– Dziękuję – odparł krótko.

Zamilkła zdziwiona. Co, do diabła? Robił sobie z niej jaja w takiej sytuacji?

– Że co? – zapytała głupio.

– Gdyby nie ty, mój syn byłby teraz martwy – wyjaśnił poważnym tonem. – Nie on jeden.

– Byłby? A nie jest? Nie zabiłam go?

Cios był dość mocny i, prawdę mówiąc, obawiała się, że pozbawiła go życia. W zasadzie mogła jedynie strzelić go w mordę, ale po prostu musiała dać upust emocjom. Usłyszała wybuchających śmiechem mężczyzn, co nieco rozładowało atmosferę.

– Nic mu nie będzie, Brice. Jedynie gniew Zwierza mógł odebrać mu życie. Jestem od dziś twoim dłużnikiem, pamiętaj o tym. Jutro porozmawiam z Morvenem i zajmę się nim w sposób, na jaki sobie zasłużył. – Zszokowały ją słowa Ossiana. Nie chciał jej ukarać? Był wdzięczny? Czegoś tu chyba nie rozumiała.

– Po prostu nie chciałam, żeby coś stało się Tormodowi, a gdyby ten przygłup powiedział prawdę, sytuacja wymknęłaby się spod kontroli. – Spojrzała niepewnie na Ossiana. – Może zareagowałam zbyt nerwowo, ale należało mu się. Prawda? – wymamrotała z wahaniem.

– Aż za bardzo mu się należało, dziewczyno. I to już od dawna – rozbrzmiał życzliwy głos Eiliga.

– Nie mówmy o tym. Chcę po prostu, żebyś wiedziała, że mam u ciebie dług wdzięczności, Brice. Może nie rozumiesz powagi sytuacji, lecz wiedz, że uratowałam życie mojemu jednemu dziecku. Prawdopodobnie nie tylko jemu – mówił z wyraźnym trudem. Zdążyła poznać Ossiana i zauważyła, że jest człowiekiem, któremu już samo dyskutowanie z kobietą nie przychodziło łatwo. Był też niesłuchanie honorowym mężczyzną.

– Owszem, nie rozumiem – przyznała z goryczą, jednak nikt nie zinterpretował tego we właściwy sposób.

Rozdział 13 Sercowe rozterki i porno w sieci



Pomimo że Brice znalazła swoje miejsce w realiach, do których trafiła i poniekąd je zaakceptowała, zdarzały się chwile takie jak ta, i następowało brutalne zderzenie z szesnastowiecznymi obyczajami, a wtedy nawał tego wszystkiego przytłaczał ją. Uratowała wiele żyć? Przed czym? Dlaczego? Zwierz, aby zachować twarz, musiał zabijać przyjaciół? Poczowała zwątpienie. Ta sytuacja ją przerastała. Czowała przeogromny żal, że obdarzyła tego człowieka uczuciem. Kochała go i nie potrafiła tego powstrzymać.

– Czy zasiądziesz z nami do stołu? – Zaskoczona ujrzała, jak Eilig robi jej przestrzeń obok siebie.

Zanim zdążyła się odezwać, poczuła na ramionach czyjeś dłonie i gdy obejrzała się w tył, ujrzała Bothana, który zasiadł obok, zanim zdążyła otworzyć usta.

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko, abym do was dołączył – powiedział i, nie czekając na odpowiedź, nalał jej wina. Postawił przed nią kielich, a następnie uzupełnił puchary siedzących obok mężczyzn.

Zamarła, nie wiedząc, jak się zachować i co robić. Szybkie kalkulacje. Blane nie chciał, aby obok niego siedziała, miał ochotę ją pokroić żywcem i zdawała sobie sprawę, że była powodem tego, iż połałaby się tu krew. W tym się zgadzali. Ostatnie, czego chciała, to siedzenie obok tego chama, a pokrojenie żywcem to najłagodniejsza rzecz, jaką teraz miała ochotę mu zrobić. Nie musiała patrzeć na Blane'a, żeby wiedzieć, że jest na nią ostro wkurwiony. Co tak naprawdę powinna, do jasnej cholery, teraz zrobić?

– Bothanie, tak się zastanawiam. Bo jest całkiem prawdopodobnie... Nie mam pewności, ale prawie ją mam, tylko... – plątała się, nie wiedząc, jak to ująć. – Wiesz, nie wiem, czy będę miała dziś gdzie spać – wyznała rozbrajająco, po czym zerknęła na Bothana żalnym spojrzeniem.

– Mój dom jest twoim domem, Brice – oświadczył.

– Może będzie lepiej, jeżeli każę Bradanie posłać w izbę mej córki. Ona prześpi się u siostry, a jutro poradzimy, co dalej robić – zaproponował Eilig. Brice odetchnęła, lecz wcale nie zrobiło jej się lepiej.

Prawdę mówiąc, chciało jej się płakać, jedyne na co miała ochotę, to wyjść stąd i biec przed siebie dotąd, aż płuca odmówiłyby posłuszeństwa. Chciała być jak najdalej od niego. Pragnęła wrócić do Nowego Jorku, do swojego pustego loftu, w którym mogłaby korzystać z wszystkich udogodnień cywilizacji. Od razu zamówiłaby ogromną pizzę z podwójnym serem. A później zrobiłaby popcorn, przygarnęła butelkę wódki i włączyła „Przeminęło z wiatrem”. Jęknęła w duchu.

– Kogo ja oszukuję? – wyszeptowała. Ujrzawszy uważne spojrzenie Bothana, uśmiechnęła się żałośnie, po czym przechyliła puchar, wypijając czerwony płyn do dna.

Wiedziała, że nie powinna tego robić, że zaledwie niewielka ilość alkoholu uderza jej do głowy, ale teraz po prostu chciała przestać myśleć, a wino było na to dobrym sposobem.

– Czy Blane często to robi? – zapytał Bothan ściszym głosem. Spojrzała w jego zatroskane oczy. Czy miała powiedzieć prawdę?

– Nie – szepnęła krótko.

– A ile razy to zrobił? – No tak, mogła się spodziewać, że kto jak kto, ale Bothan do głupich nie należał.

– Nie jest tak, jak myślisz – oświadczyła krótko. Opróżniła kolejny puchar, który już po chwili był ponownie napełniony, o co zadbał Bothan.

– A jak myślę? – Rozmawiali przyciszonym głosem, aby nikt ich nie usłyszał.

– Myślisz, że mnie bije – oświadczyła, patrząc na niego uważnie.

– A nie robi tego? – Nie spuszczał z niej wzroku.

– Czy wyglądam na kogoś, kto daje się bić, Bothanie? – zapytała z mocą, a on uśmiechnął się pod nosem.

– Nie, Brice, ale znam Zwierza i wiem, że nie zawaha się przed niczym, a nie należy do osób łagodnych. Miałaś dziś tego przykład.

– Też go znam. Co prawda krócej i nie w taki sposób jak ty, ale nie jest dla mnie pierwszym lepszym facetem z ulicy – wypowiedziała gwałtownie i jęknęła w duchu, widząc jego zdezorientowaną minę. Fakt. Ulic to tu raczej nie mieli. Ciężko westchnęła. – Słuchaj, nie biorę go w obronę i nie usprawiedliwiam tego, co się tu wydarzyło. Mam też świadomość, że ma gwałtowne usposobienie, ale nie sadzę, żeby chodził i tłukł kobiety. Nie jest typem alfonsa.

– Alfonsa?

– Nie łap mnie za słówka – mruknęła rozeźlona. Musiała się uspokoić. Za bardzo się nakręcała. – Okej. Przed chwilą zachował się jak ostatni drań i marzę o tym, aby wydrapać mu oczy, ale to, że mnie uderzył, nie oznacza, że mnie bije. Może cię to zdziwi, ale dostałam od tego neandertalczyka wiele czułości. I nie mam na myśli tylko tych cielesnych – dodała już opanowanym głosem. – I byłabym wdzięczna, gdybyśmy o tym nie rozmawiali.

Chciała jak najszybciej zakończyć temat, ponieważ nie zamierzała wyjawiać mu, że Blane już na samym początku ją uderzył, próbował zgwałcić i chciał spalić? Jednak to nie był typ faceta, który bił kobiety, a ona nie była kobietą, która dawała się bić. Miała pełną świadomość, że sytuacja wymknęła się spod kontroli i w znacznym stopniu przyczyniło się do tego jej zachowanie, lecz w tych okolicznościach nie potrafiła się opanować. Niemniej gdyby Blane bił kobiety to nie skończyłoby się na jednym uderzeniu i na pewno nie pozwoliłby, aby wymierzyła w niego nożem. A zareagował, dopiero gdy się okaleczyła.

– Co teraz zrobisz? – Odetchnęła, gdy Bothan zmienił temat, jednak zadał pytanie, którego chciała uniknąć.

– Teraz nie chcę jeszcze o tym myśleć – odparła i czknęła.

Oho, to chyba znak, że wina było zbyt wiele – pomyślała, po czym przechyliła kolejny puchar. Mieli mocne głowy, nie to co ona. Ci mężczyźni nie pijali ani herbaty, ani kawy. Wodą zadowalali się jedynie na placu treningowym, a przy każdej innej okazji żłopali napoje procentowe.

– Chcesz wrócić do domu? – naciskał Bothan, a ona poczuła żal.

– Co masz na myśli? – zapytała pustym głosem. Co powiedzieć? Wyjaśnić, jak absurdalnie daleko jest jej dom?

– Może mógłbym pomóc.

– Moja matka nie żyje, ojciec się do mnie nie odzywa, nie mam rodzeństwa ani bliskiej rodziny – wyrecytowała smutnym, cichym głosem i podsunęła mu puste naczynie, które po chwili zostało napełnione winem.

– A mąż? – zapytał niepewnie.

– Nie mam męża, nie mam narzeczonego, nie mam nawet chłopaka. Żaden facet ze mną nie wytrzymał. Mój najdłuższy związek trwał dwa miesiące. A później się do mnie wprowadził i wytrzymał z sobą jeszcze trzy tygodnie. Ale sam powiedz, nie potrafił nawet wstawić naczyń do zmywarki, wokoło walały się kubki po kawie. Boże, jak on pił dużo kawy, takiej z fusami. I wszędzie leżały jego gazety. Żeby czytał jeszcze coś normalnego, to okej. Wiesz, *National Geographic*, *New York Times*, ale on miał mnóstwo świerszczyków. Jak można zostawiać *Playboya* pod nosem kobiety, z którą się mieszka? No sam powiedz. – Obserwowała jego zaskoczoną minę. – Kobiecie należy się szacunek, prawda? Czy siedziałbyś po nocach z nosem w komputerze i oglądał porno? Siedziałbyś?

– A powinienem? – odparł dyplomatycznie.

Przyglądając się jej, widział, że wypila wystarczająco dużo alkoholu i mówiła teraz szalone rzeczy. Poczul złość na Blane'a po raz kolejny. Już w pierwszej chwili, gdy wbiegła do pomieszczenia, dostrzegł na jej twarzy przerażenie. Ta dziewczyna była zatroskana i zaniepokojona. Zniknęli tak nagle, a Blane po powrocie nie poszedł do niej tylko został na uczcie. Tak naprawdę nie miała pewności, czy nie poległ. Zupełnie ją zignorował, jakby była nikim, choć każdy doskonale wiedział, że mimo wszystko coś do niej

czuł.

Brice była inna. Szlachetna, odważna i inteligentna, a przy tym tak egzotycznie piękna. Drobniotka, lecz nie lękała się niczego. I te niebywale błękitne oczy, niczym niebo w jasne, słoneczne dni. Jak Blane mógł ją tak po prostu uderzyć? Bez wahania i w dodatku w twarz. Znieważył ją przy wielu ludziach. Pociuszające było jedynie to, że po tym incydencie ujrzał w oczach przyjaciela niedowierzanie i ogromny żal. Widać było, że poczuł się z tym źle.

– Czy powinieneś?! – krzyknęła może zbyt głośno, co wzbudziło zainteresowanie siedzących obok mężczyzn. – Porno? Nocami? No bez kitu. I może jeszcze waliłbyś sobie konia, co?

– Swojego? – wydusił oszołomiony. Spojrzała na niego nieprzytomnym wzrokiem.

– No raczej!

– Ale dlaczego miałbym walić konia? Lubię mojego konia.

– To zajeżdża ekwinofilią, a nie wyglądasz na zoofila.

– Zoo co?

– Nie zmieniaj tematu! – krzyknęła. – Jak masz w łóżku kobietę, to nie masturbujesz się przy zboczonych filmach na YouTube, no nie?

– Nie mam w łóżku kobiety – wyjaśnił dyplomatycznie, uśmiechając się półgębkiem. Zbyt dużo wypiła i gadała coraz większe głupoty.

– No okej, nie masz. Ale gdybyś miał, to nie oglądałbyś porno, prawda? Ja bym nie oglądała. Wiesz, rozumiem, że może czasem potrzeba odmiany, więc jakaś gra jest jak najbardziej okej, ale...

– Gra? – zapytał. Czy ona chciała teraz w coś grać?

– No wiesz, jakaś strzelanina albo nawet coś strategicznego. Kiedyś próbowałam w coś takiego grać, ale nie mam do tego głowy. Zawsze wolałam książkę albo zajmowałam się obrazami, wiesz... O, cholera! – wrzasnęła nieoczekiwanie.

– Wszystko w porządku, Brice?

– Nie!

– Co się stało?

– Spaliłam da Vinci.

– Kogo spaliłaś? – zaniepokoił się.

– Przecież mówię! Da Vinci! Leonarda. I to nie był na pewno Morven – zaręczyła, wspominając niedomówienie z Uną.

– To coś poważnego? – Bothan pomyślał, że może na zamku wybuchł pożar. Przecież nie było ich całą noc. – Jest bardzo poparzony? Ten Leonardo.

– Spłonął doszczętnie – wymruczała zasmucona. – Ale nie planowałam tego. Przysięgam!

– Spłonął? – Bothan był już gotowy udać się na zamek, by sprawdzić, jakich tym razem dokonała zniszczeń, zanim dowie się o nich Blane i ponownie rozeźli.

– Tak. W kominku – wymamrotała, wzdychając ciężko. – Ale stało się to zupełnie niechcący. Naprawdę – dodała pośpiesznie.

– W kominku? – dociekał, wpatrując się w nią z uwagą. – Ten Leonardo to ktoś ze służby? – Nie kojarzył nikogo o takim imieniu.

– Nie, głuptasie – odparła, uśmiechając się lekko. – To Leonardo da Vinci. Ten od obrazów. Nie znasz go?

– Nie.

Westchnęła smętnie. Była taka głupia. Jasne, że go nie znał, nie mógł znać.

– Nikomu nic się nie stało. – Uspokoiła go. – A Mona Lisa stoi nietknięta! Nie wiem, co z nią zrobicie i jak potoczą się jej losy, ale przetrwa do dwudziestego pierwszego wieku. To wiem na pewno.

Prawdę mówiąc, nie miał pojęcia, o czym mówiła. Pomyślał, że we Francji prawdopodobnie panują obyczaje, o których nie słyszał, i to wszystko, co opowiadała, było w jej ojczyźnie na porządku dziennym. Porno, YouTube, świerszczyki i da Vinci. Może to jej znajomy?

– Brice, czy mogłabyś opowiedzieć mi o swoim domu? – zapytał, chcąc odciągnąć jej myśli na inny grunt, gdyż wydawała się zasmucona. Spojrzała na niego mętным wzrokiem i od razu pożałował, że pozwolił jej tyle wypić.

– O moim domu? – powtórzyła przyciszonym głosem.

– Tak, Brice – potwierdził z uśmiechem.

– A uwierzysz mi?

– Oczywiście. We wszystko – zapewnił.

– A gdybym powiedziała, że mój dom jest w przyszłości, w dwudziestym pierwszym wieku, uwierzyłbyś? – wyszeptała. Na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie. Mimo wszystko nie chciała, aby facet, który być może jako jedyny ją szanował, pomyślał, że zwariowała. – Żartowałam – oświadczyła, po czym się roześmiała, choć tak naprawdę chciało jej się płakać.

Mimo tego, że z całej siły starała się nie spoglądać na Blane'a, jej wzrok w tym momencie przeniósł się właśnie na niego. Nie miała pojęcia, czego się spodziewała. Zobaczyć go zajętego rozmową, pijanego, a może nawet trzymającego na kolanach jakąś dziewczynę? Jednak niczego takiego nie ujrzała. Patrzył na nią przeszywającym wzrokiem pociemniałych z gniewu oczu, w których czaił się niepokój.

Czy obawiał się, że powie coś Bothanowi? Czy bał się, że opowie o tym, co stało się tej nocy, gdy się poznali? O tym, że nazwała go tchórzem? Przecież nigdy by tego nie zrobiła. Tak naprawdę czuła do niego coś, czego nie chciała czuć. Kochała go. Uwielbiała każdą minutę, jaką z nią spędzał. Jego złość, gdy czegoś nie rozumiał, wściekłość, kiedy się buntowała i każdą czułość, jaką dawał, każdy pocałunek. Czy ten bydlak, który ją dziś uderzył, mógł być jednocześnie takim czułym człowiekiem?

Zauważyła, jak zaciska palce na pucharze, a później powróciła spojrzeniem do jego twarzy i tak po prostu się rozplakała. Emocje wybuchły w tym jednym momencie. Nie dawała już rady się kontrolować. Wypity alkohol i te myśli, których nie potrafiła powstrzymać. Usłyszała jakiś hałas oraz krzyki, ale czuła już tylko obojętność. Obojętność i żal. Po chwili czyjeś silne ręce objęły ją w talii i podniosły z krzesła, na którym siedziała. Gdy stopami stanęła na posadzce, nieco się zachwiała, lecz powstrzymał ją od upadku. Uniosła zapłakane oczy i zobaczyła twarz Blane'a, na której nie było już gniewu, a to sprawiło, że jeszcze bardziej się rozplakała. Gdzieś tam słyszała krzyki Tormoda, którego uspokajał Bothan, i czuła się bezradna. Taka słaba oraz zagubiona. Przytłoczona.

– Nie płacz. – Nie mogła się powstrzymać. – Nie bój się, niczego ci nie zrobię. – Każde jego słowo sprawiło, że wzbierał w niej coraz większy żal.

– Nie boję się – wyszeptała i otarła dłonią łzy.

Blane ujrzał w jej oczach znajomy blask, który sprawił, że odetchnął.

6 Pociąg seksualny do koni (przyp. aut.).

Rozdział 14 Nigdy więcej



Blane obserwował ją, siedzącą po drugiej stronie stołu, i coś w nim szalało. Początkowo próbował zachować pozory. Prowadził rozmowę, nawet udawał, że cokolwiek rozumie, od czasu do czasu przytaknął rozmówcy, ale nawet nie wiedział, z kim dyskutował. Nie potrafił skupić się na niczym innym niż ona. Piła coraz więcej i widział, że zachowywała się coraz hałaśliwiej. Mówiła głośno, gestykulując przy tym, i zdawał sobie sprawę, że na pewno plecie teraz te swoje bzdury. Był zły na Bothana, że co chwilę dolewał jej wina. Czy ten idiota nie dostrzegał, że jest już wystarczająco pijana?

Kiedy spojrzała na niego, poczuł dziwny skurcz w żołądku i jeszcze bardziej zapragnął być przy niej.

Miała w oczach takie zagubienie oraz ogromny smutek, że coś zakłuło go w sercu. Dlaczego, do diabła, do tego dopuścił? W chwili, kiedy się rozplakała, nie potrafił już się opanować. Gdy zerwał się z krzesła, ktoś powstał, aby go powstrzymać, lecz był tak nabuzowany emocjami, że ze złością odrzucił mężczyznę pod ścianę. Nikt więcej nie spróbował już stanąć mu na drodze. Gdy tylko znalazł się przy niej, poderwał ją w górę niczym szmacianą lalkę. Wiedział jedno: musiał ją stąd zabrać. Za wszelką cenę.

– Żałuję – wypowiedział na głos swe myśli. Nie planował tego, jednak nie mógł się powstrzymać. Zupełnie nie zwracał teraz uwagi na to, że nie byli sami. Liczyła się jedynie ona. – Już nigdy więcej tego nie zrobię – zaręczył. Na twarzy Brice pojawiło się zaskoczenie, które z chwili na chwilę przeradzało się w coraz większą złość.

– Ty bydlaku! – wrzasnęła. Zamachnęła się, lecz niecelny cios sprawił, że gdyby jej nie podtrzymał, upadłaby na posadzkę.

Czego mógł się spodziewać? Że rzuci się mu na szyję, a potem podziękuje za wspaniałomyślną obietnicę, której nie powinien składać? To była przecież Brice. Ten ogień i pasja w jej oczach. Ten żywioł, którego teraz pragnął.

– Jesteś pijana. Wracamy – zarządził zdecydowanym głosem.

– Możesz sobie wracać, gdzie tylko chcesz! Ja nigdzie nie idę – oświadczyła zbuntowanym tonem.

– Owszem, idziesz – mruknął.

– Jeżeli mówię, że nie idę, to nie idę! – krzyknęła, po czym tupnęła ze złością. Jej nieporadność go rozbawiła. Wszyscy na nich patrzyli, ale zupełnie się tym nie przejmował.

– Tak? To co masz zamiar zrobić, gdy skończy się uczta?

Zmarszczyła czoło, nie spodziewając się takiego pytania.

– Ustaliliśmy, że będę spała z Ossianem! – wypaliła nagle, a on zamarł. Co tu się działo? Przeniósł wzrok na zaskoczonego mężczyznę, którego ta rewelacja zdziwiła jeszcze bardziej. – Zaraz! Nie! Chyba chodziło o Bothana, a właściwie o Eiliga – rzuciła, patrząc na Tormoda, który gapił się na nią z rozdziawionymi ustami. – Mogę z tobą spać, prawda? – wymamrotała bełkotliwie, a później przeniosła spojrzenie na Blane'a. – No widzisz? Zgodził się.

– Więc z którym w końcu będziesz spała? – Nie mógł się powstrzymać. Była taka rozbijająca.

– Na pewno nie z Morvenem. Twierdzą, że go nie zabiłam, ale mam wątpliwości. W każdym razie gdyby nawet, to sobie zasłużył – mruknęła ponuro.

– A więc nie pójdziesz ze mną? – Patrzył na nią tym przeszywającym spojrzeniem, a ona miała ochotę wrzeszczeć, że tak, pójdzie z nim, dokądkolwiek tylko będzie chciał ją zabrać.

– Nie pójdę! – oznajmiła stanowczo.

– Dobrze.

Zmartwiło ją, że tak łatwo zrezygnował.

– Serio?

– Jeżeli ze mną nie pójdziesz, to...

– To co? – weszła mu w zdanie.

– To cię zaniosę.

Poczuła, jak bierze ją na rękę.

– Co z nią zrobisz, panie? – Doszedł do niej przerażony głos Tormoda i pomyślała, że to dobre pytanie.

– Utopię w jeziorze – mruknął ze złością Blane, wychodząc z budynku. Za sobą usłyszał protesty chłopaka, który wziął jego słowa zbyt dosłownie, co wcale go nie zaskoczyło.

Czuł do siebie złość. Publicznie zaręczył, że nigdy więcej jej nie uderzy i że żałuje. Ale przecież nie było to nic takiego. Każdy widział, że dziewczyna jest pijana i że musiał ją jakoś uciszyć. Pewnie pomyślał, że nie mówił poważnie i chodziło mu tylko o to, aby przestała histeryzować.

– Masz mnie natychmiast zostawić – powiedziała, szczękając zębami. Cała się trzęsła. Noc była dość chłodna, a miała na sobie jedynie suknię z cienkiej tkaniny.

– Głupia baba – wyszeptał sam do siebie. Nie wiedział, co ma teraz powiedzieć. Jakoś nagle zabrakło mu słów.

Uniosła głowę i spojrzała nieprzytomnie.

Opuchnięta od płaczu twarz oraz potargane włosy w przedziwny sposób wywołały w nim czułość. Dlaczego, u licha, ją uderzył? Co takiego go opętało?

– Jeżeli natychmiast mnie nie postawisz, to...

– Wrzucić cię do jeziora? – mruknął.

Przywarła do niego mocniej, dając mu tym odpowiedź.

– Chce mi się rzygać – wydusiła.

Zmarszczył czoło.

– Czego chcesz?

– Rzygać – wyszeptała, a później dotarło do niej, że jej nie rozumie. – Wymiotować. Zwracać.

– Komu chcesz zwracać i co? – zapytał zdezorientowany. Jęknęła w duchu. Czuła torsje, a on dopatrywał się w tym długi.

– Źle się czuję, Blane – wyszeptała, sprawiając, że przystanął. Postawił ją ostrożnie na ziemi, a pod nią ugięły się nogi. Tym razem również uchronił ją przed upadkiem.

– Trzeba było od razu mówić, że ci źle – mruknął.

Pochyliła się i zwymiotowała, a on przytrzymał jej włosy, choć próbowała go odepchnąć. Nie chciała, aby widział ją w takim stanie.

– Wynoś się – zażądała. Otarła usta dłonią i spojrzała na niego, a to, co zobaczyła, ponownie sprawiło, że w jej oczach zebrały się łzy. – Odejdź – szepnęła łamiącym się głosem.

Widział ją brudną i zbrukaną, a na twarzy miał jedynie troskę. To ją drażniło, w idiotyczny sposób czuła się upokorzona. Mogła zostać w zamku i poczekać, aż wróci, a później zrobić mu awanturę, ale tak bardzo się martwiła o nich wszystkich. Co otrzymała w zamian? Uderzył ją i potraktował jak śmiecia przy całym klanie. Żeby tego było mało, upiła się niczym ostatnia idiotka i odstawiła kolejny spektakl. Lecz nie mogła przecież tak zwyczajnie na niego czekać. Musiała mieć pewność, że żył i nie był ranny. Coś przyszło jej do głowy i spojrzała na niego z lękiem.

– Co się stało? – zaniepokoił się.

– Jesteś ranny? – zapytała, starając się ogarnąć go wzrokiem.

Mógł przecież zostać ranny. To wszystko stało się tak szybko, a później nawet na niego nie patrzyła.

Ujrzała grymas złości na jego twarzy i poczuła silne dłonie na ramionach. Za moment przygarnął ją i zamknął w uścisku. Gdy jej szyja otarła się o szorstki materiał jego koszuli, syknęła z bólu.

– Żałuję, że to zrobiłem – wyszeptał zdławionym głosem, a ona zamarła. – Nigdy więcej cię nie uderzę, Brice. Obiecuję. – Poczuła się nieswojo.

– Nie obiecuj. Jutro i tak mnie zabijesz, wtrącis do lochu, wybatożysz, zagłodzisz na śmierć albo

pokroisz na kawałki – wymamrotała niepewnie, nie wiedząc, jak skomentować jego wyznanie.

Ujął jej twarz w dłonie i skierował na swoją. Jego oczy błyszczały nieznanym blaskiem. Przełknęła głośno ślinę.

– Przepraszam cię, Brice.

Tego zupełnie się nie spodziewała.

– Nie musisz przeproszać – odparła drżącym głosem.

– Nie muszę, ale chcę – powiedział i wziął ją na ręce. – A jak czegoś chcę, robię to i nie będziesz mi tu rządziła ani pouczała, co muszę, a czego nie muszę. Zrozumiałaś?

Przytaknęła głową.

– Gdzie mnie niesiesz? – zapytała, nie wiedząc, co mówić. To wcielenie Blane’a było jej kompletnie nieznanym i nie wiedziała, jak się zachować.

– Zabieram cię tam, gdzie twoje miejsce – szepnął krótko. Uśmiechając się, przymknęła oczy i ułożyła głowę na jego ramieniu. Nie zadawała więcej pytań. Doskonale wiedziała, gdzie ją zanieśie.

Gdy tylko dotarli do zamku, zostawił ją na chwilę w pomieszczeniu kuchennym, a sam poszedł do stajni, aby polecić ludziom udać się po konia, którego zostawił w Calda House. Gdy do niej wrócił, siedziała na stole z dzbankiem wina w dłoni. Na jego widok szeroko się uśmiechnęła.

– Chcesz? – zapytała, wyciągając w jego stronę naczynie. Dźwięk rozlewającego się alkoholu skomponował się z głośnym czknięciem.

– Głupia dziewczka – mruknął. Podszedł do niej, odebrał dzbanek, który odstawił na podłogę, i wziął ją ponownie na ręce. – Mało ci jeszcze wina? – zapytał niezadowolony.

– Chciało mi się pić – oświadczyła, oplatając ramionami jego szyję.

– Nie mogłaś ugasić pragnienia wodą? – rzucił z pretensją.

– A to nie była woda? – zdziwiła się. Westchnął.

– Pijana i głupia – wymamrotał.

– Pijana na pewno! Głupia tylko czasami, panie mój i władco! – oznajmiła, po czym głośno się roześmiała.

– Jesteś szalona – stwierdził rozbawiony, wchodząc do komnaty. – A teraz masz spać – nakazał, kładąc ją ostrożnie na łóżku. Położył się obok.

– Ale ja nie chcę spać! – Westchnął. On również nie chciał spać, ale cóż mógł zrobić? Była kompletnie pijana. Nie była w stanie gadać mu tych swoich głupot i nie była też w stanie... – Chcę się kochać. – Usłyszał jej głos, przez co krew wzburzyła mu się w żyłach, pobudzając go jeszcze bardziej.

– To, czego ty chcesz, nie jest ważne.

– Czyżby? – wyszeptwała. Pomyślał, że lepiej byłoby, gdyby się zamknęła.

– Chodźmy spać – powiedział, prosząc w duchu, aby odpuściła.

– Chcę cię całować. Chcę cię dotykać. Chcę cię czuć w sobie i chcę, żebyś mi... – Zakrył jej usta dłonią. Czy specjalnie tak go torturowała?

Nie miał w zwyczaju dbać o kobiety, ale teraz próbował, jednak niczego mu nie ułatwiała. Nagle ujrzał na jej twarzy zaniepokojenie. *Co znowu?*

– Zraniono cię? – wyszeptwała. Ciężko westchnął. *A ona ciągle swoje* – pomyślał. Przecież to nie jej sprawa.

– Ledwie draśnięty – odrzekł, starając się opanować irytację.

– Jestem taka głupia, przecież wróciłeś z bitwy i jesteś zmęczony. Musisz odpocząć – odparła z troską. Uśmiechnął się pod nosem. – Tak bardzo się cieszę.

– Z tego, że jesteś głupia? – zakpił.

– Z tego, że wróciłeś do mnie cały i zdrowy – wyszeptwała niewyraźnie.

Zasypiała, wtulając się w niego.

– Do ciebie – mruknął cicho, kiedy jej oddech stał się już miarowy.

– Kocham cię... – wyszeptwała przez sen, sprawiając, że wstrzymał oddech, zupełnie zaskoczony jej słowami. Co to mogło oznaczać? Kto jej się śnił?

Rozdział 15 Mnie tu nie ma



Pierwsze co poczuła, gdy tylko otworzyła oczy, to mdłości. Leżała przez chwilę nieruchomo, zastanawiając się, co się działo i powoli zaczęły docierać do niej wspomnienia poprzedniego wieczoru. Blane, bitwa, uczta. Jezu, zrobiła z siebie idiotkę przed tymi wszystkimi ludźmi. A on? Uderzył ją. Przeprosił, ale przecież uderzył. Poczowała czyjaś dłoń we włosach i uchyliwszy powieki, spojrzała wprost w jego pociemniałe oczy.

– Chce mi się pić – wyszeptała ochryplym głosem.

– Co ci się śniło? – wypalił.

Zmarszczyła czoło zdezorientowana.

– Ty w różowym trykocie – mruknęła. – Jest tu gdzieś woda?

– Ja? – zapytał, przyglądając jej się uważnie, a ona zmarszczyła czoło. O co mu, u licha, chodziło?

– Nie wiem, co mi się śniło, Blane. Mam kaca i cholernie boli mnie głowa. Jedyne, o czym teraz marzę, to wiadro wody i tabletki przeciwbólowe, których nie dostanę, więc bądź łaskaw nie zadawać głupich pytań – powiedziała pospiesznie. – A właściwie dlaczego pytasz, co mi się śniło? – Spojrzała na niego wnikliwie.

– Gadałaś bzdury – odparł po chwili milczenia, a ona zastanowiła się, co tym razem mogła mu opowiadać. – I mów po naszemu – zażądał.

– Hę?

– Marzysz o tabletkach i masz kaca. Francuskiego nie znam, ale jeżeli wytłumaczysz, o co chodzi, to może dostaniesz.

No tak, znowu!

– To nic ważnego. Powiedz lepiej, co mówiłam przez sen.

– Nie pamiętam dokładnie – odburknął. – Kiedy ostatni raz rozmawiałaś z Morvenem? – Jęknęła w duchu.

– Jeżeli go wczoraj zabiłam, nie planowałam tego. Poważnie – zaręczyła. – A później już go nie widziałam. Chyba że urwał mi się film, ale nie sądzę, bo pamiętam, jak razem zasypaliśmy, a nie lunatykuję – wypaliła.

– Co ci się urwało?

Kurwa!

– To takie określenie. – Jak miała mu to, cholera, wytłumaczyć? – Wiesz, gdy ktoś traci przytomność.

– I umiera?

– No nie aż tak.

– A może tak, jak stało się z Morvenem, gdy rozbiłaś mu dzbanek na głowie? – wypowiedział, przekornie się uśmiechając. To było takie niecodzienne. Uśmiechnięty Blane.

– Masz rację. Zdecydowanie urwał mu się wczoraj film – stwierdziła wesoło.

– Gdybyś go zabiła, nie byłoby wielkiej szkody.

Zdawała sobie sprawę, że Blane nie darzy Morvena sympatią. Jednak dlaczego akurat teraz o niego wypytywał? Może jednak wydarzyło się coś jeszcze?

– Mamy podobne zdanie – wymruczała.

– Źle się czujesz? – Zmienił temat.

Popatrzyła na niego badawczo. Zapytał ją o samopoczucie, troszczył się i uśmiechał. Co, do diabła, się z nim działo?

– Czuję się jak przeżuta podeszwa – poinformowała.

Przez chwilę zerkał na nią w milczeniu, a za moment wybuchnął gromkim śmiechem. Patrzyła na niego z szeroko otwartymi oczami. To nie był on. To nie Blane. *Brat bliźniak?* – pomyślała.

– Nie jesteś na placu treningowym? – zapytała, zorientowawszy się, że jest już dość późno.

– Jestem na placu treningowym, Brice. – Jak głupia wpatrywała się w uśmiech na jego twarzy. Co powinna teraz zrobić? Jak zachować się, żeby tego nie popsuć?

– Myślałam, że...

– Czekałem, aż się obudzisz – przerwał jej. Wpatrywał się w nią z dziką satysfakcją.

Nie miał pojęcia, czy bardziej lubił ją wściekłą, czy zaskoczoną. Nie miał też pojęcia, co skłoniło go do tego, aby zostać tu dłużej niż zazwyczaj i poczekać, aż się obudzi. Czy to oznaka słabości? Wcale nie. Chciał po prostu ujrzeć ją taką zmaltretowaną i chorą.

Ale czy na pewno? Musiał przyznać, że uwielbiał momenty, gdy przestawała się kontrolować i używała francuskich słów. Zawsze budziło to jego ciekawość i uczyło nowych rzeczy. Był przekonany, że żaden naczelnik nie ma tak bogatego zasobu słownictwa francuskiego, więc w sumie miał z niej jakiś pożytek. Prawdopodobnie nikt oprócz niego nie wiedział, że gdy wygrywa się walkę, to przeciwnikowi urywa się film i zostaje lunatykiem. Co prawda nie upewnił się z tym drugi, lecz umiał sobie to wydedukować. W końcu był skurwielem i takie rzeczy nie sprawiały mu trudności.

– To miło z twojej strony – wydusiła, a on ciężko westchnął.

Czemu dziś wciąż czuł się jak ostatni idiota?

Może po prostu chciał sprawdzić, czy pamięta, kto jej się śnił i komu wyznała miłość? Może to był jedyny powód tego, że został?

– Masz. – Podsunął jej pod nos kubek z żółtym, gęstym płynem. – Wypij to, przejdzie ci ból głowy i poczujesz się lepiej.

– Śmierdzi jak końskie szczyiny. – Wykrzywiła się z obrzydzeniem.

– Smakuje jeszcze gorzej, a teraz pij! – zagrzmał.

Pospiesznie przechyliła naczynie, opróżniając je kilkoma łykami, po czym spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– To jest dobre – szepnęła zaskoczona, a on parsknął śmiechem.

– Na pewno lepsze niż końskie szczyiny – oznajmił. Złapała go za rękę i spojrzała przenikliwie w oczy.

– Dziękuję – szepnęła.

Milczał.

Doskonale wiedział, że miała na myśli jego wczorajsze wyznanie. Był jej wdzięczny, że nie nawiązywała do tego w rozmowie, ponieważ nie chciał nawet o tym myśleć. Z jednej strony czuł się głupio, lecz z drugiej był z siebie ogromnie zadowolony. Miał teraz pewność co do dwóch rzeczy. Nigdy więcej jej nie uderzy, nawet gdyby to ona podniosła na niego rękę. Zawsze mógł przecież przerzucić ją sobie przez ramię, wynieść do komnaty, związać, zakneblować i przeczekać aż się uspokoi, a później ukarać w inny sposób. Nie miał pojęcia jaki, ale istniało wiele możliwości. Druga rzecz, której był pewien, to że nie dopuści, aby ktokolwiek choćby spróbował urwać jej film. W jego obecności Brice nigdy nie stanie się lunatykiem.

Westchnął, spoglądając na nią przenikliwie, po czym przysunął się i pocałował w czubek głowy.

– Wyjdź na świeże powietrze. Dobrze ci to zrobi – zaproponował, wstając z łóżka.

– A ty? – zapytała, widząc, jak zmierza w stronę drzwi.

– Zapomniałaś, że mnie tu nie ma, Brice? Jestem na placu treningowym. – Dostrzegła, jak zamykają się za nim drzwi do sypialni.

Czy to sen? Blane w takim wydaniu to coś, czego do tej pory nie widziała i coś, czego nie spodziewała się nigdy ujrzeć. Nie miała pojęcia, że ten facet potrafi się tak zachowywać. Uśmiechać się i żartować. Ostatnie godziny to istna huśtawka skrajnych emocji. Uderzył ją. A później powiedział, że żałuje i zaręczył, że już nigdy tego nie zrobi. Jednak najbardziej zaskoczył ją, przeprasząc. Doskonale wiedziała, ile

musiało go to kosztować. Takie słowa w obecności jego ludzi? Aż dziw, że w ogóle przeszły mu przez gardło.

Ubrała się pospiesznie, po czym wyszła z komnaty. Gdy tylko zeszła po schodach, wpadła wprost na Tormoda.

– Muszę z tobą porozmawiać, Brice. – Zmarszczyła czoło. Coś wyraźnie go trapiło.

– Wszystko w porządku?

– Nie.

– Co się dzieje?

– Powiedziałaś, że jesteś moją przyjaciółką, a przyjaciele mówią sobie pewne rzeczy, prawda? – Zachowanie Tormoda ją zaniepokoiło. Od razu poczuła, że coś jest nie tak.

– Mów, u licha, co się dzieje! – zażądała.

– Wczoraj na bitwie coś się stało, Brice – wydusił rozgorączkowany.

– Co takiego? – naciskała.

– Coś zobaczyłem.

Rozdział 16 Raven



– Czy nietaktem będzie, gdy powiem ci, że jesteś piękną kobietą, Vanoro? – wypowiedział brunet, sprawiając, że parsknęła śmiechem.

– Potraktuję to jako żart, Ravenie – odpowiedziała rozbawiona.

Od samego rana starała się zająć czymś myśli, aby przestać przywoływać widok Blane'a. Nie mogła wciąż się tym zdręzczać. W innym przypadku wpadłaby w paranoję. Przecież to zwyczajny mężczyzna. Co z tego, że budził w niej niezwykle emocje? Nie mogła popaść w przesadę, życie toczyło się dalej, a najważniejsze było to, że wkrótce tu przyjedzie.

– Proszę, nie traktuj tego jako żart. W mych słowach nie ma ani jednego kłamstwa – oznajmił Raven.

Nie wiedziała, co ma sądzić o tym człowieku. W sumie przesadnie jej się nie narzucał, nie był aż tak nachalny, a komplementy, jakie prawil, to zwyczajne uprzejmości. Prawdopodobnie gdyby wiedział, że nie lubi być chwalona, to by tego nie robił. W zasadzie budził sympatię. Był uprzejmy i sympatyczny. Wyglądem, aparycją oraz manierami znacznie odbiegał od mężczyzn, z jakimi miała do czynienia. Przystojny, elegancko ubrany, wystylizowany i nadmiernie przymilny. Zazwyczaj nie darzyła ciepłymi uczuciami takich osób, jednak Raven miał w sobie pogodność, którą zjednał sobie niemal wszystkich ludzi z klanu. Niemal. Ponieważ ku jej ogromnemu zaskoczeniu odmiennymi uczuciami obdarzył go Gaston, który od pierwszego spotkania zachowywał dystans, a do niej otwarcie mówił, że mu nie ufa.

Gaston, choć znała go zaledwie od kilku dni, stał się dla niej przyjacielem, kimś bardzo ważnym w jej życiu. Liczyła się z każdym jego słowem, tym razem jednak była zbyt zajęta czymś innym, aby wnikać głębiej w to, dlaczego Raven wzbudzał we Francuzie tak negatywne uczucia. Również Tenebris budziła w Gastonie emocje, jednakże skrajnie różne od tych, jakimi darzył jej brata. Dziewczyna była przedziwna. Miała w sobie jakieś dzikie piękno. Te egzotyczne oczy i drobniutka budowa ciała u tak wprawionej w walce wojowniczkki robiły na każdym wrażenie. Ile mogła mieć lat? Wyglądała na bardzo młodą. W innej sytuacji Vanora próbowałaby się tego dowiedzieć i zbliżyć do dziewczyny, jednak teraz jej głowę zaprzętał ktoś inny.

– Nie radziłbym ci prawić jej komplementów, przyjacielu – wtrącił Luthias, który właśnie do nich podszedł. Również i on obdarzył Ravena sympatią.

– Dlaczegoż to? – zapytał brunet. – Czyż nie jest piękna?

– Czy ja wiem? Vanora to Vanora. Jest taka, jaka być powinna. A że bardziej mi jest druhem, to na wdzięki jej nie zwracam uwagi. – Wzruszył ramionami. – Tobie jeno podpowiadam, że pochwał nie lubi, a przy tym dobrze włada mieczem. Na twoim miejscu wziąłbym to pod uwagę – dodał ze śmiechem, mrugając przy tym znacząco.

– Nigdy nie okłamałbym kobiety, a inaczej niż piękną nie mógłbym jej nazwać – odparł. Vanora miała już powoli dość tego wazeliniarstwa.

– Nigdy? – Dotarł ich głos Gastona, który po chwili się przy nich pojawił. W milczeniu patrzył na Ravena uważnym wzrokiem z nieprzeniknioną miną.

– Absolutnie nigdy nie okłamałbym kobiety – zaręczył. – A czy ty skłamałbyś kobiecie? – zapytał, chcąc go sprowokować.

Vanora uśmiechnęła się głupio. Biedacek nie wiedział, w co się pakował.

Wymieniła z Luthiasem znaczące spojrzenie.

– Nigdy nie wydaję osądów, nie będąc czegoś pewnym, a kłamstwo ciężko jest sklasyfikować. Bywa, że kłamiemy bezwiednie. Czasem niechcący, a czasami nawet nie wiemy, że kłamiemy. Ponoć kłamstwo powtarzane dziesięć razy staje się prawdą, więc być może kłamiesz, nawet o tym nie wiedząc.

– Jeżeli nie wiem, że kłamię, to nie można tego przecież uznać za kłamstwo – stwierdził zadowolony Raven.

– Więc dopuszczasz, że może tak być?

– Oczywiście, ale nie jest to wtedy...

– Przeanalizuj moje słowa jeszcze raz.

– Nie rozumiem.

– Aby kłamstwo stało się prawdą, musisz najpierw dziesięć razy skłamać. Dopuszczając, że obecnie możesz kłamać, nie wiedząc o tym, potwierdziłeś, że wcześniej skłamałeś wielokrotnie – stwierdził rzeczowo, sprawiając, że zawsze opanowany Raven nagle poczerwieniał na twarzy. – Więc, odpowiadając na twe pytanie, nie mogę mieć pewności, czy okłamałbym kobietę. Na pewno starałbym się tego nie uczynić.

– Ja mogę mieć pewność – odparł Raven, patrząc przenikliwie na Gastona.

– Nawet nie będąc pewnym? – Drażnił go umyślnie.

– Tak! To znaczy nie! – Brunet zacisnął mocniej szczękę, próbując się uspokoić. – Nie okłamuję kobiet! – oświadczył z mocą. – I mam pewność.

Ledwie udawało mu się ukryć irytację, jaką poczuł do Francuza.

– Nikt nie zabrania ci mieć pewności, jak również nikt nie zadaje ci pytań, więc nie musisz się tak ekscytować. To niezdrowe. – Głos Gastona był niesamowicie opanowany, co wyprowadzało Ravena z równowagi. – Twe kłamstwa zostają jedynie twym sekretem – dorzucił prowokacyjnie.

– Ale ja nie kłamię – warknął Raven, tym razem już nie ukrywając złości.

– A czy ktoś oskarża cię o kłamstwo?

– Powiedziałeś, że moje kłamstwa zostaną moim sekretem, a ja nie kłamię, więc...

– Jedynie winny się tłumaczy – stwierdził krótko Gaston, po czym odwrócił się i odszedł, pozostawiając ich w niezręcznym milczeniu.

– Czy on zawsze jest taki przyjazny? – zapytał po chwili Raven, próbując silić się na żart.

– Jeżeli chodzi o Gastona, to po prostu nie ma sensu wdawać się z nim w dyskusję – poradził Luthias.

– Jest aż tak głupi?

– Nie – oświadczyła z przekornym uśmiechem Vanora. – Aż tak inteligentny – dodała bezdusznie.

– Gdzie twa siostra, Ravenie? – zapytał Luthias, chcąc zmienić temat.

– Tenebris?

– A masz jeszcze jakąś? – wypowiedział ze śmiechem. Po chwili zawtórował mu brunet.

– Nie mam pojęcia, gdzie jest i niezbyt mnie to interesuje – mruknął pod nosem.

– Ile ona ma lat? – zapytała Vanora.

– Osiemnaście – skłamał.

– Wygląda na młodszą – zdziwił się Luthias. – Jest bardzo ładna – dorzucił z głupim uśmiechem.

– Nie ma w niej niczego interesującego. To dziwaczka, od której lepiej trzymać się z daleka – podsumował Raven.

– Wygląda sympatycznie. – Vanora była coraz bardziej zdegustowana. Dlaczego wyrażał się tak niepocholebnie o siostrze? Czyżby Gaston miał rację? – Jest bardzo młoda, czy powinna walczyć?

– Ty walczysz, a nie jesteś o wiele starsza od niej – wytknął. – Tenebris robi to, co do niej należy – podsumował zwięźle.

– Jestem córką naczelnika i moją powinnością jest przejęcie tej funkcji, gdy trzeba bronić klanu, ponieważ ojciec mój nie jest w pełni sił, aby stanąć do walki. A ty z siostry uczyniłeś płatnego najemnika – oświadczyła chłodno. – Ja robię to, co do mnie należy. Natomiast Tenebris robi to, co jej nakazesz. Widzę tu ogromną różnicę.

Rysy twarzy Ravena stężały. Milczał, lecz widać było, że ledwie powstrzymuje się przed ripostą. Zdecydowanie nie spodobało mu się to, co usłyszał.

Natomiast Vanora patrzyła mu wyzywająco w oczy, jedynie czekając na jego reakcję.

– Mów, co chcesz, Ravenie, ale twoja siostra jest prześliczną dziewczyną i nie miałbym nic przeciwko, aby poznać ją bliżej. – Niezręczną ciszę przerwał Luthias, który zorientował się, że rozmowa

staje się kłopotliwa i postanowił skierować temat na inne tory.

Vanora westchnęła, dostrzegłszy kątem oka, że przysłuchuje się temu Sorcha. Nie było tajemnicą, że dziewczyna darzyła Luthiasa czymś więcej niż braterską miłością, podczas gdy on traktował ją niezmiennie niczym młodszą siostrę. Na twarzy Sorchy zagościł przytłaczający smutek, po chwili odeszła w stronę zamku ze łzami w oczach. Vanora z całej siły uderzyła Luthiasa w ramię. Chłopak spojrzał na nią zdziwiony.

– O co ci chodzi? – wydukał zdezorientowany.

– O nic, ty ośle!

– Przecież Tenebris jest ładna – oświadczył.

– Ślepy idiota! – krzyknęła ze złością i odwróciwszy się odbiegła za dziewczyną.

– Co ją ugryzło? – zapytał Luthias, patrząc na Ravena, który przyglądał się z uwagą całemu zajściu.

Od razu zorientował się, co się dzieje i co było powodem zachowania Vanory, lecz nie miał zamiaru wdawać się w dyskusję i uświadamiać młodego Szkota. Im większe konflikty powstaną w klanie MacCallum, tym prościej będzie wykonać zlecenie Ervina. Jeżeli w ogóle do tego dojdzie, bo nie miał na razie pewności, jaką decyzję podejmie Malum i czy nie będzie to kolidowało z osiągnięciem ich celu.

– Może jest o ciebie zazdrosna – stwierdził bez przekonania, wzruszając ramionami.

– Vanora? – zapytał z niedowierzaniem Luthias, a później gromko się roześmiał. – Jest mi jak siostra. Złe odniosłeś wrażenie.

– Całkiem możliwe – przyznał obojętnym tonem. Wciąż próbował uspokoić emocje.

Zachowanie Gastona początkowo jedynie wytrąciło go z równowagi, jednak już koniec niemal doprowadził do furii. Ten człowiek od razu mu się nie spodobał. Już podczas pierwszego spotkania stwierdził, że będzie z nim problem. Z bandą prymitywnych szkockich prostaków poradził sobie z łatwością. Kobiety jadły mu z ręki. Vanora nie pałała co prawda nadmiernym entuzjazmem, ale i ona traktowała go z sympatią, którą zamierzał pogłębić. Jednak ten Francuz wszystko zniweczył, sprawiając, że wypadł z roli i zrobił z siebie idiotę. Czuł taką wściekłość, że najchętniej od razu kazałby Tenebris, aby się nim zajęła, lecz obawiał się podjąć ryzyko. O Vanorze starał się nie myśleć. Najchętniej osobiście skrzyłby dziewczynie kark, a był zmuszony nadal jej nadskakiwać. Musiał odzyskać zaufanie młodej Szkotki. Pomyślał, że najlepiej zrobi, jeżeli na razie zachowa dystans i poczeka na Malum. Wspólnie zdecydują, co zrobić z Francuzem, a on przez ten czas ostudzi mordercze zamiary względem córki Ronana. Gaston był ambasadorem, przez co nie mogli się go tak po prostu pozbyć, ponadto przybył do Eilean Donan wraz z markizem, a mieli plany wobec przyszłego władcy Lotaryngii. Natomiast Vanora to córka naczelnika. Wyeliminowanie jej nie wchodziło w rachubę.

Kolejnym problemem okazał się Luthias. Jego zainteresowanie Tenebris nie było Ravenowi na rękę. Wiedział, że za wszelką cenę nie można dopuścić do niej nikogo z klanu MacCallum. Dziewczyna izolowała się sama, jednak natrętny chłopak mógł niepotrzebnie namieszać jej w głowie, a była teraz w takim wieku, że być może odwzajemniłaby to zainteresowanie. Później wyszłyby niepotrzebne komplikacje, a do tego nie mogli dopuścić. Była cenna, a jej umiejętności przynosiły im zbyt dużo korzyści, aby teraz pozwolili jej odejść.

Raven nie miał pojęcia, że Tenebris nie jest jedynie intuicyjnym wojownikiem, wykonującym posłusznie powierzone jej zadania. Jego siostra skutecznie ukrywała jeszcze inne zdolności, które niewątpliwie utorowałyby im drogę do osiągnięcia niecznych celów o wiele szybciej. Były to również zdolności mogące pokrzyżować ich plany.

– Widzimy się na uczcie – powiedział Luthias, po czym odszedł, nie zdając sobie sprawy, że mężczyzna, którego ma za przyjaciela, jest dla niego ogromnym zagrożeniem.

Rozdział 17 Spojrzenie



Tenebris przyglądała się bratu podczas jego rozmowy z córką MacCalluma i jej przyjacielem Luthiasem. Raven swoim zwyczajem czarował z powodzeniem rozmówców, sprawiając, że tańczyli według jego melodii. Wyglądało na to, że nawet Vanora uległa jego urokowi, choć wydawała się czymś rozproszona, więc ciężko stwierdzić, czy była dla niego uprzejma dlatego, że ją zauroczył, czy może po prostu z grzeczności.

Gdy dołączył do nich Francuz, nastrój Ravena diametralnie się odmienił. Z muru, na którym siedziała, dzielił ją spory dystans do rozmawiających, więc nie słyszała wszystkiego dokładnie, lecz to, co dotarło do jej uszu, rozbawiło ją. Ravena nie można tak po prostu wyprowadzić z równowagi, głównie dlatego, że już zawczasu przygotowywał sobie grunt w taki sposób, że ludzie od razu nastawieni byli do niego przychylnie, a później tak manipulował rozmową, że ich sympatia jeszcze się pogłębiała. Zawsze przyjazny, troskliwy i miły, sprawiał wrażenie kogoś, na kim można polegać i komu można powierzyć największy sekret. Ludzie mu ufali i traktowali jak przyjaciela. Potrafił zachować zimną krew i nigdy nie tracił nad sobą kontroli. Do momentu aż do rozmowy włączył się francuski gość klanu MacCallum i doprowadził jej brata do wściekłości w zaledwie kilka minut. Kim tak naprawdę był Gaston de Ponton-a-Mousson? Czy powinna traktować go jako przeciwnika, czy raczej jak sprzymierzeńca? Lecz skąd w ogóle pojawiła się ta myśl? Przecież nie miała sprzymierzeńców. Nie wiedziała, co oznacza słowo przyjaciel. W jej życiu były jedynie cele, które musiała wykonywać. Cele wytyczane przez Malum i Ravena.

– Jedynie winny się tłumaczy. – Dotarło do jej uszu. Ujrzawszy minę brata, prawie się roześmiała, co nigdy jej się nie zdarzało.

Obserwowała ich. Takie polecenie wydał Raven. Musiała poznać jak najwięcej szczegółów o wszystkich członkach klanu MacCallum. Przygotowywali ją tak za każdym razem, gdy ofiar miało być więcej. Nie zdarzało się to często, a w takim miejscu jak to ryzyko było większe. No, ale przecież to nie oni ryzykowali. W razie czego winą obarczono by ją i to ona poniosłaby karę. Jednak Malum i Raven nie liczyli się z tym. Dla nich ważne było jedynie osiągnięcie celu. Na tę chwilę miała zebrać jak najwięcej informacji o ludziach z klanu, aby później skutecznie wykonywać wyroki. Przeważnie dostawała do obserwacji konkretną osobę. Czasem kilka. Teraz padło słowo „każdego”, a to mogło oznaczać dosłownie wszystko. Nigdy nie zadawała pytań, to była dla niej rutyna. Innego życia nie знаła. Jednak tym razem było inaczej. Nie czuła obojętności. Coś słabo w niej protestowało.

Obserwowała Vanorę, lecz w inny sposób niż zawsze. Nie skupiała się na tym, gdzie chodzi, co robi, z kim najczęściej przebywa i, w razie konieczności, w jakich okolicznościach mogłaby ją uśmiercić. Teraz zwracała uwagę na to, jaka jest, jak traktują ją ludzie i jak ona ich traktuje. Dziewczyna była zupełnym przeciwieństwem jej rodzeństwa. Tenebris nie chciała jej zabijać, ale nie miała nic do powiedzenia. Ervin wyraził się jasno. Chciał zostać naczelnikiem, a na swojej drodze miał jedynie starego i schorowanego ojca oraz młodszą siostrę. Na pewno zażąda jej śmierci. Jednak co dalej? Obserwowała, jak traktują tego parszywca ludzie z klanu. Zdecydowanie nikt nie będzie wykonywał jego poleceń. Czy zdawał sobie z tego sprawę? A może chciał zabić wszystkich?

Westchnęła smutno. Uśmiercenie Vanory nie byłoby przyjemną sprawą. Przysłuchując się rozmowie, zrozumiała, że również Luthias prawdopodobnie podpisał na siebie wyrok. Jednak w tym przypadku nie

miałaby problemów. Mogła go zabić już w tym momencie. A Gaston? To była dziwna sprawa, lecz gdzieś w głębi duszy czuła, że ten człowiek powinien żyć, że nie może go zabić. Ale dlaczego? Czy przez to, że zrobił z Ravena głupca? Nie. Prawda była taka, że nie miała bladego pojęcia, skąd brało się to przedziwne uczucie. Jakiś głos w głowie szeptał jej, że ich losy w przyszłości się splotą. Że połączy ich wspólny cel. Coś bardzo ważnego. Jednak nie wiedziała, co to dokładnie będzie. Na szczęście jej rodzeństwo miało plany względem niego, a to znaczyło, że przynajmniej na razie nie groziło mu niebezpieczeństwo.

W tym momencie zupełnie nieoczekiwanie powróciło to uczucie, którego najbardziej się obawiała. Uczucie? Nie. Raczej wspomnienie. Bitwa, chłopak i to jego przeszywające spojrzenie pełne troski, przepełnione dobrem. Tak wiele ciepła przekazane w zaledwie ułamku sekundy w miejscu ogarniętym walką, pośród krwi i śmierci. Przez jedną krótką chwilę poczuła wstyd. Tak. Po raz pierwszy w życiu. Jeden jedyny raz. Kim był ten chłopak? I dlaczego tak na nią oddziaływał? To jego niesamowite spojrzenie, którego nie potrafiła wyrzucić z głowy. Odruchowo przymknęła powieki, przywołując obraz nieznanego. Poczowała wtedy wstyd, jednak to uczucie za każdym razem coś w niej ożywiało, a jednocześnie jakby wybudzało z głębokiego letargu.

Wzdychając, odgarnęła z twarzy włosy rozwiewane przez wiatr i otworzyła oczy, a to, co dostrzegła, sprawiło, że zamarła. *Jak długo tam stał?*

– Witaj, Tenebris. – Do jej uszu dotarł spokojny i przyjazny głos Gastona. Czego chciał? Co widział? – Czy moglibyśmy porozmawiać? Proszę.

Nie! Nie mogli porozmawiać. Pod żadnym pozorem.

– Chciałbym tylko...

Nie było mu dane skończyć. Zauważył jedynie, jak dziewczyna zeskakuje po drugiej stronie muru, na którym siedziała. Przez moment poczuł chęć, aby ją dogonić. Jednak to nie był dobry pomysł. Nie potrafił wyjaśnić, dlaczego tak bardzo zależało mu na rozmowie z nią. Była tajemnicza i nie chciała żadnego kontaktu. Przecież powinien to uszanować. Ale dlaczego nic się nie odzywała? Po prostu odwracała się i odchodziła. Bez słowa. Czyżby faktycznie była niemową? Powinien się tego dowiedzieć, zanim zaczął zadawać pytania, na które być może ona po prostu nie mogła odpowiedzieć. A jeżeli właśnie to sprawiało jej przykrość i dlatego za każdym razem uciekała? Ten nieodgadniony wzrok, którym zawsze go obdarzała. Puste, pozbawione emocji spojrzenie. Czy pod tą maską mogło coś się kryć? Nie potrafił tego wytłumaczyć, ale wciąż coś uparcie pchało go w jej stronę.

Obserwował Tenebris, gdy siedziała na murze. Czuł ogromne zaskoczenie, widząc jej zachowanie. Początkowo na twarzy dziewczyny gościł ten sam wyraz, jednak w którymś momencie dostrzegł coś nieprawdopodobnego. Może efekt spowodowało to, że do tej pory wciąż widział ją taką bezosobową, obojętną i ponurą? W momencie, gdy ujrzał, jak na jej buzi pojawiają się emocje, zamarł zaskoczony. W ułamku sekundy odmalowała się tam pasja, żal oraz tęsknota. O czym myślała? Co było powodem tej nieprawdopodobnej zmiany? Nie miał pojęcia, że w tej małej, drobnej istocie może czaić się aż taki ogrom uczuć.

Nagle odwróciła się w jego stronę i te wszystkie emocje zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Zobaczył na jej twarzy przerażenie oraz lęk. Ostrożnie spróbował z nią porozmawiać, lecz uciekła, spłoszona niczym bezbronne zwierzątko.

Rozdział 18 Kolejny problem



– Powiesz mi wreszcie, co widziałeś?! – wrzasnęła zdenerwowana Brice.

Co się, do jasnej cholery, wydarzyło na tej bitwie? Chyba nikogo nie obdarli ze skóry.

A może obdarli?

– Dziewczynę – wyszeptał z przedziwnym błyskiem w oczach.

– Jaką dziewczynę? – dociekała. – Na tej wojnie widziałeś dziewczynę? To ktoś z wioski?

– To była bitwa, Brice. – Miała ochotę go strzelić. Zamierzał teraz wytykać jej militarne różnice?

– Zabijali się? – zapytała, na co chłopak skinął głową. – Więc to nie potańcówka. Mów, co z dziewczyną. Zgwałcili ją? – Nadal miała w pamięci zachowanie Blane’a podczas ich pierwszego spotkania. A co, jeżeli notoryczne podczas bitew ktoś przenosi się w czasie? Przecież ona trafiła z współczesności do szesnastego wieku w takich właśnie okolicznościach.

– Co?

– Blane brał w tym udział? – zażądała odpowiedzi. Widząc zaskoczoną minę chłopaka, zrozumiała, że zbyt gwałtownie reaguje. – Czy naczelnik też ją gwałcił? – wydusiła.

– Kogo? – Tormod był coraz bardziej zdezorientowany.

– Tę dziewczynę! – wrzasnęła.

– Nikt nikogo nie gwałcił, Brice – zapewnił ją pospiesznie.

– Więc powiesz mi wreszcie, o co chodzi?

Patrzyła uważnie w oczy Tormoda. Ten błysk widziała u niego po raz pierwszy. Co mógł oznaczać?

– To najpiękniejsza niewiasta, jaką kiedykolwiek widziałem, Brice – wypowiedział nieoczekiwanie, a ona spojrzała na niego zdezorientowana.

– Ale co robiła na bitwie?

– Nie wiem, co teraz począć, Brice – wyszeptał podłamanym głosem, ignorując jej pytanie. Zmrużyła oczy, wpatrując się w niego czujnie.

– Wytłumaczysz mi to dokładniej? Nie wiesz, co zrobić z dziewczyną, którą zobaczyłeś na bitwie?

– Po prostu nie wiem, kim jest.

– Może to ktoś z wioski, do której pojechaliście?

– Nie, Brice – odparł smutno. – Ale muszę ją odnaleźć. Muszę jej coś powiedzieć.

Oho! Chyba zaczęła się już domyślać.

– Wiesz, jak ma na imię? Cokolwiek?

– Nie wiem ani jak ma na imię, ani skąd pochodzi i nie wiem niczego oprócz tego, że muszę ją odnaleźć, Brice.

– Dlaczego chcesz ją odnaleźć? – zadała pytanie, na które w sumie znała już odpowiedź.

– Muszę jej powiedzieć, że ma najpiękniejsze oczy na świecie – wyszeptał, a ona westchnęła.

Wyglądało na to, że Tormod się zakochał.

Zaczęła gorączkowo myśleć.

Jeżeli ta dziewczyna faktycznie przeniosła się w czasie, a istniało całkiem duże prawdopodobieństwo, że tak, to koniecznie musieli podjąć jakieś działania. Może włóczyła się teraz zupełnie zagubiona i przerażona?

A może dostała się w niewolę do tego drugiego klanu?

Brice z niepokojem pomyślała, że nieznajoma mogła nie mieć tyle szczęścia co ona i zginęła podczas walki.

– Jak była ubrana? – dociekała. Musiała poznać jak najwięcej szczegółów i w przypadku, gdyby dziewczyna istotnie pochodziła z innej epoki, powinni natychmiast działać.

– Nie wiem.

Sapnęła poirytowana.

– A poza tym, że ma najpiękniejsze oczy na świecie, wiesz cokolwiek? – mruknęła.

– Ma również piękne, rude włosy – odparł, wzdychając. Brice, chcąc nie chcąc, uśmiechnęła się.

– Dobrze, więc może inaczej. Tormodzie, co ta dziewczyna robiła? Wydawała się przerażona, jakby zobaczyła coś dziwnego? Uciekała? Mówiła jakieś nietypowe rzeczy?

– Nie, Brice. Ona jest waleczna i niczego się nie boi. Walczyła z MacAuleyami – zaręczył pospiesznie. – I nic nie mówiła, tylko na mnie spoglądała. – Westchnął przeciągle. – Tak na mnie spoglądała, że... a jej oczy... ona tak na mnie...

Jęknęła w duchu.

– Wyhamuj, Romeo. Musimy ustalić... – Nagle wróciły wspomnienia. Przecież ona też spróbowała walczyć. – Ale udawało się jej? Tej dziewczynie. Podnosiła miecz i opuszczała?

– Miecz, noże. Zabiła wielu – przyznał smutno.

– Okej. Więc wiemy, na czym stoimy. Jest miejscowa. Nie walczyła z naszym klanem?

– Nie. Zabijała MacAuleyów – zapewnił.

– Wczoraj na uczcie mówili, że otrzymaliście pomoc innego klanu – stwierdziła rzeczowo. – Co to za klan? – Dostrzegła na twarzy Tormoda konsternację.

– Nie mogę powiedzieć – oświadczył po chwili milczenia.

– Dlaczego nie możesz powiedzieć? Wiesz, co to za klan czy nie wiesz?

– Wiem.

– To dlaczego nie chcesz powiedzieć?

– Naczelnik by mnie zabił. – Brice zmarszczyła czoło. Dlaczego Blane miałby go zabijać za to, że powiedziała, jaki klan im pomógł?

– Tormod! Jeżeli ona nie jest z naszego klanu, nie pochodzi z wioski i walczyła z wrogiem, to drogą dedukcji wychodzi, że jest z klanu, który nas wspierał. Przed chwilą powiedziałaś, że poznałaś dziewczynę i chcesz ją znaleźć, więc powinno ci zależeć jedynie na tym.

– Tak, Brice. Muszę ją znaleźć – oznajmił stanowczo. Ciężko westchnęła. *Łatwo nie będzie* – pomyślała.

– Powiesz o niej coś więcej? – zapytała z ciekawością. – To, że ma najpiękniejsze oczy na świecie i również piękne rude włosy, już wiem.

– Walczyłem, a później ją ujrzałem. Była piękna. Miała takie nieprawdopodobne oczy. Jedno było zielone, a drugie pomarańczowe.

– Pewnie kontakty – szepnęła. *Znowu!* Przecież soczewki kontaktowe to zdecydowanie nie te czasy. – Może ci się przywidziało.

– Nie, Brice. Ona na mnie spoglądała i... patrzyła w moją stronę takim wzrokiem, że nie mogłem ruszyć się z miejsca. Nie mogłem oddychać. Jej oczy tak świeciły, a jej twarz wyglądała tak łagodnie, tak nieprawdopodobnie pięknie – powiedział rozanielonym głosem. Był taki słodki.

– W takim razie heterochromia? – zawyrokowała odruchowo. Widząc w spojrzeniu Tormoda zdziwienie, dodała: – Nawet nie pytaj.

Skinął przytakując głową.

– Och, Brice, muszę ją odnaleźć. Czuję, że muszę.

– A nie mogłeś podejść do niej podczas walki? – zgaśniła go.

– Zaatakował mnie jakiś MacAuley i gdyby nie naczelnik, byłbym już martwy – oświadczył. Brice spoglądała na niego zaskoczona.

– Że co?

– Obronił mnie. Zranili go, ale uratował mi życie. Niestety już więcej nie ujrzałem tej dziewczyny, choć wciąż wypatrywałem.

– Blane jest ranny?
– To nic poważnego – zaręczył.
– Skurwiel! Nic mi nie powiedział – wymamrotała wściekle. Nie zamierzała puścić mu tego płazem, ale teraz musieli się skupić na problemie Tormoda. – Ta dziewczyna na pewno jest z klanu, który wam pomagał. Innego wyjścia nie widzę. Trzeba do nich pojechać i poszukasz jej osobiście. To nie będzie nic trudnego, ponieważ dwóch dziewczyn z heterochromią tam raczej nie ma. Co to za klan?

– Nie powiem – zaparł się jak osioł.
– Dlaczego, u licha, nie chcesz powiedzieć? – zniecierpliwiła się. – To jacyś kanibale?
– Kanibale?
– Zjadają ludzi – wyjaśniła pokrótce.
– Ale jak to?
– Nie czas na wyjaśnianie zjawiska kanibalizmu. I w ogóle jeżeli powiem coś, czego nie rozumiesz, to uznaj, że tego nie powiedziałam – palnęła bezmyślnie. Wyglądał na totalnie skołowanego i wcale mu się nie dziwiła. – A teraz gadaj, co to za klan! Natychmiast!

– Nie mogę. Naczelnik by mnie zabił, Brice.
– Za co miałbym cię zabić? – Usłyszeli chłodny głos Blane’a, który właśnie do nich podchodził.
– Tormod nie chce powiedzieć, jaki klan wam wczoraj pomagał – oświadczyła poirytowana. Oblicze Blane’a się zachmurzyło. Wydało jej się to dziwne, ale teraz liczyła się jedynie poszukiwana przez Tormoda dziewczyna.

– Wybacz, panie. Nie chciałem, aby...
– To klan MacCallum – przerwał chłopakowi. – Czego od nich chcecie?
– Tormod szuka dziewczyny – rzuciła pospiesznie. Blane sapnął ze złością. Czy ten szczeniak powiedział jej coś na temat Vanory? – Powinniśmy tam jechać i...

– Panna musi być koniecznie z klanu MacCallum?
– Jeszcze nie wiemy – odparła podekscytowana. Zwierz zapragnął nią potrząsnąć.
– Wyjaśnij dokładniej – zażądał. Przerazona mina Tormoda nie wróżyła niczego dobrego. O co mogło, u licha, chodzić?

– Tormod ujrzał dziewczynę – oświadczyła Brice. Blane pomyślał, że jeszcze moment i eksploduje.
– Gdzie? – zapytał stanowczo.
– Na bitwie – poinformował chłopak.
– Na wojnie – zawtórowała Brice i zanim Tormod zdążył ją poprawić, przerwała mu: – Ustaliliśmy, że tam nie tańczyłeś. Okej?

– Była martwa? – rozbrzmiał poirytowany głos Blane’a.
– Nie! – odpowiedzieli jednocześnie, z pretensją w głosie. Blane westchnął, powoli tracąc cierpliwość.

– Zatem szukacie żywej dziewczyny i jeszcze nie wiecie, czy jest z klanu MacCallum, tak? – zagrzemiał.

– Tak! – Ponownie sobie zawtórowali, co w zasadzie zaczęło go już śmieszyć.
– Była paskudna? – Pytanie skierował do Tormoda, wpatrując się w niego badawczo.
– Nie! – Chłopak zaprzeczył gwałtownie. – Przepiękna! Najpiękniejsza! – Blane odczuł ulgę.
Spojrzał na Brice i ujrzał zapał oraz ogień w jej oczach. Pomyślał, że chciałby mieć ją teraz w sypialni. Przytulić, porozmawiać, wykorzystać każdy moment. Bo przecież nie zostało już wiele czasu.

– W jakim celu jej szukacie?
– Tormod jej szuka. Ja mu tylko pomagam – wytłumaczyła pospiesznie. Spoglądał na nią i czuł się dziwnie.

Stała przed nim i wpatrywała się w niego fascynująco błękitnymi, przepelnionymi gwałtownymi emocjami oczami. Na ten widok ledwie powstrzymywał się, aby jej nie pocałować. Tormod szukał dziewczyny, a Brice chciała mu pomóc. Nie było innej możliwości, kimkolwiek była ta dziewczyna, musiał ją dla nich odnaleźć. Przecież i tak nikt nie będzie podejrzewał, że udzieli pomocy ze względu na Brice, bo panny poszukiwał Tormod.

– Czego od niej chcesz? – zwrócił się do chłopaka. – Zrobiła ci coś?
– Nie, panie.

– On musi jej po prostu coś powiedzieć – oświadczyła Brice.

Jakoś nie dziwiło go to, że chłopak poleciał z problemem prosto do niej, choć powinien o rozwiązanie sprawy prosić swego naczelnika. Pocięchą było to, że chociaż Eilig nie radził się z nią w kwestiach militarnych. Chociaż i tu nie dałby sobie ręki uciąć.

– Co takiego chcesz jej powiedzieć? – zapytał.

– A nie uważasz, że to jego prywatna sprawa? – palnęła beczelnie blondynka.

Dobrze, że świadkiem jej zuchwałości był jedynie Tormod. W najgorszym razie będzie mógł go w spokoju zgładzić.

– Jeszcze jedno słowo, a wsadzę cię do lochu i potrzymam kilka dni o chlebie i wodzie.

– Ale przecież Brice niczego nie zrobiła! Jest niewinna – wtrącił standardowo Tormod, na co oboje jednocześnie westchnęli.

– A nie nudziłbyś się w nocy, gdybym siedziała w lochu? – wyszeptała przekornie. Zacisnął mocniej szczękę, chcąc ukryć wrażenie, jakie wywarły na nim jej słowa.

Wiedział, że zrobiła to umyślnie. Nie miała pojęcia, co kłębi się w jego myślach, a dużo się tam w tej chwili działo.

– Powiesz mi wreszcie, dlaczego szukasz dziewczyny, czy mam cię zostawić z tą niewinną wariatką? – warknął rozeźlony, spoglądając na Tormoda. – I zanim zaręczysz mi tu ponownie, że jest niewinna, to radzę ci się zastanowić, bo niewinni też trafiają do lochu. Zrozumiałeś?

– Chciałem jej po prostu powiedzieć, że ma piękne oczy – odparł cicho Tormod. Blane’owi krew wzburzyła się w żyłach.

– Najpiękniejsze – uzupełniła Brice.

– I chciałeś to powiedzieć, jak wtrącę ją do lochu czy przed?! – zagrział, patrząc raz na jedno, raz na drugie.

Czyżby jednak nieopatrznie uznał, że Tormod traktuje Brice jedynie po przyjacielsku? Widział, że chłopak patrzy na niego z lękiem, jednak gdy spojrział na blondynkę, dostrzegł ledwie powstrzymywany śmiech. Po chwili nie wytrzymała i głośno parsknęła, co jeszcze bardziej go rozeźliło. Wyglądało na to, że ta mała czarownica doskonale się bawiła.

– Może spróbuję to wyjaśnić dokładniej – oznajmiła, starając się uspokoić.

– Najwyższy czas.

– Otóż, gdy pojechaliście na wojnę – zaczęła, a Tormod wymienił z Blane’em spojrzenia i nie próbowali już nawet jej poprawiać. – Więc tam się biliście, co jest oczywiście głupotą, bo można zawsze się jakoś dogadać i nie trzeba od razu wyjmować szabli i zarzynać niewinnych ludzi. Wydaje mi się, że...

– Walczymy mieczami, a MacAuleyowie nie są niewinnymi ludźmi – przerwał jej zniecierpliwiony Blane. – Mów, u licha!

– Na tej bitwie Tormod ujrzał dziewczynę, biła się. Twierdzi, że umiała – zaręczyła. Blane westchnął zniecierpliwiony. Dlaczego ta kobieta wszystko utrudniała? – I ona na niego popatrzyła i...

– Brice! – wrzasnął.

– Zakochał się w niej i musi ją znaleźć, żeby powiedzieć, że ma najpiękniejsze oczy na świecie – dokończyła pospiesznie. Zamrugła długimi rzęsami, sprawiając, że Blane miał ochotę powiedzieć, że Tormod się myli i że to nie nieznajoma dziewczyna ma najpiękniejsze oczy na świecie.

– Wcale się nie zakochałem – zaprzeczył chłopak.

– Ale chcesz powiedzieć jej, że ma najpiękniejsze oczy na świecie, tak? – zapytała Brice, na co Tormod przytaknął. – Widzisz, wcale się nie zakochał – powiedziała, patrząc znacząco na Blane’a.

– Jeżeli mężczyźni podobają się oczy kobiety, nie oznacza to, że ją miłuje – oznajmił z rezerwą, mając na uwadze, że sam przed chwilą wysunął podobną myśl odnośnie Brice, a ta idiotka już kogoś kochała.

– Ale jemu podobają się również jej włosy i nie tylko. Pragnie też odnaleźć ją za wszelką cenę – szepnęła, uśmiechając się szeroko.

Blane przeniósł wzrok na chłopaka i ujrawszy jego rozanieloną minę, stwierdził, że coś może w tym być. Szczeniak prawdopodobnie widział tam w wiosce jakąś dziewczkę, która mu się spodobała.

– Nie mogłeś do niej podejść i zabrać ze sobą? – zapytał.

– Otóż, wyobraź sobie, że nie mógł, ponieważ jakiś MacAluej go zaatakował i jego naczelnik

uratował mu życie, samemu dając się zranić, a później skurczybyk nic mi nie powiedział – odparła z pretensją.

– MacAuley, a nie MacAluej. I nie jestem skurczybykiem, tylko skurwielem – mruknął, zastanawiając się, co może oznaczać „skurczybyk”. Brzmiało podobnie, więc to pewnie też jakieś chwalebne miano. Teraz jednak nie zamierzał dociekać. – Na drugi raz pozwolę gnoja zabić, wtedy byłoby chyba mniej problemów.

– Jesteś moim bohaterem, ale mogłeś powiedzieć, że cię zraniono – szepnęła, wzdychając, a on poczuł dreszcze. To chyba była najpiękniejsza rzecz: stać się jej bohaterem.

– Czy wiesz coś jeszcze oprócz tego, że miała piękne oczy? – zapytał Tormoda. Musiał się opanować i zachować spokój.

– Miała piękne, rude włosy i...

– Niska, chuda, długie rude włosy i dziwne oczy? Ubrana w spodnie i skórzany, obcisły kaftan? – Usłyszeli Blane’a i popatrzyli na niego z nadzieją. Wychodziło na to, że jednak ją znał.

– Tak, panie! – potwierdził uradowany Tormod. – Znasz ją? Jest z klanu MacCallum?

– Nie – odrzekł krótko na myśl o klanie jednoznacznie kojarzącym mu się z Vanorą.

– Nie jest z klanu MacCallum?

– Widziałem ją pierwszy raz. Walczyła z wprawą, według mnie jest to jej profesja. Jeśli jest najemnikiem, to lepiej o niej zapomnij – oświadczył, sprawiając, że w oczach Tormoda pojawił się przeogromny żal.

– Ona nie może być najemnikiem – powiedział z przekonaniem.

– Widziałeś, jak walczy? – zapytał Blane, coraz bardziej zniecierpliwiony.

– Tak, panie – przytaknął chłopak smutnym głosem. – Ale widywałem już wcześniej walczące kobiety. W klanie MacCallum jest przecież...

– Nie mówię o walczących kobietach! – zagrzemiał, przerywając mu, domyśliwszy się, że chciał podać za przykład córkę Ronana. Chłopak zrozumiał błąd i zerknął na Brice, która na szczęście niczego nie zauważyła.

– A o czym? – dopytywał Tormod.

– O sposobie, w jaki walczyła – poinformował. Brice zmarszczyła czoło.

– Co masz na myśli? – zapytała zaciekawiona.

– Walczyła z MacAuleyami, a nie pochodzi ani z naszego klanu, ani z klanu MacCallum. Więc została przez kogoś wynajęta. Dziewka jest wprawiona w walce. Kosiła wrogów jeden za drugim, a wyglądała na młodszą od Tormoda – wyjaśnił spokojnie.

– O cholera... – wymusknęło się Brice. – Poważnie?

– Ona nie jest najemnikiem – zaparł się Tormod. Brice jęknęła w duchu.

– Zaraz, moment. Idąc drogą dedukcji, jeżeli jest najemnikiem, to ktoś musiał ją wynająć, prawda? – Obaj przytaknęli. – Nikt z naszego klanu chyba jej nie wynajął, co?

– Nigdy nie wynajmujemy najemników. Bronimy się sami – zaręczył Blane nieco poirytowany. Jednocześnie dziwnie podekscytowany faktem, że użyła wyrażenia „naszego klanu”. Spodobało mu się to. Ale czy powinno?

– No właśnie. Więc jeżeli nikt z nas jej nie wynajął, a klan MacCallum został wezwany nieoczekiwanie, to raczej tak z buta też jej nie wynajęli, bo nie mieli na to czasu.

– Nie wiem, jakim sposobem, ale skądś się tam wzięła. – Spojrzał na Brice uważnie. – Nie myślę się – powiedział ciszej.

– Ona nie jest najemnikiem – upierał się Tormod.

– Dlaczego tak sądzisz? – odezwała się Brice, świadoma tego, że Blane raczej nie mógł się mylić.

– Ona na mnie spojrzała i...

– Na bogów – wymamrotał Blane, ciężko wzdychając.

– Jej oczy stały się takie ciepłe. Patrzyła na mnie tak, jakby chciała, żeby ją stamtąd zabrał. I nawet jeżeli jest najemnikiem, to przecież nie oznacza, że jest złą osobą. Muszę ją odnaleźć, Brice. Muszę. Po prostu czuję, że mnie potrzebuje – oznajmił. Blondynka uśmiechnęła się ciepło.

– Kimkolwiek jest, obojętnie czy najemnikiem, czy zwykłą dziewczyną, obiecuję, że pomogę ci ją odnaleźć, Tormodzie – wyszeptała zdecydowanym głosem.

Blane sapnął ze złością. Wyglądało na to, że miał na głowie kolejny problem.

7 *Heterochromia* – różnobarwność tęczówki (*łac. heterochromia iridis*) – zaburzenia rozwoju, polegające na różnicach w rozmieszczeniu barwnika w obrębie różnych obszarów tęczówki jednego oka bądź różnym zabarwieniu tęczówki jednego i drugiego oka. Ta drobna wada wrodzona występuje zarówno u ludzi, jak i u zwierząt, jako izolowana cecha dysmorficzna albo składowa zespołów wad wrodzonych (przyp. aut.).

Rozdział 19 To, czego ona pragnie



Blane oczywiście kojarzył tę gówniarę z pola walki. Musiał przyznać, że była zwinna i skuteczna, prawdopodobnie gdyby przyszło mu się z nią zmierzyć, nie byłaby to łatwa potyczka. Nie należała do klanu MacCallum, w przeciwnym razie na pewno by o niej słyszał. Dziewczyna była bardzo charakterystyczna. Dziwne oczy oraz umiejętność walki mocno ją wyróżniały. Ona nie pochodziła z żadnego klanu. Jej odzienie było niecodzienne: obcisły kaftan, przylegające do ciała skórzane spodnie i wysłużony naramiennik. Niewiele – jednak pozwalało zwinnie się poruszać. Nie przyglądał się jej uważnie, lecz jeden rzut oka wystarczył, aby się zorientować, że jest bardzo młoda. Sprawa wydawała się dziwna, a odnalezienie jej graniczyło z cudem. Chociaż te oczy...

– Myślisz, że uda się odszukać tę dziewczynę? – Głos Brice wybudził go z rozmyślań.

– Nie – odparł krótko. Widząc, że chce coś powiedzieć, nie dopuścił jej do głosu: – Dla chłopaka byłoby lepiej, aby jej nie znalazł – mówiąc to, rozejrzał się wokoło, lecz nie dostrzegł Tormoda, który jakiś czas temu odszedł.

– Poszedł do Calda House. – Brice domyślała się, kogo szukał. – Ale wydaje mi się, że ta dziewczyna...

– Najemnicy od dziecka szkoleni są jedynie do zabijania. To dla nich rutyna i robią to bez mrugnięcia okiem. My walczyliśmy i zabijaliśmy jedynie w walce, gdy przeciwnik trzyma w ręku broń. Najemnicy zabijają każdego, kogo wskaże zleceniodawca. Obojętne czy jest to starzec, czy małe dziecko – wyjaśnił chłodno, budząc smutek w sercu Brice.

– Ale Tormod powiedział, że spojrzała na niego i...

– Dziewka była urodziwa. Ale nie mogła mieć więcej lat od Tormoda, pomimo że walczyła lepiej niż wielu naszych ludzi, którzy codziennie trenują na placu od wielu lat. Najemnicy szkoleni są w taki sposób, aby nie odczuwać emocji – wytłumaczył znacząco. Zobaczył, że jeszcze bardziej posmutniała, ale nie chciał jej okłamywać. – Dla Tormoda niewinne są nawet te najgorsze jędze – dodał złośliwie, uśmiechając się przy tym pod nosem.

– A ja wierzę, że ta dziewczyna nie jest zła. Wierzę, że Tormod ją odnajdzie i że wszystko dobrze się skończy – stwierdziła z nadzieją. – On ma rację, to przecież nie musi być zła osoba i niekoniecznie jest najemnikiem. Może to coś innego. Prawda? – zapytała.

– Jesteś tak samo głupia jak Tormod – mruknął. Wiedziała, że właśnie udzielił jej twierdzącej odpowiedzi. – Dobrze się czujesz? – zapytał od niechcienia, a ona przypomniała sobie wczorajsze pijaństwo oraz porannego kaca. Nie chciała na ten temat dyskutować.

– Wrócisz późno? – odparła. Spojrzał w jej błyszczące oczy. Nie mógł już dłużej ciągnąć tej maskarady. Powinien jej powiedzieć.

– Muszę wyjechać na kilka dni, złożyć wizytę ludziom z klanu MacCallum.

– To oczywiste – odrzekła spokojnym głosem.

– Jak to oczywiste? – Czyżby jednak coś wiedziała?

– Pomagali wam w walce, musisz im podziękować – przyznała, spoglądając na niego z uśmiechem, a jemu serce ścisnęło się z żalu. *Gdyby tylko wiedziała.* – Kiedy?

– Co „kiedy”?

– Kiedy wyjeżdżasz?

– Jutro – poinformował. Ujrzał pojawiający się na jej twarzy smutek, ale chciał mieć to już za sobą.

– A długo cię...

Nie pozwolił jej skończyć, wiedząc, o co chce zapytać.

– Nie wrócę późno z Calda House – zapewnił. Na jej ustach pojawił się uśmiech. – Dziś wcale się tam nie wybieram – zakończył, a ona zmarszczyła zaskoczona brwi.

– Przecież powiedziałeś, że wyjeżdżasz dopiero jutro.

– Tak, ale mam ochotę posłuchać twoich głupich bają – stwierdził obojętnie, a ona zamarła. Lubił, gdy się tak działo. Lubił ją zaskakiwać i wprawiać w zdumienie. Była wtedy taka nieporadna, niedowierzająca, taka prosta i szczerą.

– To znaczy, że...

– Że nie powinnaś zadawać pytań, gdy nikt ci na to nie zezwoli – oznajmił chłodno i, wzięwszy ją na rękę, zaniósł do sypialni.

– Wiesz, że Brice to męskie imię w Szkocji? – zapytał ni z tego, ni z owego, gdy leżeli już w łóżku, a ona w ostatniej chwili powstrzymała się, aby nie powiedzieć, że w Stanach również jest to przeważnie męskie imię, lecz są wyjątki od reguły, a że jej ojciec pragnął mieć syna, właśnie tak ją nazwał.

– Naprawdę? – szepnęła. Lubiła, gdy z nią rozmawiał. Niestety prawie nigdy tak się nie działo.

Sam z siebie rzadko zaczynał jakikolwiek temat. Lubił jej słuchać, lubił, gdy opowiadała mu o przyszłości, lecz odbierał to jako nieprawdziwe historie. Wymyślone opowieści, które słyszał z ust szalonej dziewczyny. Gdyby tylko wiedział, że to prawda. Zdawała sobie sprawę, że nigdy by w to nie uwierzył. Cieszyło ją jednak chociaż to, że jej słuchał. Opowiadanie mu o tym było niczym terapia na kozetce u psychologa, a potrzebowała takiej terapii, aby nie zwariować.

– Tak, ale wymawia się je trochę inaczej. – Uniosła głowę, zerkając na niego z ciekawością i, choć w ciemnościach nie widziała jego twarzy, próbowała sobie wyobrazić jego minę. Jak teraz wyglądał? Był poważny? Zamyślony? A może nawet lekko się uśmiechał?

– Jak? – W zasadzie nieco ją zaintrygował.

– Nie Brice, lecz Bryce – szepnął spokojnym głosem.

Uwielbiała jego napady złości. Tak, musiała to przyznać. Kręciły ją w niewyobrażalny sposób. I sama tego nie rozumiała, lecz gdy był taki spokojny, również sprawiało jej to przyjemność.

– A czy ktoś o takim imieniu mieszka na zamku albo w Calda House? – zapytała. – Nie znam wszystkich – dodała.

– Tak, Brice, nie znasz wszystkich. Jeszcze nie znasz. – Oblało ją gorąco. Jeszcze? Co to miało znaczyć? – Był jeden Bryce, ale od roku nie ma go z nami. – Poczowała złość. Te ich bitwy zaczynały ją coraz bardziej drażnić.

– Domyślam się, że zginął śmiercią chwalebną na placu boju – wypowiedziała ze złością. – Nic, tylko marzyć o podobnej – burknęła pod nosem, wspominając ich ostatnią rozmowę.

Parsknął śmiechem, co nieco ją zdekoncentrowało. Chciała go takiego. Pragnęła słyszeć jego śmiech i dałaby wszystko, aby ujrzeć teraz jego wesołą, roześmianą twarz.

– Myślę, że nie – powiedział.

– Dlaczego? Przecież to zaszczyt zginąć zamordowanym podczas bitwy – parsknęła.

Co by zrobił, gdyby spróbowała zapalić teraz świecę? Krzesiwo w jej dłoniach na pewno by go nie ucieszyło. Biorąc pod uwagę wysadzony w powietrze spichlerz, nawet mu się nie dziwiła.

– Bryce miał siedemdziesiąt osiem lat – stwierdził, czekając na jej odpowiedź. Odniosła wrażenie, że ma z tego ubaw.

– O! To tym bardziej – powiedziała, a następnie dodała rozdrażnionym głosem: – Co z tobą? Wysyłasz staruszków do walki? Sam trzymał szablę, czy pomagał mu jakiś pięciolatek?

– Po pierwsze, walczyliśmy...

– Tak, wiem! Mieczami – warknęła poirytowana. Z jednej strony była zła, że tak beztrudno o tym wspomina, a z drugiej chciała, aby do niej w ten sposób mówił. Chciała takich chwil, gdy się zmieniał. A nie było ich prawie wcale. – A po drugie? Jest jakieś drugie?

– Tak – przyznał i, odsunawszy ją lekko, pochylił się nad nią. Poczawszy na skórze końce jego długich włosów, zadrżała. Wiedziała, że ma teraz na twarzy ten szczególny, triumfujący wyraz zadowolenia.

– Utopił się w szambie – poinformował i się roześmiał. Poczula złość. Nawet gdy mówił o cholernym szambie, nadal była na niego napalona niczym głupia nastolatka.

– Taki jesteś mądry? – wyszeptła, a później odepchnęła go i jednym zwinnym ruchem znalazła się na nim.

Poczula, jak jego mięśnie się napinają, co spowodowało, że westchnęła przeciągle. Dlaczego? Dlaczego nie potrafiła się przy nim kontrować? Ona, zawsze pełna samodyscypliny. Umiejąca trzymać emocje na wodzy. Lecz nie w tym momencie, nie przy nim. Usiadła na nim okrakiem i pochyliła głowę, opierając ich czoła o siebie. Dłonie wsunęła w jego długie włosy.

– Blane – wyszeptła przeciągle, gdy tylko poczuła męskie, silne dłonie na biodrach. Tak bardzo go pragnęła. Dotykać, pieścić, czuć, słyszeć jego przyspieszony oddech. – Mój... – *Blagam, nie mów mu tego, nie wyznawaj mi uczuć, blagam* – myślała z desperacją. Czula się zagubiona, zupełnie nie umiała się kontrolować, słowa cisnęły się na usta same. Ale musiała się powstrzymać. – Mój Blane. Mój Zwierz – szepnęła. Poczula, jak unosi lekko głowę, szukając jej ust, które w końcu odnalazł.

– Czego pragniesz, Brice? Dam ci wszystko... – wymruczał, muskając ją delikatnie, powodując, że stawała się coraz bardziej pobudzona. – Po prostu powiedz, czego pragniesz – wyszeptał jej do ucha. Skąd brały się u niego tak wielkie pokłady czułości? Taki ogrom delikatności? To nie on. Przecież nigdy taki nie był.

– Chcę kochać cię w twoim łóżu – wyszeptła. Zamarł w pół ruchu.

Czy przesadziła? Czy się rozzłości? Co zrobi? Przecież wyznała tylko, czego pragnie. Odpowiedziała na jego pytanie. Poczula, jak całując ją, próbuje odwrócić na plecy, jednak zaprotestowała. Zamarł.

– Proszę, pozwól mi. – Jej szept skutkował lepiej niż wszystko inne.

Jednak nie mógł jej pozwolić, choć pragnął tego całym sobą. Coś wewnątrz niego wrzeszczało, rozrywało go, aby wypowiedzieć te proste: „Tak, chcę. Tak, pozwalam. Tak, proszę, zrób to, nie przerywaj. Tak. Tak. TAK!”

– Nie – wyszeptał zdławionym głosem.

Nie mógł dopuścić do tego, aby zniewoliła go jeszcze bardziej. Nie powinien poczuć do niej czegoś więcej niż to, co teraz czuł. A przecież nie powinien nic czuć.

– Proszę. – Usłyszał jej drżący głos. Pomyślał, że ta drobna, słaba dziewczyna sprawuje nad nim większą władzę niż ktokolwiek inny.

Nie ugiął się nigdy przed największym mieczem najgroźniejszego przeciwnika. Wygrywał każdą walkę. Lecz jedno jej „proszę” działało na niego z mocą wystrzału armatniego. Czuł, jak coś w jego wnętrzu słabnie. Nie mógł pozwolić, aby przejęła kontrolę.

– Brice...

– Tego właśnie pragnę, Blane – wyznała. – Chcę cię kochać w twoim łóżu – szepnęła między jednym a drugim pocałunkiem. – Pozwól mi cię kochać, Blane...

Dwuznaczność tych słów sprawiła, że uszło z niego całe powietrze. Zrozumiał, że chyba właśnie przegrał pierwszą walkę. Ale przecież to był koniec tych beztroskich chwil. Dlaczego więc nie pozwolić sobie na uchylenie gardy? Pozostał mu już tylko jeden dzień z nią, później wyjedzie do Eilean Donan i wkrótce zostanie mężem córki MacCalluma. Musiał powiedzieć o tym Brice, ale nie mógł. Nie w tym momencie.

Odwzajemniał jej pocałunki.

Szedł tam, gdzie go prowadziła. I było mu tak niesamowicie przyjemnie. To działo się po raz pierwszy. Przecież to on miał ją torturować, miał bić, sprawiać ból. A teraz ona to robiła, torturowała go, lecz były to najcudowniejsze tortury, jakich kiedykolwiek zaznał. To, co czuł, było ostatnim, co mogło przypominać ból. Pragnął tego, pragnął z całego serca. Pragnął z całej duszy.

I był już w stanie nawet prosić, aby nie przestawała, lecz ona wcale nie zamierzała.

Czuł jej delikatne dłonie na torsie, jej gorące usta, którymi wędrowała po jego rozpalonej skórze, i wsunął palce w jej włosy. Przyciągnął ją i zaczął całować, lecz po chwili ponownie poczuł jej wargi na szyi zsuwające się coraz niżej. Jej przyspieszony oddech doprowadzał go do wrzenia. Wędrowała dłońmi po każdym zakamarku jego ciała. Delikatnie, z czułością. Gdy próbował zaprotestować, powstrzymać ją, jej ręce stawały się stanowcze, sprawiając, że był niczym wosk pod oddziaływaniem ognia: bezwolny, poddający się wszystkim jej gestom. Uległy, pragnący tego. Skłonny oddać jej wszystko, aby przekraczała

każdą granicę, wytyczała nowe szlaki na jego ciele. Chcący wpuścić ją tam, gdzie jeszcze nikogo nie dopuścił.

Taka delikatna, a jednocześnie taka stanowcza. Taka czuła, będąca równocześnie tak zaborcza. Brała go, zdobywała każdym, nawet najdrobniejszym gestem. Poddał się, zupełnie, kompletnie, z rozkoszą. Gdy dotarła do jego brzucha i sunęła nieprzerwanie dalej, ostatkiem sił spróbował ją jeszcze powstrzymać, jednak zanim jego dłonie sięgnęły jej głowy, spłotła je ze swoimi.

– Chcę tego – szepnęła.

Przyciągnął ją gwałtownie, gdy już mu na to pozwoliła, i zaczął zachłannie całować, starając się uspokoić emocje, które nim wstrząsały. Kim była? Mała, drapieżna, cudowna. Jego mała Brice.

– Czego teraz pragniesz? – wyszeptał prowokującym tonem wprost do jej ucha. Poczuł, jak zadrżała.

– Ciebie... – Usłyszał. – Pragnę, abyś mnie kochał... w twoim łóżu. – Jej szept budził jego dreszcze.

– Będę... Będę cię kochał, Brice.

– Kochaj mnie w swoim... – Zamknął jej usta pocałunkiem, nie pozwalając dokończyć.

– Milcz... – zażądał.

Ale czy mogła? Czowała się dziwnie. Nie dowierzała w to, co się stało. Pozwolił jej przejąć kontrolę. Ten dominujący samiec poddał się jej woli. Czy to się wydarzyło, czy może to sen? Nigdy dotąd nie pozwolił ofiarować sobie tyle czułości, choć sam dostarczał jej ich każdego dnia. Gdyby podczas ich pierwszego spotkania ktoś powiedział, że ten człowiek może być zdolny do czegoś takiego, nie uwierzyłaby. Brutalny, okrutny, zadający ból facet, który próbował ją zgwałcić, teraz był czułym, troskliwym, dającym jedynie przyjemność kochankiem. I choć działo się tak jedynie nocami, to cieszyło ją wszystko, co od niego otrzymywała. Nawet jeśli wiedziała, że dzień ponownie przywoła na jego twarz groźną minę oraz wściekle spojrzenie. Krzyki, wrzaski, złość, a czasem nawet oschłość. Ten mężczyzna wymykał się z kanonów, łamał każdą normę. Taranował wszelkie bariery. Był wielkim żywiołem, nieokiełznanym, niedającym się powstrzymać w chwili, gdy uznał, że nastał jego czas. Mogła mu się jedynie poddać, czerpać z tego, co dawał.

To, co poczuł, co pozwolił sobie dać, sprawiło, że wstąpił w niego jakiś zły duch, który teraz pochylał się nad nią, przyprowadzając o niepojętą rozkosz każdym ruchem. Całował łąpczywie każdy milimetr jej ciała, a ona wiała się pod nim w niekontrolowanych odruchach, chcąc poczuć go w sobie jak najszybciej. Lecz nie pozwolił jej na to tak od razu, drażniąc się z nią, sycąc każdym jękiem i każdym westchnieniem. Chciał czuć jej smak jak najdłużej. Gdy wreszcie dostał się w nią, poczuł, że zaciska dłonie na jego ramionach i przywiera do niego konwulsyjnie. Stali się teraz jednością, nikt nie dominował, nikt nie narzucał tempa. Niczym doskonale zsynchronizowana całość, spójna i niedająca się rozdzielić.

– Moja francuska kocica. – Usłyszała, zasypiając. Marzyła o tym, aby rankiem nie okazało się, że to jedynie sen. – Moja Brice.

– Twoja...

W tej chwili coś przyszło mu do głowy. A gdyby była w odmiennym stanie? Gdyby urodziła mu dziecko? Przecież to możliwe. Z tą myślą, niczym głupiec, pochylił się nad nią i pocałował troskliwie w czoło. Delikatnie, aby się tylko nie zbudziła.

Rozdział 20 Do ciebie



– Na długo wyjeżdżasz? – Oderwawszy zamyślony wzrok od okna, Blane spojrział w błękitne oczy Brice. Teraz takie poważne i skupione. Cóż mógł powiedzieć? Czy cokolwiek chciał mówić? Przecież nie miał takiego obowiązku. *Gówna prawda* – pomyślał.

– Kilka dni – mruknął, prosząc w duchu, aby nie ciągnęła tematu, ale nie mogła milczeć, nie ona. To była przecież Brice, baba, która notorycznie robiła wszystko, czego robić nie powinna.

– A tak mniej więcej? – drażyła.

– Mniej czy więcej?

Dlaczego od jakiegoś czasu wydawała mu się zabawna?

– Chciałabym wiedzieć, jak długo będę sama – szepnęła, a do niego zaczął docierać sens jej słów.

Czy powinien powiedzieć prawdę i uświadomić, że być może już zawsze będzie sama? Do tej pory o tym nie myślał, niemniej teraz zastanowił się, jaką właściwie rolę dla siebie wybrała Brice w jego życiu. Co o tym myślała? Była jego kochanką, dzieliła z nim łóżko. Czyżby założyła, że może stać się kimś więcej? Jego żoną? A jeżeli coś sobie ubzdurzyła? To jedynie niemądra kobieta, w dodatku cudzoziemka. Może we Francji jest to dopuszczalne?

Spojrzał na nią kątem oka, po czym sapnął ze złością.

Czy to prawda?

Nad tym nie chciał rozmyślać, liczyło się tylko to, co wkrótce się z nią stanie. Istniało kilka opcji. Mogła zostać jego nałożnicą i spędzałby z nią każdą noc. Jednak wątpił, czy zgodziłaby się na bycie tą drugą. Mogła też wyjść za mąż za któregoś członka klanu. Ten pomysł mu się jednak nie spodobał. Nie chciał sobie nawet wyobrazić, powiedzmy Bothana, w jednym łóżku z Brice. Nie! To nie wchodziło w rachubę. Czy była jakaś inna możliwość? Owszem. Francja i jej powrót do domu. Jednak tego nie chciał jeszcze bardziej, wtedy nie wiedziałaby nawet, co się z nią dzieje. A mogłaby przecież wyrządzić komuś krzywdę. Należało jej pilnować, zdecydowanie nie powinien dopuścić do jej ewentualnego powrotu do ojczyzny. Na szczęście nawet nie wspominała o powrocie.

– Nie twoja rzecz, jak długo mnie nie będzie, nie masz prawa...

– Będę się nudziła nocami. – Diablica, zawsze wiedziała, co powiedzieć. – Więc pomyślałam sobie, że może...

– Co sobie pomyślałaś, Brice? – przerwał, przygarniając ją do siebie.

– Czy Bothan z tobą jedzie? – zapytała. Blane doszedł do wniosku, że nawet gdyby Bothan miał pierwotnie nie jechać, to po tych słowach na pewno by go ze sobą zabrał.

– Tormod ze mną nie jedzie – oświadczył chłodno.

Uśmiechnęła się i pomyślała, że to może nawet dobrze, ponieważ będzie miała okazję porozmawiać z chłopakiem o tajemniczej dziewczynie.

– Będę za tobą... – zawahała się. – Będę o tobie myślała.

To głupie stwierdzenie wzburzyło mu krew w żyłach. Tak bardzo zapragnął się dowiedzieć, komu wyznawała miłość podczas snu. Może to ktoś z Francji? Albo po prostu jakiś zwykły majak, zupełnie bez znaczenia.

– Nie myślisz czasem o swym domu? – zapytał odruchowo. Już po chwili ubliżał sobie w myślach.

Patrzył w jej spokojne, błękitne oczy i próbował tam coś wyczytać, lecz nie był w tych sprawach ekspertem.

– Początkowo myślałam. Dostałam się tu niespodziewanie i z dnia na dzień. Bałam się – zaczęła cichym głosem, w którym nie było emocji. – Na początku nasze relacje miały różny wydźwięk, sam wiesz, do czego doszło, gdy się poznaliśmy – stwierdziła znacząco.

– Wyzwałaś mnie od tchórzy i podniosłaś na mnie rękę – mruknął. Niechętnie wracał myślami do tego zdarzenia. Nie wypadł wtedy najlepiej.

– Chciałaś siłą wziąć to, co dałam ci bez przymusu.

– Prawiałaś o domu – przerwał jej niecierpliwie. Westchnęła. A podobno to ona jest mistrzynią zmiany tematu.

– Tak naprawdę nie mam domu – wyszeptała po chwili. Przyglądał się jej zaskoczony. Coś tu nie grało. Szlachcianka bez domu? Czyżby jej rodzina zbankrutowała?

– A twoi bliscy? Mieszkają we Francji?

– Jestem skłócona z ojcem – oświadczyła, nie chcąc wdawać się w tłumaczenie o Francji. – Matka nie żyje. Nie mam ani braci, ani siostr – dodała.

Czy to wystarczy? Oczywiście, że nie.

– Ojciec oddał cię w niewolę MacAuleyom? – No jasne, innej możliwości nie widział. Miała kłamać?

– Mój ojciec ma rancho i...

– Rancho?

No tak!

– Jest hodowcą koni – sprecyzowała. – Chciał, abym poszła w jego ślady, ale ja pragnęłam czegoś innego – oświadczyła z buntem w oczach.

– Czego? – zapytał zaciekawionym głosem.

No i co miała teraz powiedzieć? Czego mogłaby chcieć szesnastowieczna szlachcianka? Dobrze wyjść za mąż, mieć dzieci i proste, spokojne życie. Mieszkać w okazałej posiadłości. Bywać na imprezach, bankietach, koncertach. Spędzać godziny przed lustrem, mieć piękne stroje oraz służbę.

– Chciałam zajmować się sztuką – zaryzykowała. Ale czy była w stanie wytłumaczyć mu, w jaki sposób chciała się tą sztuką zajmować? Renowator to zawód, który jeszcze nie istnieje. Chyba zapędziła się w kozi róg. Spojrzała na jego zmrużone oczy i westchnęła zrezygnowana. – Grałam też na skrzypcach, ale nie było to tym, co chciałam robić, i...

– To dlatego nie pozwoliłaś spalić obrazu – wszedł jej w słowo, a ją oblało gorąco. Dowiedział się. Teraz będzie miała przesrane. – Mogłaś powiedzieć wcześniej. Dziewki spaliły ich dość dużo. Mogłaś je sobie... Nie były mi do niczego potrzebne – dodał, starając się przyjąć obojętny ton.

Czy zdziwiło go to, o czym mówiła? Skłócona z ojcem? Jeżeli zachowywała się tak jak w stosunku do niego, to współczuł człowiekowi i poniekąd rozumiał chęć pozbycia się tej piekielnicy. Przecież jako ojciec nie miał z niej takich korzyści jak on. Zajmowała się sztuką? Nie wiedział, czego ma się po niej spodziewać, ale nie zaskoczyło go to wyznanie. Malowała obrazy. Przecież to dziwactwo, ale ona nie jest normalną dziewczyną.

– Ten jeden niechący wpadł do ognia. Sam – wyrzuciła pospiesznie i zaczerwieniła się. „*Dziewki spaliły ich dość dużo*”? Nawet nie chciała myśleć o tym, co mogło to oznaczać. Jeżeli do ognia trafić miała Mona Lisa, to co jeszcze uległo zniszczeniu?

– Jesteś zupełnie nieprzydatna, więc możesz poprosić Bothana, aby sprawił ci jakieś farby i pędzle. Nawet dobrze, jeżeli czymś się zajmiesz i nie będziesz nikomu przeszkadzała.

– Ale ja nie maluję – zaprotestowała.

– Przecież powiedziałaś, że ojciec wygnał cię, boś chciała tracić czas na te głupoty – mruknął poirytowany. – Znowu kłamiesz?

– Nie kłamię. Ojciec mnie nie wygnał, sama odeszłam – zaprotestowała. – I nie maluję!

– Co zatem robisz z tymi obrazami? – Widziała, że zaczyna się złościć.

– Oglądam je sobie – stwierdziła, wzdychając.

Miała pograżać się dalej, czy zacząć kłamać?

– Oglądasz sobie malunki? Chodzisz do ludzi i oglądasz...

– Do nikogo nie chodzę i... – Kurwa, co miała mu właściwie mówić? – Przyglądam się pracy malarzy. Czasem coś doradzam, bo widziałam wiele obrazów i mogę od czasu do czasu coś podpowiedzieć.

Chyba chwyciła się już brzytwy.

– Co podpowiedzieć?

Okej. Teraz już żałowała, że nie walnęła mu kitu o zamążpójściu i gromadzie bachorów.

– Na przykład: jakich kolorów farb ma użyć albo co mógłby namalować.

– Czy to kolejna twoja bajka? – zapytał po krótkiej chwili, a ona odetchnęła.

– Trochę bajka, trochę marzenie – stwierdziła z wahaniem. – Ale nie mówmy o tym. Ty jedziesz i nie wiadomo, jak długo cię nie będzie. Ja zostanę tu sama i...

– Będiesz o mnie myślała – podsunął, a ona się roześmiała.

– Tak, Blane, będę o tobie myślała, ale nie tylko – wyszeptała. Wstrzymał oddech. Czyżby chciała odejść? Może tak byłoby lepiej.

– Masz nie ruszać się z zamku – mruknął. Zerknęła na niego zdziwiona. – Co jeszcze? – zapytał z naciskiem. Zaczynał zachowywać się jak idiota. I miał tego świadomość.

– Będę za tobą tęskniła i...

– I?

– I czekała, aż do mnie wrócisz – szepnęła jakoś tak niepewnie, spoglądając na niego z obawą. – Bo wrócisz, prawda?

Widział w tych przepastnych oczach prośbę. Czy mógł w takiej chwili powiedzieć jej, po co tak naprawdę jechał do Eilean Donan?

– Jestem naczelnikiem klanu MacLeod. To oczywiste, że wrócę do Ardvreck. Tu są moi ludzie – mruknął oschle. – A ponieważ ty obraziłaś ojca, nie możesz do niego pojechać. Masz tu zostać – poinformował, trochę jakby od niechcienia. Przytuliła go spontanicznie.

Dlaczego, u diabła, teraz nie nazwała go skurwielem? Czy nie wykazał się wystarczającą łaską względem niej? Westchnął i schował twarz w jej włosach. Komplementowała go tylko wtedy, gdy źle ją traktował. Czy nie była wariatką?

– Dziękuję.

Sapnął zirytowany. Coraz gorzej znosił takie sytuacje i jak na złość wciąż się przytrafiały. Wyglądało to źle. Był naczelnikiem. Do tej pory dnie spędzał na placu treningowym. Wyprawach, rozmowach ze swoimi ludźmi. Wieczorami ucztowali, a nocami zabierał dziewczki, które dawały mu szybkie spełnienie bez wymyślnych pieszczot, które przytrafiły się jakoś tak samoistnie przy tej czarownicy. Po prostu to wszystko samo się działo. Czy to możliwe, aby rzuciła na niego czar? Teoretycznie z nią wszystko było możliwe.

– Obiecuj, że nie zbliżysz się do krzesiwa. – Ledwie się powstrzymała, aby nie parsknąć śmiechem. Wiedziała, że będzie kontynuował, nie mógł przecież pozwolić, aby pomyślała, iż martwi się o nią. I nie myliła się: – Boję się, że zrobisz komuś krzywdę albo znowu coś zniszczysz.

– Nie spojrzę na krzesiwo, nawet gdybym miała skostnieć z zimna – oświadczyła poważnym tonem.

– Jeżeli będzie ci zimno, nakaz Unie, aby o to zadbała – dodał pospiesznie.

– Tak zrobię – powiedziała i, przymykając oczy, położyła głowę na jego piersi.

Słyszała bicie serca i czuła się tak bezwstydnie szczęśliwa. Absolutnie nikt nie działał na nią jak Blane, choć jedynie on był dla niej chamski, grubiański i wredny. Co zrobiłby, gdyby miał pojęcie, co do niego czuje? Wściekłby się czy byłby egoistycznie podłehtany? Nie wiedziała i nie chciała się tego dowiadywać. Przecież tak było dobrze. Nie mogła zbytnio wybiegać w przyszłość, ponieważ ta nie malowała się najlepiej. Starła się z całej siły nie myśleć o jutrze. Ile to jeszcze potrwa? Teraz pozwalał jej, aby z nim mieszkała, lecz czy nie wygna jej za jakiś czas? Jedno wiedziała na pewno: ktoś taki jak on nie pokocha kogoś takiego jak ona, a ona nie umiałaby stać się kimś, kogo mógłby pokochać Blane. To niemożliwe. Co zrobi, gdy już się nią znudzi?

Czasem myślała o tym, jak bardzo zmieniło się jej życie. W swoim świecie była kobietą decydującą o sobie, kobietą niezależną, wydającą rozkazy. Mieszkała sama i w pełni kontrolowała swój los. W tym świecie była kobietą, która w pewnym stopniu stała się zabawką prymitywnego mężczyzny. Jej dni to czekanie na noc z tyranem noszącym przydomek „Zwierz”.

Ale jak to wyglądało w praktyce? Mimo wszystko był inteligentnym człowiekiem, sprawiedliwym naczelnikiem i czułym kochankiem. I choć za wszelką cenę starał się to ukrywać, nie był aż tak dobrym aktorem. Robił wszystko, aby tylko nie pokazać troski, jaką obdarzał poddanych. Niczym furia pozwalał im myśleć, że jest groźnym Zwierzem, jednak w głębi serca był inny. Nie pojmowała, dlaczego tak postępował,

lecz przywykła już do tego i nauczyła się udawać, że w to wierzy.

Czego od niego chciała? O tym nie pozwalała sobie nawet myśleć. Tak było lepiej. Liczyło się jedynie to, by do niej wrócił. Prawda była taka, że przy nim nie miała tego przytłaczającego poczucia, iż trafiła do innej epoki. Sama wizja rozłąki z nim napawała ją obawą. Czy da sobie radę bez niego? W pewnym sensie w tej chwili przyszedł czas, aby to sprawdzić.

– Wyjeżdżasz dziś? – zapytała.

– Wieczorem – odparł krótko.

Do Eilean Donan mieli jakiś dzień drogi konno. Chciał załatwić sprawę jak najszybciej i wrócić jak najspieszniej.

– Myślałam, że wyjedziecie dopiero jutro z rana. – Usłyszał zawód w jej głosie i pokręcił przecząco głową.

– Jedziemy wieczorem – uciął chłodno. – Wrócę jeszcze do ciebie, ale teraz muszę iść dopilnować przygotowań.

– Najważniejsze, że do mnie wrócisz – szepnęła.

– Do ciebie – wymamrotał i podniósł się z łóżka, a następnie ubrał pospiesznie i wyszedł. Niestety nie udało mu się uciec przed innym problemem. Korytarzem podążał w jego stronę Bothan z miną, która nie wróżyła niczego dobrego.

Rozdział 21 Kobiety



Gaston próbował porozmawiać z Tenebris, jednak bezskutecznie. Było to o tyle dziwne, że wciąż miał wrażenie, jakby znajdowała się gdzieś w pobliżu. To zaczynało zakrawać na paranoję. Z westchnieniem pomyślał, że powinien dać sobie spokój. Nie można przecież pomóc komuś na siłę, a ona najwidoczniej tego nie chciała.

Skierował kroki w stronę stajni.

Miał ochotę dosiąść konia i odprężyć się podczas jazdy. Wychodząc zza rogu, zobaczył Tenebris, która wpatrywała się w coś z niepokojem. Podążył w tamtym kierunku wzrokiem i zobaczył idącego ku niej Ravena. Ujrzał, jak brat odciąga ją, szarpiąc za łokieć. Zrobił to bardzo agresywnie, co sprawiło, że Gaston ledwie powstrzymał się, aby nie zareagować. Wiedział, że Raven traktuje siostrę jak narzędzie do osiągnięcia celu, jednak nigdy nie był świadkiem ich spotkania. Obawiał się, że Tenebris mogła być ślepo posłuszna bratu. Na wszelki wypadek wolał nie ingerować. Przynajmniej na razie. Podszedł możliwie najbliżej, chcąc usłyszeć, o czym rozmawiają. Gdy do jego uszu dotarły słowa Ravena, zamarł.

– Miałas śledzić markiza – oznajmił podniesionym głosem brunet.

– Robiłam to – wypowiedziała krótko. Gaston po raz pierwszy usłyszał jej głos, w którym rozpoznał nieznaną akcent.

Teraz już wiedział, że nie bez powodu miał wrażenie, jakby była w pobliżu. Nie wyglądało to dobrze. Wychodziło na to, że dziewczyna doskonale wiedziała, kim jest, a to wszystko komplikowało.

Co się stanie, gdy Ervin dowie się prawdy? Bo Raven na pewno mu o tym powie. Czy Vanora poniesie konsekwencje jego kaprysu?

– Markiz Louis de la Valette cały dzień spędził na zamku, ty głupia kretynko! – wrzasnął Raven. Gaston ujrzał na twarzy dziewczyny zdziwienie. Teraz miał już pewność, że znała jego prawdziwą tożsamość. Jak zareaguje jej brat, gdy mu o tym powie? Ku swemu zaskoczeniu zorientował się, że rudowłosa milczy. Nie wydała go. Co było tego powodem? Dostrzegł, jak Raven z całej siły wymierza jej policzek. – Jeszcze raz mnie oszukasz, a gorzko tego pożałujesz! – dodał ze złością.

– Jeszcze raz mnie uderzysz, a nie zdążysz nawet pożałować – odparła spokojnym tonem.

W jej słowach, a raczej w tym jak je wypowiedziała, było coś mrozącego krew w żyłach. Takie samo wrażenie zrobiło to na jej bracie, który odepchnął ją gwałtownie, sprawiając, że prawie upadła na ziemię.

– Możesz być pewna, że Malum się o tym dowie, głupia suko – warknął i odszedł pospiesznie, nie oglądając się za siebie.

Gaston patrzył na oddalającego się Ravena zaskoczony. W słowach chłopaka było wiele jadu i nienawiści, lecz również strachu. Nazwał ją suką i uderzył w twarz tylko dlatego, że nie śledziła kogoś, kogo nakazał jej pilnować. I dlaczego chciał go obserwować? Czy w tej sytuacji Louisowi groziło niebezpieczeństwo? Co tak naprawdę się tu działo? Kim byli i czego chcieli?

Spojrzał w stronę Tenebris, lecz nie zobaczył jej w miejscu, gdzie widział ją ostatnio. Nawet się nie zorientował, gdy odeszła. Była zwinna i cicha niczym kot. Odwrócił się, chcąc iść do zamku, i zamarł. Tuż za nim stała Tenebris, która przypatrywała mu się w milczeniu. Czerwony ślad od uderzenia wyraźnie odcisnął się na jej policzku. Wyglądało na to, że dziewczyna doskonale wiedziała o jego obecności. Ale dlaczego go nie wydała? Przecież mogła powiedzieć wszystko bratu, nie narażając się na jego gniew.

Miał tak wiele pytań, niemniej milczał jak zakłęty. Patrzył w jej oczy i zastanawiał się, w jakim jest wieku. Była jeszcze dzieckiem, teraz widział ją dokładnie. Przypomnił sobie, z jaką obojętnością ta młodziutka nastolatka zabijała i poczuł ukłucie w sercu. To dziecko walczyło lepiej niż wielu zaprawionych w boju dorosłych mężczyzn. Ile miała lat, gdy po raz pierwszy dostała do ręki miecz? To takie niesprawiedliwe. Ostatnie słowa Ravena były gwoździem do trumny. Czyżby tajemniczy Malum był jeszcze gorszym potworem?

Sposób, w jaki Tenebris teraz na niego spoglądała, poniekąd go niepokoił. Nie było w jej wzroku nienawiści, nie było tam nawet złości ani groźby. Jednakże ta obojętność sprawiała, że czuł niepewność. Miała nieprawdopodobnie piękne oczy, które w zestawieniu z jej przedziwną osobowością wydawały się wręcz nieludzkie. Przepiękna zieleń prawej tęczówki niesamowicie kontrastowała z pomarańczową barwą lewej. Nigdy wcześniej nie widział czegoś takiego. Rude włosy okalające twarz sprawiały, że efekt był wręcz magiczny.

– Dlaczego mnie nie wydałaś, Tenebris? – zapytał, lecz milczała, zupełnie go ignorując. W chwili, gdy chciał zadać kolejne pytanie, ujrzał, jak dziewczyna odwraca się i odchodzi.

Nie zrobił nic, ponieważ czegokolwiek by nie spróbował, w niczym by jej to teraz nie pomogło. Wiedział już, że Tenebris nie jest ślepo posłuszna braciom i to go pocieszało. Była jeszcze dzieckiem i prawdopodobnie nie miała innej rodziny. Nie doświadczyła normalnego życia. Bardzo chciał jej pomóc, ale w jaki sposób miały to zrobić?

Westchnął. Nurtowała go jeszcze jedna rzecz. W jakim celu Ervin przywiózł ich do Eilean Donan? Nie były to dobre zamiary, tego Gaston był pewien. Podejrzał, że w przyszłości brat Vanory jeszcze niejednemu namiesza w jej życiu. Lecz cóż mógł na to poradzić? Chyba jedynie czekać na to, co przyniesie kolejny dzień. Wizja przyjazdu MacLeoda również nie malowała się zbyt dobrze.

– Kobiety – wymamrotał, wychodząc ze stajni. Za pół godziny miała zacząć się uczta. Nie miał już czasu na przejażdżkę.

Rozdział 22 Szkoła diaboliczna



– Powiedziałaś jej? – zapytał Bothan, gdy tylko Blane zrównał się z nim krokiem.

– Tak – padła krótka odpowiedź, która zdezorientowała Bothana. Spodziewał się raczej, że przyjaciel po raz kolejny będzie się wymigiwał.

– No i?

– Co i? – dyskutowali błyskotliwie.

– Jak to przyjęła? – dociekał Bothan.

– Po kobiecemu – palnął Blane bezmyślnie. Chciał po prostu skończyć rozmowę. Dlaczego przez tę wariatkę musiał się wszystkim tłumaczyć?

– Co znaczy „po kobiecemu”? Lamentowała? – zapytał Bothan, a Blane zmarszczył czoło.

Właśnie. Dlaczego ona nie lamentowała? W tej sytuacji powinna rozpaczać nad jego wyjazdem, a była tak niesłuchanie wyrozumiała i rozsądna.

– Nie – mruknął pod nosem. Wiedząc, że Bothan nie przestanie go męczyć, zanim nie otrzyma odpowiedzi, kontynuował: – Zapytała, kiedy wrócę.

– Brice zapytała, kiedy wrócisz?

– Nie. Clach zapytał, kiedy do niego wrócę – odparł poirytowany. Spojrzawszy na zdezorientowanego Bothana, dodał: – Tak. Brice o to zapytała.

– A nie pytała o Vanorę?

– Nie. – Krótkie odpowiedzi Blane’a coraz bardziej upewniały Bothana, że coś jest nie tak.

– Czy ona wie, po co tam jedziesz? – zapytał bezpośrednio.

– Wie. – Zwierz był coraz bardziej irytujący.

– A co dokładnie wie?

– Że muszę podziękować za pomoc, jakiej udzielił nam klan MacCallum – mruknął.

– A czy ma pojęcie o drugim powodzie twojej podróży?

– Wie wystarczająco wiele. Nie wtrącaj się do mojego życia, ostrzegam cię.

– Rozmawiam z tobą jak przyjaciel z przyjacielem, więc proszę o wzajemność. Wiesz, że musisz jej powiedzieć.

– Powiem.

– Kiedy?

– Niebawem.

Bothan stwierdził, że Blane nigdy jeszcze nie był tak wymowny.

– Jeżeli chcesz, mogę z nią porozmawiać za ciebie. – Zwierz zagotował się ze złości. Jeszcze tego brakowało! Bothana rozprawiającego z Brice o jego ożenku ze szpetną córką MacCalluma. – Może byłoby lepiej, gdybym...

– Nie, Bothanie – warknął. – Nie pójdziesz do niej i niczego jej nie powiesz. Zrobię to sam, gdy wrócę z Eilean Donan po zawarciu układu z Vanorą. Mam zamiar zachować tę wariatkę i jeżeli córka MacCalluma na to przystanie, wtedy się z nią ożenię. Nie inaczej – powiedziawszy to, zmrużył groźnie oczy.

– Zrozumiałeś? – dorzucił.

– Jasno i wyraźnie – odparł zadowolony Bothan, uśmiechając się szeroko. – Liczyłem na tak mądrą

decyzję. Naprawdę jesteś skurwielem – stwierdził przymilnym głosem, gdy przekraczali progi Calda House, gdzie już na nich czekali.

Blane siedział przy stole i gapił się bezmyślnie na stojący przed nim kielich z winem. Towarzyszący mu mężczyźni o czymś rozmawiali, ale on nie potrafił się na niczym skupić. Od samego rana myślał tylko o rozmowie z Brice i Tormodem. Była jedna rzecz, która najbardziej zapadła mu w pamięci. „Nikt z naszego klanu chyba jej nie wynajął, co?” Naszego klanu. Czuli się jedną z nich. Czy to dobrze?

– Może będzie lepiej przełożyć wyjazd, Blane? – Dotarł do niego poważny głos Eiliga. Spojrzał na niego zdezorientowany.

– Co?

– Wielu naczelników na święto Lammas⁸ do MacCalluma zjedzie – dorzucił Roslin.

– Blane zawrze z Ronanem układ – wtrącił Bothan, który widział, że przyjaciela coś dręczy.

– Mogliby uznać to za obrazę – kontynuował Ossian.

– A wtedy...

– Powiedziała: z „naszego klanu”! – wypalił gwałtownie Blane, zupełnie ignorując słowa rozmówców. Patrzyli na niego w milczeniu. Totalnie zdezorientowani. – Brice powiedziała – uzupełnił.

– Komu powiedziała?

– Tormod chciał... – zaklął pod nosem. – Nieważne komu!

– Co dokładnie powiedziała? – dociekał zaintrygowany Bothan.

– Że nikt z nas jej nie wynajął. Nikt z „naszego klanu”.

– A kto miałby wynająć Brice? – wydusił Ossian.

– I do czego? – zawtórował Roslin.

Blane jęknął w duchu. Mógł milczeć, jednak za bardzo go to dręczyło, teraz miał za swoje. Jednak przecież ona nie mogła tak powiedzieć!

– Tormod mówił o wynajętej najemniczce. A Brice powiedziała, że nikt z naszego klanu jej nie wynajął – wypowiedział gniewnie.

– Mądra dziewczyna – stwierdził Eilig.

– Ta ruda?

– Brice – wyjaśnił.

– Dlaczego? – dociekał Blane.

Bothan w milczeniu uważnie mu się przyglądał.

– Dlatego, że nasz klan nie wynajmuje najemników – wtrącił Ossian.

Blane przymknął na chwilę oczy.

– Brice powiedziała: „naszego klanu” – tłumaczył zniecierpliwionym głosem.

– A o jakim miała mówić? – wydukał skołowany Eilig.

– Mówiła o naszym klanie jak o swoim – palnął dosadnie Blane.

– I? – wypowiedziało kilka głosów naraz, a on ledwie się powstrzymał, aby nie wrzasnąć. W głównej mierze dlatego, że nie miał pojęcia, co odpowiedzieć.

– To Francuzka. – Jedyne tyle przyszło mu do głowy.

– I co z tego? Taka sama z niej diablica czy to Francuzka, czy Szkotka. Zniszczeń co prawda narobiła, ale pożytek też z niej czasem mamy. Tylko pilnować dziewczynę trzeba, żeby więcej głupot nie wyczyniała – oznajmił Ossian. Blane gapił się na niego oniemiały.

– Ale...

– Ossian ma rację. Nasza jest. Z niewoli ją odbiłeś i nie do MacAuleyów należy tylko do nas. A czy to ważne czy ona francuska, czy szkocka? Po naszymu przecież gada. Ja ją rozumiem – poinformował Eilig. – Przeważnie – dodał ciszej.

– Ja za każdym razem – zaręczył Roslin.

– Mało z nią gadam, ale też wiem, co mówi – dorzucił Ossian. – Głupoty przeważnie, ale to przecież dziewczka i po kobiecemu myśli.

– A może Blane ma rację? – wciął się Bothan z przekornym uśmiechem. Wszystkie spojrzenia skierowały się na niego. – Trzeba ludzi zapytać o zdanie. Może zdecydują, że cudzoziemka...

– Ja decyduję! – przerwał mu stanowczo Blane.

– Ma rację. Jest naczelnikiem i jego to decyzja – zawtórował mu Eilig.

– Jest skurwielem, wie, co robi – kontynuował Roslin.

– Macie rację. We Francji się urodziła i diablina z niej! – stwierdził dobitnie Blane, po czym pochwycił kielich i opróżnił kilkoma łykami. – Ale szkocka! – podsumował.

8 Jedno z czterech najważniejszych pogańskich świąt, które swoją nazwę otrzymało na cześć celtyckiego boga Luga współcześnie uznawanego za bóstwo słoneczne. Jest to święto, podczas którego odprawiano rytuały i składano ofiary, aby wyprosić o obfite zbiory plonów (między innymi). Święto to określano również festiwalem ognia. Był to jeden wielki jarmark powiązany z zawodami sportowymi. Mężczyźni mogli tu dowieść swoich umiejętności, popisując się jeździectwem, bądź szermierką. Były tańce, uczty i mnóstwo pieśni (*przyp. aut.*).

Rozdział 23 Toast



Ervin wpatrywał się z wściekłością w siostrę i jedyne, o czym mógł myśleć, to jak bardzo jej nienawidzi. Otoczona ludźmi z klanu wydawała się promienieć. Radość na jej twarzy go dołowała. Podejrzywał, że sypia z tymi mężczyznami. Przecież to niemożliwe, aby darzyli ją takim szacunkiem i uwielbieniem. Musiała gościć w łóżu każdego z tych brudasów. Innego wyjścia nie widział. Vanora była przecież tylko kobietą. W Londynie albo Paryżu nikt nawet by na nią nie spojrział. Była chuda, wysoka i nie miała kobiecej figury. Z ogorzałą od słońca twarzą oraz wiecznie splątanymi włosami przypominała wieśniaczkę. I ten jej obleśny nawyk chodzenia w męskim ubraniu. Napawało go to obrzydzeniem. Nigdy nie czuł się dobrze wśród tych ludzi i od dziecka utrzymywał dystans. Dziękował matce, że zabrała go stamtąd i pokazała prawdziwe życie.

Nie mieli pojęcia, jakie były jego prawdziwe plany. Tak naprawdę objęcie rządów w Eilean Donan i zamieszkanie w tym brudnym miejscu to ostatnie, co by zrobił. Funkcja naczelnika to jedynie szczebel do celu, jaki planował osiągnąć. Ervin zamierzał pojąć za żonę utytułowaną pannę, a jako przywódca klanu miał większe szanse na dobry ożenek. Tylko to się liczyło. Dostać się jak najbliższej korony angielskiej. Wszak majątna żona mogła ulec nieszczęśliwemu wypadkowi, czyniąc go wdowcem i spadkobiercą fortuny. Kolejne, tym razem jeszcze korzystniejsze małżeństwo. Widział w tym szansę na dostanie się do głównego celu, a był nim Anthony Marshall, osobisty sekretarz króla.

Ervin od zawsze budził niezdrowe emocje w kobietach. Niektóre były zwyczajnie zainteresowane nim, inne wręcz nachalne. Odbierał to z obojętnością, imponowało mu i mile łechtało jego ego, ponieważ uwielbiał być podziwiany. Jednak żadna kobieta nie wzbudzała w nim wzajemności. Nie zastanawiało go to. Myślał, że po prostu nie spotkał jeszcze wystarczająco dobrej dla siebie niewiasty. Jednakże sprawy przybrały inny obrót, gdy na jego drodze stanął Anthony. To było jak grom z jasnego nieba. Gdy tylko spojrział w przepastne, szafirowe oczy, zrozumiał, dlaczego nie potrafił obdarzyć namiętnością żadnej kobiety. Od tamtej chwili Anthony stał się jego skrytą obsesją. Za każdym razem, kiedy widział drobną sylwetkę młodzieńca, oblewało go gorąco. Te niesamowicie pogodne, zawsze wesołe oczy prześladowały go każdej samotnej nocy. Wyobrażał sobie, jak pięci centymetr po centymetrze jego nagie ciało, lecz tyle mu nie wystarczyło. Zwabił do siebie chłopca stajennego i założył dziecku na głowę płócienny worek, a następnie, wyobrażając sobie, że to Anthony, spełnił każdą zachciankę. Dał mu rozkosz, aby finalnie poderżnąć gardło. Nikt nie mógł się przecież dowiedzieć o jego skłonnościach.

Bolało go, gdy widział Anthony'ego w towarzystwie jego młodziutkiej narzeczonej, utytułowanej szlachcianki, którą już wkrótce chłopak miał poślubić. Czasem odnosił wrażenie, że jego głowa za moment eksploduje, od czasu do czasu miewał nawet myśli samobójcze. Gdy umarła matka, wszystko przybrało o wiele gorszy obrót. Bez jej wsparcia stał się jeszcze słabszy. Powrócił do rodzinnego Eilean Donan, lecz tu zastał brud, pospólstwo i brak szacunku. Poddani bratali się zarówno z jego ojcem, jak i siostrą, a to było nie do przyjęcia. Postanowił, że gdy obejmie rządy, ukroci ten proceder. Pokaże im, gdzie ich miejsce. Traktował ludzi z góry, bo tak należało. Był dziedzicem i nie mógł sobie pozwolić na zażyłość z poddanymi, którzy powinni ślepo wykonywać jego rozkazy. Początkowo próbowali nawiązać z nim kontakt, chcieli być serdeczni i udawali przyjaciół, ale on tego nie potrzebował. Po jakimś czasie zrozumieli to i traktowali go z dystansem. Wiedział, że go nienawidzą, lecz się tym nie przejmował, wręcz przeciwnie: chciał być tyranem,

którego się boją. Ich wrogie zachowanie zamierzał karać i pokazać im, kto tu rządzi. Marzył o tym.

Była jeszcze Vanora. Gdy tylko przybył i ujrzał jej radość, zrozumiał, że w pewnym sensie brakowało mu tego. Kochającej siostry, z którą mógłby o wszystkim porozmawiać, zwierzyć się i ulżyć strapieniom. Jej widok szczerze go ucieszył. Pamiętał ją, gdy odjeżdżał. Zapłakaną, smutną, załamana i nieszczęśliwą. Czasem o niej myślał, bywały chwile, gdy prosił matkę, aby pojechali do domu i odwiedzili rodzinę, lecz kobieta była niezłomna. Po jakimś czasie przestał tęsknić, przestał o nich myśleć. Gdy wrócił do Eilean Donan po śmierci rodzicielki i dostrzegł biegnącą w jego stronę Vanorę z tą szaloną radością na twarzy, poczuł szczęście. Właśnie wtedy na powierzchnię przebił się żal do matki, która nie pozwalała mu kontaktować się z bliskimi. Tego dnia nie mógł się napatrzeć na siostrę. Przepelniały ją pozytywne emocje, które udzielały się również jemu. Był skrytym człowiekiem i nigdy nie okazywał ekscytacji, tego jednego razu mu się to nie udało. Trwało to zaledwie kilka godzin. Gdy ujrzał ją w gronie brudnych, śmierdzących poddanych, z którymi się bratała, zrozumiał, dlaczego matka zabrała go z tego okropnego miejsca. W tamtej chwili znienawidził Vanorę i zawsze już dawał jej to do zrozumienia. Widział jej ból, czuł jej cierpienie, lecz nie obchodziło go to, a wręcz cieszyło. Bawił się jej uczuciami i czerpał radość z każdej porażki siostry, która nie ustawała w próbach pozyskania jego sympatii. Po objęciu władzy miał w zamiarach również ją ukarać.

Wtedy dostał potężny cios od życia, który sprawił, że jego nienawiść jeszcze się spotęgowała. Ojciec postanowił pominąć go w dziedziczeniu i to właśnie Vanorę dopuścić do władzy przez ślub z jakimś obcym naczelnikiem. Ervin nigdy nie zniżył się do tego, aby szczerze porozmawiać z ojcem, choć ten próbował się z nim porozumieć w tej sprawie. Bezowocnie. Znienawidził ich. I powziął decyzję, że zdobędzie władzę za wszelką cenę. Nie istniała już żadna rzecz, jakiej by nie zrobił, żeby tylko ukarać każdego z nich.

Wrócił na dwór, aby w spokoju obmyślić plan zdobycia władzy i zemsty na ojcu, siostrze oraz klanie. Chciał doprowadzić do tego, żeby błagali, aby przejął rządy. Był zaślepiony nienawiścią i gotowy na każde okrucieństwo. Jednak podczas jego wizyty na dworze stało się coś, co wszystko odmieniło.

Dotarł tam w dniu ślubu Anthony'ego. Był zdruzgotany tym faktem i przyjął go jako kolejną miazdzącą porażkę. Widząc ukochanego składającego przysięgę pięknej dziewczynie, cierpiał, choć starał się robić dobrą minę do złej gry. Nocą rozpaczał, był załamany i chciał umrzeć, balansował blisko ostatecznego kroku. I wtedy, gdy podjął już decyzję, usłyszał pukanie do drzwi, a kiedy ujrzał w nich Anthony'ego, jego serce dosłownie eksplodowało.

Okazało się, że przez cały ten czas chłopak odwzajemniał uczucie Ervina, a upewnił go w tym wyjazd młodego MacCalluma. Obaj dobrze wiedzieli, że małżeństwo Anthony'ego było konieczne. Doskonale zdawali sobie również sprawę, że chcąc utrzymać swój związek, musieli sprawić, aby Ervin znalazł się jak najbliżej rodziny królewskiej, co nie należało do łatwych. Nie był wystarczająco dobrze urodzonym człowiekiem, by stać się stałym mieszkańcem dworu. W tym wypadku istniało tylko jedno wyjście. Musiał za wszelką cenę odziedziczyć tytuł naczelnika i poślubić majątną szlachciankę, najlepiej pochodzącą z rodziny królewskiej. Zawsze miał powodzenie wśród kobiet i wiedział, że będzie mógł przebierać do woli. Potrzebował już tylko objąć funkcję po ojcu.

Trudno było się pożegnać z ukochanym, lecz teraz wiedział przynajmniej, na czym stoi. Miał pewność, że młodzieniec odwzajemnia jego uczucie. A jedynie to się liczyło. Ervin zdawał sobie sprawę, że zostanie naczelnikiem nie będzie prostą sprawą. Niemniej był zdecydowany doprowadzić do tego niezależnie od ilości trupów, które musiałby za sobą zostawić.

W drodze do domu poznał Ravena, który przedstawił mu swoje rodzeństwo. W umyśle Ervina zapaliła się migająca lampka. Dzięki tym ludziom mógł dostać to, czego pragnął. Okrutni, bezwzględni i pozbawieni skrupułów byli gotowi na wszystko, a takich sprzymierzeńców potrzebował. Co prawda w towarzystwie Malum czuł się niepewnie. Czarne, pozbawione emocji oczy napawały go panicznym strachem. Jednak musiał zdecydować się na ich pomoc, musiał za wszelką cenę dostać się jak najbliżej Anthony'ego. Początkowo rodzeństwo nie chciało o niczym słyszeć. Ignorowali go. Jednak w pewnym momencie to się zmieniło.

Postanowił przejechać przez ziemię MacLeoda, aby się zorientować, jak wygląda jego najgroźniejszy przeciwnik. Faworyt ojca. W chwili, gdy po raz pierwszy ujrzał Zwierza, pomyślał, że w innej sytuacji pozwoliłby zniszczyć temu człowiekowi życie Vanory. Prymitywny barbarzyńca wzbudził w nim odrazę. Chciał, aby jego siostra cierpiała, jednak ważniejsze było to, by wrócić do ukochanego. Ku jego ogromnej

radości rodzeństwo zmieniło zdanie i postanowili mu pomóc. Raven z Tenebris ruszyli z nim do Eilean Donan i wspólnie mieli poczekać na Malum.

Teraz spoglądał na siedzącą kilka metrów od niego Vanorę, a złość dławiła go w gardle. Ta radość na twarzy siostry budziła w nim protest. To, jak spoglądał na nią ojciec, jeszcze bardziej potęgowało wrogie uczucie. Jego rozmyślania przerwał głos Ronana:

– Chciałbym wznieść toast za mą piękną i dzielną córkę, mężnie walczącą u boku was wszystkich. – Te słowa sprawiły, że Ervina oblało gorąco. – Mam nadzieję, Vanoro, że dokonasz mądrego wyboru i naczelnikiem naszego klanu zostanie ktoś równie waleczny jak człowiek, któremu udzieliliśmy niedawno pomocy – oznajmił znacząco, wpatrując się w rozpromienioną twarz córki.

– Za Vanorę! – wykrzyknął Luthias.

– Za Vanorę! – zawtórowali chórem zgromadzeni przy stole mężczyźni.

Tego było dla Ervina zbyt wiele.

Rozdział 24 Jabłko



Blane chciał zostać choć jeden dzień dłużej, lecz wiedział, iż wcześniejszy wyjazd oznacza wcześniejszy powrót, a on pragnął wrócić do Brice jak najszybciej. Pożegnał ją dość chłodno, nie zamierzając tego przeciągać. Gdy wsiadł na konia i miał już ruszyć, ujrzał biegnącą w jego stronę blondynkę. Sapnął ze złością. To było nie do przyjęcia. Co ta dziewczyna sobie wyobrażała?

– Po co przybiegłaś? – zapytał chłodno, patrząc na jej zarumienioną twarz.

– Zapomniałeś o czymś – wysapała, próbując uspokoić oddech.

– O niczym nie zapomniałem – oświadczył poirytowanym głosem, tłumiąc chęć, aby zeskoczyć z konia i przytulić ją po raz kolejny.

– A jednak – wyszeptała. Zbliżywszy się, wyciągnęła w jego stronę rękę. Spojrzał zdziwiony na jabłko, które trzymała w dłoni. – Musiałam mieć jakiś pretekst, aby przypomnieć ci, że będę na ciebie czekała i że...

– Że co? – zapytał, wpatrując się w jej smutne oczy.

– Że będę za tobą tęskniła – wyszeptała cichutko, a w nim coś eksplodowało.

– Przyjedź do mnie – zaproponował bez zastanowienia, ubliżając sobie w myślach. Chyba zgłupiał, składając jej tę propozycję. Jej przyjazd to było czyste szaleństwo.

– Słucham? – zapytała z niedowierzaniem.

– Pojedziesz powozem. Wyjedziecie za trzy dni – oświadczył stanowczym głosem.

To mogło się udać. Droga powozem potrwa dwa albo nawet trzy razy dłużej, a jeżeli wyruszą za trzy dni, to przez ten czas zdąży dogadać się z MacCallumem i jego córką. Gdy przyjedzie Brice, przekona się osobiście, że to małżeństwo będzie jedynie układem. Tak. Zdecydowanie był to najlepszy pomysł.

– Naprawdę mogę z tobą pojechać? – zapytała uradowana, a on uśmiechnął się w duchu. Uwielbiał takie chwile.

– Nie ze mną, a do mnie. Teraz dawaj jabłko i wracaj na zamek. Jest coraz chłodniej – mruknął.

Zabrawszy z jej dłoni owoc, wrzucił go pospiesznie do sakwy, po czym zawrócił konia i pogalopował za ludźmi, którzy już odjechali.

– Czy dobrze usłyszałam i czy on właśnie powiedział, że masz do niego jechać? – Brice odwróciła się, dostrzegając strapioną twarz Uny.

– Tak – wyszeptała uradowana, a kobieta westchnęła.

– Z tego nie będzie nic dobrego – wymruczała. – Jutro wieczorem rozporządę ludźmi i...

– Rano – przerwała Brice. W jej głowie zrodził się szatański plan. – Blane kazał ruszać skoro świt.

– Ale...

– Był bardzo stanowczy – oświadczyła poważnie. Una pokręciła ze zmartwieniem głową.

– Głupi osioł – szepnęła. Brice odetchnęła z ulgą.

Całe szczęście staruszka nie słyszała dokładnie wszystkiego, dzięki czemu będzie mogła dotrzeć do Blane'a wcześniej. Jego ewentualną złością zajmie się, gdy już się spotkają.

Rozdział 25 Malum



Gaston obserwował, jak zmienia się mina Ervina, który słyszał toast wzniesiony na cześć siostry i poczuł niepokój. Wzrok chłopaka dosłownie zabijał. Z obawą myślał, na co odważy się teraz brat Vanory, lecz ku swemu zaskoczeniu ujrzał, że Ervin odchodzi od stołu, dając znak Ravenowi, żeby udał się za nim. Gaston powstał z krzesła i ruszył w ich stronę. Musiał z nim porozmawiać i spróbować jakoś załagodzić sytuację. Zanim jednak zdążył do nich dojść, usłyszał Ervina informującego Ravena, że wyjeżdżają i żeby powiadomił o tym Tenebris. Nie chciał, aby zabierali dziewczynę, więc gdy tylko Raven oddalił się w poszukiwaniu siostry, Gaston pobiegł za młodym MacCallumem do stajni.

– Erwinie, poczekaj! – krzyknął. Młodzieniec odwrócił się ku niemu i wpatrywał w niego ze złością. – Nie odjeżdżaj.

– Dlaczego mam zostać? Słyszałeś? Obrazili mnie – wysyczał blondyn.

– Źle to zrozumiałeś – wyszeptał mało przekonująco. Ten idiota nie potrafiłby niczego zrozumieć, on we wszystkich widział wrogów. – Vanora będzie cierpiała, gdy dowie się, że odjechałeś.

– Vanora będzie cierpiała? – rozbrzmiał pogardliwy głos chłopaka, a zaraz później jego nieprzyjemny śmiech. – W takim razie ruszam najspieszniej jak tylko mogę, ale nie obawiaj się, jeszcze powrócę, a wraz ze mną przybędzie Malum – dodał złowroźnie.

– Dlaczego to robisz?

Gaston był załamany takim obrotem sprawy. Zerknął w bok i ujrzał idącego w ich stronę Ravena, za którym podążała Tenebris. Spojrzała na niego zdeorientowanym wzrokiem.

– Możemy ruszać – oznajmił Raven. Zignorował Francuza i podprowadził konia, na którego grzbiecie już po chwili siedział Ervin.

– Nie musisz tego robić – szepnął Gaston, spoglądając na posępne oblicze Tenebris. – Nie musisz z nimi jechać. Możesz tu zostać i...

– Tenebris, pospiesz się! – krzyknął Raven, galopujący już w stronę bramy. Na ten dźwięk dziewczyna niczym automat wskoczyła na klacz i ruszyła za bratem.

Spoglądał z żalem na oddalającą się nastolatkę. Ogarnęła go bezradność. Było mu przykro, że Tenebris odjeżdża, posłuszna niczym marionetka. Dosłownie. Chciał pojechać za nią i zatrzymać, ale zdawał sobie sprawę, że w jakiś przedziwny sposób jest podporządkowana władzy brata. Nie rozumiał tego, lecz musiał się z tym pogodzić. Ervin obiecał, że wkrótce przybędzie wraz z jej drugim bratem i mimo wszystko była to dla niego dobra informacja. Będzie miał okazję ponownie porozmawiać z Tenebris i może tym razem uda mu się wpłynąć na jej decyzję.

– Całe szczęście, że ta świnka odjechała. – Obejrzawszy się za siebie, ujrzał Gillisa.

– Mimo wszystko zaboli to Vanorę – wyszeptał zmartwiony.

– Vanora jakoś się z tym pogodzi. Lepiej, żeby ten gnojek więcej się tu nie pokazywał.

– Z tego, co mówił, przybędzie tu ponownie. Myślisz, że będą problemy?

– Możesz być tego pewien.

– Nie ufam mu – szepnął Gaston, jednak nie Ervina miał na myśli.

– Nikt mu nie ufa.

– Mówię o Ravenie – oświadczył. – Jest jakiś dziwny.

– Owszem – przytaknął Gillis. – On i jego siostra diablica.

– Nie przesadzaj. Tenebris nie jest wcale taka straszna i nazwanie jej diabolicą to gruba przesada. Może jest trochę niecodzienna, jednak myślę, że ukrywa w sobie więcej dobra, niżby tego chciała. To właściwie jeszcze dziecko. – Poczul niezrozumiały żal do chłopaka. Osądzał ją, choć tak naprawdę wcale jej nie znał.

– A kto mówił o Tenebris? – rzucił Gillis, przyciągając zdezorientowane spojrzenie Gastona.

– Przecież sam powiedziałeś: siostra Ravena.

– Raven ma dwie siostry i módl się, aby nigdy na twej drodze nie stanęła jego bliźniaczka, Malum. –

Te słowa sprawiły, że zamarł.

– Malum to dziewczyna? – zapytał z niedowierzaniem.

– Tak – mruknął pod nosem chłopak. Splunął na ziemię, a potem odwrócił się i odszedł, zostawiając Gastona oniemiałego.

Dziewczyna? Wspomniał rozmowy, jakie podsłuchał i doszedł do wniosku, że używali jedynie imienia.

Dlaczego założył, że Malum to mężczyzna? I skąd taka reakcja Gillisa?

Po chwili usłyszał za sobą jakiś dźwięk i odwróciwszy się, ujrzał podjeżdżającą do niego Tenebris. Ten widok go zaskoczył. Czyżby wracała? Jechała wolno, wpatrując się w niego nieodgadnionym wzrokiem. Długie, rude włosy rozwiewał wiatr, co chwilę ukazując jej przedziwne oczy, aby już za moment ponownie je zakryć. Gdy zbliżyła się do niego, wstrzymała konia. Milczał, zastanawiając się, o co chodzi. Jej twarz standardowo nie mówiła niczego.

– Nie obawiaj się o nią – rozległ się miękki ton głosu dziewczyny. Zaskoczony otworzył szerzej oczy.

Po raz pierwszy odezwała się do niego i zrobiła to sama z siebie. Niezapytana, niepoproszona o odpowiedź.

– Kogo masz na myśli, Tenebris? – Dostrzegł ciepło w jej przedziwnych oczach.

– Nie pozwolę im jej skrzywdzić – oświadczyła, a on lekko się uśmiechnął.

Teraz sprawa była jasna. Ervin zamierzał zrobić coś Vanorze, a to dziecko chciało dopomóc. Serce ścisnęło mu się z żalu. Jakże skrzywdzono tę dziewczynę.

– Nie obawiam się o Vanorę – zapewnił, starając się zabrzmieć przyjaźnie.

– Nie mówię o Vanorze, Gaston. – Na dźwięk swojego imienia lekko się uśmiechnął.

– Więc o kim? Kogo chce skrzywdzić twój brat wraz z Ervinem? – Zauważył, jak wpatruje się w niego mądrym, uważnym spojrzeniem.

– Jeszcze nikogo, lecz to się wkrótce zmieni. Jednak nie martw się, nie pozwolę, aby ją skrzywdzili.

Zrobię to dla ciebie, Gastonie.

Poczul zdziwienie. Jeszcze nikogo? To się wkrótce zmieni? O co mogło jej chodzić?

– Nie rozumiem – szepnął.

– Ujrysz niebo w jej oczach – wyjaśniła, a on zamarł. Co miała na myśli? Czyich oczach?

– O kim mówisz? – zapytał ostrożnym głosem.

– Wkrótce z nią zatańczysz – szepnęła, wprawiając go w osłupienie.

Sen. Powrócił do niego sen oraz nieznamoma dziewczyna. Co się działo? Przecież nie mogła tego wiedzieć. Nie mogła znać jego snów. Kim ona, do diabła, była?

– Skąd to wiesz? – wyszeptał.

– Ona jest prawdziwa – poinformowała.

Włos zjeżył mu się na karku.

– Kim jesteś, Tenebris? – dociekał.

– Nie pozwolę im jej skrzywdzić, Gastonie. Za twe dobre serce. Tylko tyle powinienes wiedzieć – odparła, a gdy dostrzegła, że chce kontynuować rozmowę, przyłożyła palec do ust: – Shhh...

I gdyby miał jeszcze jakieś wątpliwości, to tym jednym „Shhh” wszystkie by rozwiała. Spoglądał, jak zawraca konia i odjeżdża, nie oglądając się za siebie, zostawiając go oniemiałego.

– Niebo w jej oczach – wyszeptał, a szept zabrzmiał echem w jego myślach.

Rozdział 26 Za wszelką cenę



Tormod wybiegł z zamku zdenerwowany. Nie chciał, aby zobaczyła to Brice.

Gdy tylko Una oznajmiła, że z samego rana wybierają się do Eilean Donan, poczuł ochotę, by zrobić jej awanturę. Jedyne, czego pragnął, to odnaleźć nieznaną dziewczynę, a wyjazd nie dość, że odwlekał to w czasie, to jeszcze komplikował całą sprawę.

Czy naczelnik zupełnie oszalał? Zabierać ze sobą biedną Brice tam, gdzie zastanie jedynie wrogo nastawiony do niej klan i przyszłą żonę Blane'a? Jeżeli wierzyć plotkom, to ta Vanora jest jakąś potworną kobietą, zdolną do najgorszego czynu. Nie chciał jechać do Eilean Donan, ale nie miał innego wyboru. Brice będzie potrzebowała opieki, a ten drań Zwierz traktował ją jedynie jak zabawkę.

– Jak, u licha, ją znajdzie? – wyszeptał Tormod, mając na myśli dziewczynę ujrzaną na placu boju.

Spojrzenie ciemnych oczu chłopaka nagle się złagodziło. Ona była taka piękna. Dużo niższa od niego i bardzo szczupła. Ogień odbijający się w jej włosach sprawiał, że wydawały się żyć własnym życiem. Gdy tylko ją zauważył, nie mógł oderwać od niej oczu. Stał i wpatrywał się w nią oniemiały. Wyglądała zjawiskowo i niecodziennie, budziła w nim niebywale pokłady czułości.

Widział, jak bez mrugnięcia okiem zabija, a na jej twarzy nie malowały się żadne emocje, lecz jedyne, co czuł, to chęć, aby podejść, objąć ją i zabrać z tego potwornego miejsca. Zdawał sobie sprawę, że umiejętnościami walki przewyższała najlepszych, jednak nadal czuł piekącą troskę i nic na to nie mógł poradzić. Niezależnie od tego, kim była, musiał ją odnaleźć i otoczyć troską. Odmienić jej życie, sprawić, aby było dobre. Zapewnić jej bezpieczeństwo.

Tam, na polu bitwy, stał jak idiota i chyba jedynie cudem udało mu się zachować życie. Po prostu nie mógł się poruszyć. Tkwił w samym centrum batalii, wokoło niego walczyli, wygrywali, ginęli, a on mógł jedynie wpatrywać się w nieznaną. W chwili, gdy na niego spojrziała, świat się zatrzymał. Ujrzał na jej twarzy zaskoczenie. Jej spojrzenie go powaliło. Nigdy wcześniej nie widział czegoś równie pięknego. Mógł tylko wpatrywać się w nią z zachwytem. I wtedy zobaczył na jej obliczu coś, co zupełnie zbiło go z tropu. Odniosł wrażenie, że się zawstydzila. Chyba inaczej nie umiał tego wytłumaczyć. Obejrzała się, jakby chciała uciec, jednak nie zrobiła tego i ponownie spojrziała na niego. We wzroku miała tak wiele... Niewinności? Czy to możliwe?

– Jak masz na imię? – wyszeptał, zapatrzony w... ciemność.

Wiedział jedno. Za wszelką cenę musiał ją odnaleźć i nie zamierzał spocząć, dopóki tego nie zrobi. Teraz jednak nie miał wyjścia. Brice potrzebowała go w Eilean Donan. Nie miała pojęcia, w jakiej sytuacji się znalazła, a naczelnik rozkazał milczeć pod groźbą śmierci. Może w innym przypadku zlekceważyłby to, lecz w tej chwili musiał zachować życie, ponieważ zamierzał zrobić coś bardzo ważnego. Odnaleźć tajemniczą wojowniczkę. Więc pojedzie do Eilean Donan z Brice i obroni ją, jeżeli zajdzie taka potrzeba, a później uczyni to, co sobie postanowił. Spojrzy jeszcze raz w te przepiękne, dwukolorowe oczy i powie...

– To się nie uda... – wyszeptała bezwiednie Tenebris, tknięta nagłą emocją. Ściągnęła gwałtownie wodze, sprawiając, że koń nieco się sploszył. – Co to ma znaczyć? – wymamrotała zdezorientowana. Dlaczego właśnie teraz wróciło wspomnienie chłopaka, którego ujrzała podczas bitwy?

– Pospiesz się, u licha! – Usłyszała wściekły głos brata. Przez moment próbowała przywrócić w sobie równowagę.

– Z tego będą kłopoty – mruknęła pod nosem. Spięła konia, a później pogalopowała, zostawiając w tyle mężczyzn.

Uciekała. Lecz przed czym tak naprawdę?

Rozdział 27 Strzala



Podróżowali całą noc. I jeżeli Bothan miał nadzieję na jakiś nocleg, to się przeliczył. Widząc zaciętą minę Blane'a, gnającego niczym sam diabeł, jedynie westchnął. W zasadzie wcale mu się nie dziwił. Brice sama w Ardvreck? Pominąwszy to, że dziewczyna wywołała w nim jakieś uczucie, istniała również obawa, że gdy wrócą, okaże się, że wysadziła w powietrze zamek albo Calda House. Uśmiechnął się do swoich myśli. Prawdę mówiąc, jemu samemu również będzie brakowało jej obecności. Lubił towarzystwo Francuzki i rozmowy z nią. Bardzo ucieszyła go decyzja Blane'a, gdy dowiedział się, że postanowił zachować blondynkę w swoim życiu. Za każdym razem, gdy tylko zatrzymywali się na popas, widział, jak naczelnik odchodzi na bok, wyjmując z sakwy jabłko i wpatruje się w nie niczym idiota. Nietrudno było się domyślić, od kogo je dostał.

Gdy dotarli do Eilean Donan, było już popołudnie. Obaj utrudzeni byli długą podróżą. Stajenny zajął się końmi, a Blane spojrzawszy ponuro na mury zamku i ciężko westchnął. Gdzieś tam przebywała ta poczwara. Na samą myśl zbierało mu się na mdłości.

– Zamierzasz jeszcze dziś udać się do starego Ronana? – zapytał Bothan, wpatrując się z uwagą w zachmurzoną minę Blane'a.

– Rozmówię się z nim rankiem.

– A Vanora?

– Nie mam zamiaru gadać z tym babskiem, przynajmniej na razie – warknął ze złością i sięgnął do sakwy. Po chwili jabłko w jego dłoni rozpogodziło oblicze Blane'a.

– Masz zamiar nosić je dotąd, aż zgnije? – rzucił niby od niechcienia Bothan, uśmiechając się przy tym przekornie. Wszystko zaczynało się powoli rozjaśniać, a sprawa wyglądała na dość prostą. – Nie obawiaj się, przyjacielu, szybko załatwisz to z dziewczyną. Jest wojownikiem, więc nie będzie potrzebowała umizgów.

– To, że chowają ją przed ludźmi, nie robi z niej zaraz wojownika – zaprotestował Blane. – I nawet jeżeli jest szpetna, nie oznacza to od razu, że dziewczka dobrze strzela z łuku – mruknął. Przysunął jabłko do ust, lecz zanim zdążył je ugryźć, strzala przeszła owoc.

Spojrzał zdezorientowany w stronę, skąd przyleciała. Kilka metrów dalej ujrzał wpatrującą się w niego z wściekłością młodzieńką dziewczynę. Jej wzrok sprawił, że coś się w nim zatrzęsło. Nie potrafił przerwać kontaktu wzrokowego. Miała w oczach przedziwny magnetyzm, żar i jeszcze coś trudnego do określenia. Widział, jak podchodzi powolnym krokiem, nadal nie spuszczać z niego wzroku, a on nie mógł wydusić ani słowa. Gdy stanęła przed nimi, aż kipiała złością. Piękne, brązowe oczy rzucały w jego stronę gromy. Kim, u licha, była ta istota? Zanim zdążył zadać pytanie, ubiegła go.

– Masz rację, nie jestem taka dobra – wypowiedziała z pasją, a jemu zrobiło się gorąco. *Czyżby?* – Celowałam w twoją pustą głowę! – wrzasnęła wściekle, a następnie odwróciła się i tak po prostu odeszła, zostawiając go kompletnie oniemiałego.

– Kto to, u diabła, jest? – wydusił po dłuższej chwili Blane.

– Wygląda na to, że jest to ta szpetna Vanora, która nie umie strzelać z łuku – odpowiedział mu cichy głos Bothana. Spojrzał na niego zdezorientowany.

– Ale przecież ona...

– Tak, wychodzi na to, że jednak całkiem dobrze strzela z łuku – stwierdził krótko.

Widział wyraźnie, że Vanora namieszała Blane'owi w głowie i nie był z tego powodu zadowolony. To wszystko komplikowało.

– Chyba powinienem z nią...

– Rankiem będziesz miał jasny umysł – wszedł mu w zdanie. – Powinieneś przespać noc i na spokojnie rozmówić się najpierw z jej ojcem. Wiesz, z jakiego powodu tu jesteś, i jakie postanowienie cię przywiodło.

– Rankiem. – Usłyszał krótkie stwierdzenie przyjaciela i ujrzał, jak Blane wyciąga strzałę z jabłka.

– Pamiętaj o...

– Zobaczymy się skoro świt – przerwał mu. Później odrzucił owoc w błoto i, zabierając ze sobą strzałę, skierował kroki w stronę zamku.

Bothan westchnął ze smutkiem. Jeszcze kilka minut temu wszystko było takie nieskomplikowane. Blane zdecydował się zawrzeć układ z Vanorą, a teraz jego zachowanie prawdopodobnie zaskoczyło nawet jego samego. Ale czy mógł się dziwić? Vanora również jego oszołomiła. Dziewczyna była przepiękna. Jedno spojrzenie na nią sprawiło, że oblało go gorąco. Nigdy wcześniej żadna kobieta nie wywarła na nim tak ogromnego wrażenia.

Teraz wszystko legło w gruzach. Czy możliwe, aby poczuł coś do przyszłej małżonki swojego naczelnika? Wiele wskazywało na to, że owszem. Czy cokolwiek mogło skomplikować się jeszcze bardziej?

Gdy Vanora ujrzała Blane'a i Bothana, jej serce przyspieszyło rytm. Przybyli wcześniej. Spoglądała na nich z ukrycia i nie mogła oderwać wzroku od tego człowieka. Dlaczego tak na niego reagowała? Co w sobie miał, że nie umiała przestać o nim myśleć? Fascynował ją. Jego twarz sprawiała, że coś w niej wrzało. Mroczne spojrzenie i ten specyficzny gest, gdy jego górna warga unosiła się niczym u drapieżnika.

Wyglądał doskonale, sprawiał, że w jej głowie pojawiały się myśli, w których wyobrażała sobie, jak mogłaby się poczuć, gdyby otoczył ją ramionami.

Zapatrzona, zaczęła przysłuchiwać się, o czym mówią, i zamarła, gdy dotarł do niej sens słów. W jednej chwili poczuła się, jakby ktoś wylał jej na głowę wiadro lodowatej wody. Bezwiednie ujęła w dłonie łuk, który wcześniej odłożyła na murek, napięła cięciwę, po czym wypuściła strzałę. Podchodziła do nich wściekła niczym furia, w myślach wynajdując przeróżne sposoby, w jakie będzie go zabijała. Co skłoniło ją, aby odejść i nie wykończyć go od razu? Chyba tylko to, że był większy, silniejszy i nie był sam. Vanora cechowała się odwagą i inteligencją, a umiejętnościami przewyższała niejednego mężczyznę. Umiała zachować dystans i z reguły wykazywała się zdrowym rozsądkiem, jednak... Do czorta!

– Szpetna! – wrzasnęła wściekle i wycelowała w oddalony o kilkanaście metrów snop siana, po czym wypuściła strzałę, wizualizując sobie cel. – Cholerny MacLeod! – warknęła. Musiała spuścić emocje, a najlepszym sposobem od zawsze było strzelanie.

Nie myślała nigdy o sobie w kategoriach wyglądu, ponieważ nie było to dla niej istotne. Miała sprawne ręce, sprawne nogi i potrafiła walczyć.

Nie czuła się piękną, gdyż nie miała takiej potrzeby. Liczyła się jedynie walka, sprawność fizyczna i dobry kontakt z druhami. Nie była nadobna jak Rhona, nie nosiła sukienek, nie przyozdabiała się klejnotami i nie barwiła twarzy kolorowymi mazidłami.

– Ale żeby od razu szpetna? – wymamrotała.

W pewnym momencie usłyszała za sobą jakiś odgłos i błyskawicznie odwróciła się w stronę, skąd dochodził. W drzwiach stodoły stał mężczyzna, który przyjechał wraz z MacLeodem.

Na jego widok aż zagotowała się wściekłości.

– Jak długo tu jesteś? – zapytała. Nie uzyskawszy odpowiedzi, wymierzyła w niego i wypuściła strzałę, która przeleciała tuż obok ucha nieznanego. To przedziwne, ale mężczyzna patrzył na nią z podziwem, ufnością i nie uchylił się, gdy strzała leciała w jego stronę. To ją zaskoczyło. – Mów, bo drugim razem postaram się lepiej wycelować – warknęła i ujrzała, że mężczyzna uśmiecha się pod nosem.

– Myślę, że gdybyś tego chciała, to nawet z zawiązanymi oczyma trafiłabyś bezbłędnie do celu. – Zmarszczyła czoło i podeszła do bruneta. Biła od niego niesamowita łagodność i trudne do określenia ciepło, które w pewien sposób ją uspokajało.

– Długo tu jesteś? – powtórzyła pytanie.

– Nie jesteś szpetna, Vanoro – powiedział, wpatrując się w nią niczym urzeczoney. *Jesteś*

najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziałem – dodał w myślach. – Blane źle dobrał słowa. Wcale tak nie myśli, on...

– Nie interesuje mnie, co myśli twój naczelnik – przerwała mu, wyraźnie poruszona faktem, że słyszał, co mówiła i poniekąd ją przejrzał.

Zachowywała się przecież jak próżna dziewczka, a była wojownikiem. To, co myśli jakiś śmierdzący bydlak, nie powinno jej zboleć. Każdemu innemu spuściłaby baty za kpiny i zrobiłaby to dla rozrywki, ale ten cholerny Zwierz musiał zginąć! A gdy będzie go zabijała... *Boże, co ja wyprawiam?* – zganiła się w myślach. Pragnęła teraz mieć obok siebie Gastona, lecz zamiast niego stał przy niej przyjaciel wroga i ku jej zdumieniu wcale nie napawał ją podobnymi uczuciami, co jego kamrat.

– Żaden strzelec w naszym klanie nie strzela tak dobrze jak ty, Vanoro. – Zaskoczył ją po raz kolejny.

– Chybiłam – oświadczyła wyniośle, starając się ukryć, że swymi słowami sprawił jej przyjemność.

– Jeżeli tak twierdzisz – szepnął, a ona poczuła irytację.

– Stwierdzam fakt – mruknęła.

– Jesteś nad wyraz skromna – rzucił przekornie. Sapnęła ze złości.

– Dobrze, masz rację, chybiłam umyślnie. Prawdą jest też, że strzelam doskonale i owszem, nikt w klanie nie przewyższa mnie umiejętnościami, ale to nie oznacza, że jestem szpetna! – krzyknęła i odbiegła, zostawiając go zapatrzonego w jej kształtną sylwetkę, która wkrótce zniknęła za zamkowymi podwojami.

– Jesteś piękna – wyszeptał smutno.

Rozdział 28 W ciemności



Gaston gnał niczym szalowiec, na złamanie karku, zdeterminowany i gotowy na wszystko. Nie chciał zatrzymywać się w gospodzie, jednak musiał dać odpocząć wyczerpanemu całodzienną jazdą rumakowi, ponieważ robił jedynie krótkie przerwy i koń potrzebował teraz dłuższego wypoczynku. Podejrzał też, że ambasador, który zatęsknił za dworskim splendorem i, o niczym go nie informując, postanowił skrócić pobyt w Szkocji, nie wytrzyma w siodle zbyt długo i zatrzyma się w pierwszej lepszej gospodzie. Szczęśliwym trafem w tej okolicy znajdowała się tylko jedna.

Louis wyjechał wczesnym rankiem, miał zatem niemal cały dzień przewagi. Gaston wyruszył za nim bezzwłocznie. Był wściekły. W momencie, gdy doniesiono mu, że do Eilean Donan przybył Blane MacLeod, on musiał gonić za cholernym ambasadorem. Nie mógł dopuścić, by informacja o zamianie ról dotarła do króla. Wynikłyby z tego spore kłopoty, a monarcha angielski miałby całkiem niezły argument w przetargach politycznych. To jednak było dla Gastona najmniej istotne, gdyż w tej chwili liczyło się jedynie to, że w Eilean Donan została wściekła niczym osa Vanora. Przed odjazdem zamienił z nią zaledwie kilka słów, informując o ucieczce Louisa i dowiedział się przy okazji, że MacLeod doprowadził ją do wściekłości niemal w ułamku sekundy, co w sumie było nawet dziwne, biorąc pod uwagę pozytywne nastawienie, jakie wykazywała w ostatnim czasie.

Gaston uznał, że w tym momencie priorytetem jest młodzica Szkotka, ale aby jej pomóc musiał wpierw dogonić Louisa i przywieźć go z powrotem. W innym przypadku kwestią dni byłoby przybycie ludzi króla. Monarcha na pewno chciałby wiedzieć, co skłoniło Gastona do udawania ambasadora, a wtedy prawda wyszłaby na jaw. Nie chciał, aby ludzie z klanu dowiedzieli się o kłamstwie w taki sposób i w tak niefortunnym momencie. Wolał przyznać się osobiście. Poznali go jako człowieka, kompana i przyjaciela, miał nadzieję, że to wystarczy, żeby mu wybaczyli.

Odetchnął z ulgą, gdy po dotarciu do gospody udał się do stajni, w której zobaczył znajomego rumaka. Teraz wystarczyło rozmówić się z ambasadorem, a następnie niezwłocznie powrócić do Eilean Donan. Wydawało mu się, że jest już po sprawie, jednak mina mu zrzedła, gdy tylko ujrzał Louisa. Okazało się, że gdy Francuz zsiadał z konia, noga wysunęła mu się ze strzemiona, w efekcie czego upadł, raniąc się nieznacznie w kolano. Jednak to wystarczyło, aby zachowywał się, jakby co najmniej ktoś próbował mu tę nogę odrąbać. Gaston od razu zorientował się, że będzie problem. Louis ani myślał wracać, jako główny argument podając poważny wypadek, jakiemu uległ. Zaparł się jak osioł, ale Gaston był zdeterminowany i gotowy na wszystko, aby nie dopuścić do jego powrotu do Anglii. Nie groził, nie straszył, poszedł na skróty i do zmiany decyzji skłonił Louisa obietnicą finansowej rekompensaty. Skutecznie. Niestety straszliwie ranny ambasador zastrzegł, że mogą wyruszyć dopiero za trzy dni, gdyż obecnie jego stan zdrowia nie pozwalał na uciążliwą podróż, na co Gaston skwapliwie się zgodził. Odetchnął z ulgą i chciał od razu wsiąść na konia, lecz po zastanowieniu uznał, że nie może mu zaufać. Musiał zostać z nim w gospodzie i osobiście przypilnować, aby nie zmienił zdania.

Po rozmowie z Louistem zamierzał jeszcze raz przeanalizować wszystko na spokojnie. Liczył na to, że jakimś cudem uda mu się nakłonić Francuza do szybszego powrotu. Wyszedł w nocy z gospody, aby odetchnąć świeżym powietrzem i udał się do stajni, chcąc sprawdzić, czy parobek należycie zajął się koniem. Gdy przechodził przez dziedziniec, usłyszał jakies głosy i odruchowo skierował się w stronę, skąd

dochodziły. Była już późna noc i wszędzie panowały nieprzeniknione ciemności.

– Brice, gdzie jesteś? – W tonie nieznanego mężczyzny usłyszał niepokój. – Brice, jesteś zmęczona, odpocznij. – Nikt nie odpowiadał.

Gaston ruszył w tamtą stronę, chcąc dowiedzieć się, czy nawołujący czegoś nie potrzebuje. Jednak zanim do niego dotarł, ktoś złapał go za rękę i szarpnięciem odciągnął w stronę zadaszonoego pomieszczenia. Początkowo pomyślał, że ktoś go atakuje, ale zanim zdążył zareagować, zorientował się, że była to kobieta i raczej nie wyglądało to na atak. Odetchnął z ulgą. Niewiele brakowało, aby ją uderzył.

– Czy to ciebie szukają? – zapytał, ale nie usłyszał odpowiedzi.

Zamiast tego dziewczyna pchnęła go zdecydowanym ruchem na ścianę i ciasno do niego przywarła. Zaskoczony zamarł. *Co się dzieje?* – pomyślał. Już po chwili usłyszał tuż obok kroki i zachowanie nieznanego stało się bardziej logiczne, choć jeszcze nie do końca je pojmował.

– Brice, jesteś tu? – Tuż obok rozległ się znajomy głos.

– Coś ci grozi, pani? – wyszeptał Gaston, nachylając się nieznacznie do ucha niewiasty.

Nadal czuł zdezorientowanie i coraz bardziej niepokoiło go to zdarzenie. Wyglądało na to, że dziewczyna czegoś się obawiała. Czyżby znalazła się w niebezpieczeństwie? Musiał się tego koniecznie dowiedzieć i udzielić pomocy.

– Brice? – Chłopak znajdował się bardzo blisko, lecz nie brzmiał jak ktoś, kto chce wyrządzić krzywdę.

– Czy... – zaczął Gaston, ale nie skończył, poczuwszy drobną dłoń na ustach. O co tu chodziło? I dlaczego uciekała? W jego głowie pojawiało się coraz więcej pytań.

– Shhh... – Usłyszał i poczuł dreszcze. To wydało mu się przedziwnie znajome, ale przecież jej nie znał.

– Kim jesteś, pani? – zapytał, odsuwając delikatnie kobiecą dłoń i usłyszał gniewne sapnięcie.

Zaskoczony zmarszczył czoło. Może to jakaś dziewczyna pracująca w zajeździe? Odrzucił tę myśl. Zachowała się zbyt odważnie jak na prostą pomywaczkę. I ten zapach. Gaston bezwiednie przysunął twarz do jej rozpuszczonych włosów i zaciągnął się kwiatowym aromatem, prosząc w duchu, aby tego nie dostrzegła. Była o wiele niższa od niego. *Jak wyglądasz?* – pomyślał i otrząsnął się. Dziewczynie prawdopodobnie groziło niebezpieczeństwo, a on, zamiast udzielić jej pomocy, myślał o głupotach.

– Brice, gdzie jesteś? Odezwiąj się – nalegał męski głos.

– Czego się obawiasz, pani, czy ten... – Chciał zadać kolejne pytanie, ale nieznaną zrobiła coś, czego zupełnie się nie spodziewał.

Gdy poczuł jej usta na swoich, w pierwszej chwili zamarł. Jednak nie trwało to długo. W którymś momencie zaczął całować ją niczym szalencie. I choć wiedział, że była to swego rodzaju desperacja ze strony młódki, która za wszelką cenę chciała go uciszyć, nie umiał się powstrzymać. Czy działo się tak przez okoliczności, w jakich to się wydarzyło? Gdy zareagował z tak ogromną pasją, dziewczyna próbowała się wycofać, lecz nie pozwolił na to, odwrócił ich i teraz to on napierał na nią, przygważdżając do ściany. Ujął jej twarz w dłonie i nie pozwalał się wyswobodzić. Zaciśnęła palce na materiale jego koszuli i spróbowała go odepchnąć, lecz z chwili na chwilę jej reakcje zmieniały się i w tym momencie już się nie broniła, wręcz przeciwnie. Całowała go równie zapamiętale.

Ganił się w myślach za swe zachowanie. Wiedział, że nie powinien tak postępować, gdyż dziewczyna próbowała przed kimś uciec i posunęła się do czegoś, czego w normalnych okolicznościach by nie zrobiła, a on teraz... Tak po prostu... Nie potrafił się powstrzymać.

W którymś momencie odepchnęła go gwałtownie i wymierzyła mu siarczysty policzek.

To natychmiast go otrzeźwiło i przywołało do rzeczywistości.

– Wybacz, pani – wyszeptał zduszonym głosem.

Nieznaną nie wydawała się wcale złąknią. Nie uciekła. Wręcz przeciwnie. Nie odsunęła się nawet na krok. Nie widział jej twarzy, słyszał jedynie przyspieszony oddech i czuł, że aż kipi z wściekłości. Miał w głowie dziesiątki pytań. Przed kim uciekała? Kim była? Jak wyglądała? Wiedział tylko, że jest niska i szczupła. Miała długie włosy, czuł to, wplatając w nie dłonie podczas pocałunku. W tym momencie dałby wiele, aby ujrzeć jej twarz, złość, pasję i coś jeszcze. Coś, czego nie potrafił nawet nazwać.

– Wiem, że postąpiłem haniebnie, proszę o wybaczenie – wydusił. – Chciałbym... – Zamierzał kontynuować, lecz zrobiła coś, co kompletnie go zaskoczyło. Pocałowała go ponownie.

To przedziwne, ale wyczuł w tym bezsilność. Pomimo że wszystko w nim dosłownie szalało, tym razem nie rzucił się na nią jak wariat. Całował tajemniczą dziewczynę delikatnie, próbując uspokoić jej chaotyczne pocałunki. Zdawał sobie sprawę, że teraz nie całuje go tylko dlatego, aby milczał. Zostali sami i oboje to wiedzieli. Przywarł do niej całym ciałem, ponownie ujmując w ręce jej twarz. Usłyszał westchnienie i ogarnęło go jeszcze większe pragnienie. Poczul, jak wsuwa palce w jego włosy i krew uderzyła mu do głowy. Kim, u licha, była? Może to córka gospodarza? Ale czy to ważne? Pragnął jej i tylko to się teraz liczyło.

Nagle gwałtownie się odsunęła i tak po prostu... Zniknęła. Inaczej nie mógł tego wytłumaczyć.

W tych ciemnościach nie potrafił nawet zorientować się, w którym kierunku odbiegła. Przez chwilę stał jak słup soli i dochodził do siebie. Już za moment ruszył w stronę oświetlonej pochodniami gospody. Był zdesperowany i zdecydowany odnaleźć nieznajomą. Nie zauważył, że ktoś wychodzi z budynku i z rozpędu wpadł na młodego, wysokiego, ubranego w szkocki kilt chłopaka.

– Szukam dziewczyny. Była tu przed chwilą – powiedział gwałtownie, nie siląc się nawet na przepraszam. Oczy młokosa nagle się ożywiły.

– Nie wiem, co zrobiła, ale jest niewinna! – wypalił, na co Gaston zmarszczył czoło. O co mogło mu chodzić? – Za ewentualne szkody zapłacę – zapewnił pospiesznie chłopak, a on ledwie się powstrzymał, aby nie parsknąć śmiechem. Ten głos. Rozpoznał go od razu. To on szukał przed chwilą tajemniczej dziewczyny.

– Więc ją znasz – stwierdził, zastanawiając się, jak powinien ustosunkować się w tej sytuacji. Wyglądało na to, że nieznajoma sprawiała czasem problemy, skoro Szkot najpierw zaręczył, że jest niewinna, a następnie chciał zapłacić za „ewentualne” szkody.

– To zależy – powiedział nieznajomy dyplomatycznie.

– Zależy? Od czego? – zapytał Gaston. Musiał ochłonąć. Niedawne emocje wciąż w nim buzowały.

– Od tego, co zrobiła, ale nie słyszałem ani wybuchu, ani nic się nie pali. Niemniej jeżeli coś zrobiła, to na pewno niechący – zapewnił chłopak bez namysłu, a Gaston westchnął. Nie zamierzał informować go, co nieznajoma dziewczyna zrobiła. Prawdę mówiąc miał ochotę odnaleźć ją i kontynuować.

– Słyszałem głosy i wydawało mi się, że przed czymś ucieka, chciałem sprawdzić, czy nie znalazła się w kłopotach. To wszystko – wyjaśnił spokojnie i ujrzał na twarzy chłopaka ulgę.

– Nie kłopotcz się, panie. Jest ze mną bezpieczna – zaręczył.

– Wcześniej tego nie wiedziałem, teraz jednak jestem pewien, że nic nie grozi twojej... – Umyślnie zrobił przerwę, chcąc dowiedzieć się, kim dla siebie są.

Czy to możliwe, aby byli małżeństwem? Chłopak wyglądał raczej na jej młodszego brata, choć wszystko było możliwe. W sumie nawet nie widział nieznajomej. Owszem, zachowywała się dość odważnie, ale równie dobrze mogła być młodziutką dziewczyną jak i starszą, dojrzałą kobietą. Nic nie mówiła, więc nie usłyszał tonu jej głosu, a może to by mu cokolwiek powiedziało.

– To moja przyjaciółka – oświadczył z dumą młodzieniec. Gaston ledwie powstrzymał się od zadawania kolejnych pytań.

Pragnął dowiedzieć się o niej jak najwięcej. Mało tego, chciał jeszcze raz ją spotkać i porozmawiać, a później... Spróbował się uspokoić. Była późna noc, niedługo zacznie świtać. Dziewczyna prawdopodobnie dotarła już do pokoju. On również potrzebował wypocząć, aby nie działać pochopnie. Postanowił, że się zdrzemnie, a raniem odnajdzie ją i zmusi do konfrontacji. Wszystko w nim aż się rwało, aby poznać ją lepiej. Pożegnał się z młodzieńcem i udał do komnaty. Zasnął, gdy tylko położył się do łóżka. Niestety raniem spotkał go zawód. Nieznajoma i jej towarzysz wyruszyli w drogę, zanim zaczęło świtać, a gospodarz nie miał pojęcia, kim byli.

Gaston w pierwszej chwili chciał ruszyć za nimi, ale przecież nawet nie wiedział, w którą stronę się udali. Żałował, że nie porozmawiał z chłopakiem dłużej. Mógł przecież zapytać o cel podróży. Udać zwyczajne zainteresowanie, nie wspominając nic o jego przyjaciółce. Teraz jednak było już za późno. Z nawoływań chłopaka znał tylko imię dziewczyny. Nie mógł wyrzucić z pamięci tych kilku minut z nieznajomą. Musiał wziąć się w garść, ale było mu trudno pogodzić się z myślą, że nigdy jej nie zobaczy, bo przecież tak naprawdę nie miał pojęcia, jak wyglądała. Chciał myśleć, że była paskudną pokraką, która w świetle dziennym napełniłaby go odrazą, ale z drugiej strony to wspomnienie... Jakkolwiek by nie wyglądała, w tamtej chwili jawiła mu się jako eteryczna, delikatna istota, której pragnął. Jej zapach, westchnienia i chaotyczne pocałunki. Jakże szybko zgrali się w jeden rytm i jak niesamowicie się wtedy czuł.

Nigdy wcześniej nic podobnego go nie spotkało.

Nie nalegał już na szybszy powrót. Potrzebował czasu, aby dojść do siebie. Vanora na niego liczyła i zamierzał zrobić wszystko, aby jej pomóc. Lecz żeby móc to zrobić, powinien być w pełni skupiony, a w tym momencie w jego głowie znajdowało się zbyt wiele myśli o tajemniczej Brice. Życie przyzwyczało go, że nigdy nie dostawał tego, czego pragnął. Twarde, okrutne realia dopadły go również i tym razem. Musiał schować głęboko w sobie mrzonki, zdusić je i zapomnieć o nieznajomej, która już na zawsze pozostanie dla niego tajemnicą. Nie miał innego wyjścia, jak pogodzić się z losem.

Rozdział 29 Pięta Achillesa



Blane nie mógł zasnąć. Przewracał się z boku na bok, ale sen nie nadchodził. Przed oczami wciąż miał wściekłą twarz Vanory, która dosłownie zabijała go spojrzeniem. Teraz mógł ocenić sytuację na spokojnie. Z dystansem i bez emocji. Przybył tu nastawiony, że zastanie szkaradną, odstręczającą dziewczuchę. Jawiła mu się jako zwalista, bezpłciowa kobieta, śmierząca łajnem i niepotrafiąca się poprawnie wysłowić. Kogo zastał? Niesamowicie ponętą, piękną młodkę z ognistym charakterem.

– Faktycznie dobrze radzi sobie z łukiem – mruknął pod nosem na wspomnienie strzały, która przeszła jabłko.

Jabłko!

– Brice – wyszeptał i zacisnął rękę na strzale, która pod gwałtownym naciskiem pękła na pół.

Poderwał się z łóżka, odrzucając pod ścianę belt, po czym ruszył w stronę drzwi. Zbiegał pospiesznie po schodach, przeskakując po dwa stopnie. Jedyne, czego teraz chciał, to znaleźć upuszczony owoc. Ubliżał sobie w myślach, czuł wściekłość i żałował swej reakcji, aczkolwiek nie zrobił tego z premedytacją. Ujrzał prawdziwą piękność, wojowniczą, nieokiełznaną dziewczynę. I w innej sytuacji jedyne, o czym mógłby myśleć, to jak najszybsze zaślubiny, ale... Właśnie, było ale. A właściwie była... Niebieskooka, jasnowłosa złoźnica, która wciąż tkwiła w jego głowie. Niczym zadra, której tak naprawdę wcale nie chciał się pozbyć. Czy w tej sytuacji uda mu się zatrzymać je obie? Sądząc po pierwszym kontakcie z córką MacCalluma, miał wątpliwości. A jak zareaguje Brice, gdy pozna powód jego wizyty w Eilean Donan? Jeżeli ta piekielnica dowie się prawdy, rozjuszy się o wiele bardziej niż Vanora. W tym momencie coś do niego dotarło.

– Do czorta! – zaklął pod nosem. *Przecież ta diablica niedługo tu dotrze* – pomyślał i na samą myśl oblało go gorąco.

Musiał wysłać z samego rana posłańca do Ardvreck, aby powstrzymać Brice przed przyjazdem. Z ulgą odetchnął na myśl o tym, że na szczęście przykazał jej, aby wyruszyła dopiero za kilka dni. Pozostało sporo czasu, aby nie dopuścić do katastrofy, jaką stałaby się jej wizyta. *Będzie wściekła, ale lepiej, żeby była wściekła tam niż żeby obie były wściekle tu* – pomyślał. To oczywiście niczego nie rozwiązywało. Najgorsze dopiero przed nim i, prawdę mówiąc, nie wiedział, jak wyplątać się z opresji. Teraz miał pewność jedynie do dwóch rzeczy. Brice była jego piętą Achillesa, nie mógł już ukrywać sam przed sobą, że jej potrzebował. Uzależnił się od niej. Ten czas rozłąki uświadomił mu, że chce, aby pozostała w jego życiu i jeżeli istniał na to choćby cień szansy, zamierzał zrobić wszystko, by tak się stało. Drugie, czego był pewien, to...

– Gdzie jest to cholerne jabłko? – wyszeptał, rozglądając się po dziedzińcu.

Musiał je odnaleźć. Z jakiegoś nedorzecznego i niezrozumiałego dla niego samego powodu pragnął je po prostu mieć przy sobie, najzwyczajniej w świecie trzymać w ręku. Czuć, że jest namacalne.

Szukał do samego świtu. Bezskutecznie.

Rozdział 30 Pełnia



Brice trafiał przysłowiowy szlag. Dosłownie. Cholerny powóz był wygodny niczym taczki na budowie i włókł się w ślimaczym tempie. Sklepowy wózek w Walmarcie śmigał o wiele szybciej niż ta drewniana, skrzypiąca klatka. Co chwila wzdychała niezadowolona. Gdyby chociaż miała jakąkolwiek książkę do poczytania albo choćby durną krzyżówkę czy nawet zwyczajną gazetę. Dałaby wszystko za iPoda, nawet gdyby na playliście miały znajdować się jedynie świąteczne kolędy. Za laptopa z wgraną najnowszą wersją PhotoShopa byłaby w stanie ucałować ziemię. *Cokolwiek* – pomyślała załamana i zaczęła po raz kolejny wyłamywać palce z bezczynności.

Nie mogła nawet wyglądać przez okno, aby podziwiać te niewątpliwie imponujące, szkockie krajobrazy, gdyż to gówno było wielkości średniego rozmiaru dziupli i gdy początkowo próbowała wystawić przez nie głowę, kończyło się za każdym razem uderzeniem w twarde deski, przyciętym językiem i błotem na twarzy. Z dwojga złego wolała już siedzieć w ciemnym kącie na cholernie twardym siedzeniu i powstrzymać się przed zrobieniem komuś krzywdy. Była osobą aktywną i kilkanaście godzin jazdy w przedpotopowym powozie doprowadzało ją do szaleństwa. Autostrady, na które jeszcze nie tak dawno narzekała i wiecznie zakorkowane ulice Nowego Yorku, były w porównaniu do tych wyboistych dróg luksusem.

– Pierdolone średniowiecze – mruknęła pod nosem przy kolejnej dziurze i westchnęła zrezygnowana. *Nowożytność. To już nowożytność, idiotko!* – kontynuowała w myślach.

Dlaczego nie mogła jechać konno tak jak mężczyźni? No tak, była tylko pieprzoną kobietą. Ponownie westchnęła. Zdawała sobie sprawę, że swym zachowaniem doprowadza do nerwicy pozostałych pasażerów, ale nic nie mogła na to poradzić. Marzyła o końskim grzbiecie. Jakkolwiek by to nie zabrzmiało, po prostu pragnęła wsiąść na konia i pogalopować przed siebie, zostawiając w tyle tę koszmarną klatkę.

– Może jesteś głodna, Brice? – Usłyszała po raz niewiadome który niespokojny głos Uny i westchnęła.

– Nie – odparła, przywdziewając pogodny uśmiech. – Po prostu trochę... *Co trochę?* – pomyślała bezradnie. Bo co mogła jej powiedzieć? – Jestem zmęczona – oświadczyła zgodnie z prawdą.

Wyjechali o świcie. Teraz zaczynało się już ściemniać. Tormod zaproponował, aby zatrzymali się na noc w gospodzie, ale mimo wszystko uparła się, aby jechać dalej. Z drugiej strony nie mogła być przecież taką egoistką. Chciała jak najszybciej dotrzeć do celu, jednak nie podróżowała sama. Una miała swoje lata, na pewno była zmęczona, mężczyźni cały czas jechali konno, również powinni wypocząć. Westchnęła zrezygnowana.

– Jeżeli chcesz, możemy zatrzymać się gdzieś przy drodze, abys mogła rozprostować nogi i...

– Nie, Una. Zróbmy jak zaproponował Tormod. Zanocujemy w gospodzie. Wszystkim nam przyda się odrobina snu. – Chciała dodać, że nie miała pojęcia, jak uciążliwa jest taka podróż, a swoim chevroletem camaro dotarłaby do celu w kilka godzin, ale w porę ugryzła się w język.

– Tobie szczególnie przyda się sen. Wyglądasz na utrudzoną – wypowiedziała zatroskanym głosem Una. Tym razem Brice nie zaprzeczyła.

Owszem. Właśnie tego potrzebowała, lecz mimo wszystko miała ochotę jechać dalej. Gdyby tylko wiedziała, gdzie dokładnie podążają, prawdopodobnie wsiadłaby na konia i w pojedynkę przebyła dalszą

drogę. Eilean Donan – nic jej to nie mówiło. A przecież nie miała GPS-a, nie miała nawet zwyczajnej mapy, a o żadnych drogowskazach nie było mowy. Otaczały ją ogromne powierzchnie dziewiczego, dzikiego krajobrazu.

Z drugiej strony, jakim byłoby umęczeniem galopować w tej masie halek, które miała pod sukienką. Kobięce stroje z tej epoki wyglądały efektownie i pięknie, lecz w rzeczywistości były cholernie niewygodne i mało praktyczne. Odzież wierzchnia obrzydliwie ciężka i w większości nieprzyjemna w dotyku. Z nadmiarem drutów, sznurków i tasiemek. Samo założenie tego ustrojstwa stanowiło nie lada wyczyn. Wcale nie dziwił ją fakt, że osoby o wyższym statusie, noszące bogate stroje, potrzebowały pomocy przy ubieraniu. Na szczęście jej na co dzień taka pomoc nie była potrzebna, ponieważ ubierała się w proste, lniane sukienki. W tym momencie jej strój był tak wyszukany jedynie ze względu na daleką podróż. Co w sumie uważała za głupotę, lecz nie spierała się z Uną, która nalegała, aby nałożyła na siebie coś, w czym nie „zamarznie na śmierć”. Szczerze mówiąc, gdyby mogła wybierać, wolałaby przywdziać kilt i tartan. Niestety nie miała nic do gadania. I o ile na Ardvreck ubierała się dość swobodnie, to teraz miała na sobie tego cholerstwa zbyt wiele.

Dojechali do gospody późną nocą. Pod koniec już przysypiała i gdy powóz gwałtownie się zatrzymał, z całej siły uderzyła tyłem głowy o ścianę tej drewnianej skorupy. Zdusiła przekleństwo, widząc przejętą minę Uny i krzywo się uśmiechnęła.

– Jest okej – zaręczyła, a widząc zdezorientowanie na twarzy kobiety, dodała: – Nic mi się nie stało.

Po wyjściu z powozu miała wrażenie, że ziemia kołysze się pod nią niczym na pokładzie łodzi. Głęboko wciągnęła powietrze i przymknęła z zadowoleniem oczy.

– Brice, komnata już czeka – poinformował zmęczonym głosem Tormod. Ciężko westchnęła. Jedyne, czego teraz potrzebowała, to wyciszyć się i pooddychać świeżym powietrzem.

– Przejdę się trochę – powiedziała spokojnym głosem, chociaż czuła lekkie zniecierpliwienie.

– Ale gospodarz przygotował...

– Tormod! – przerwała mu. – Chcę się przejść. Komnata nie ucieknie. Wiem, gdzie jest wejście, a za dużo pomieszczeń ten lokal raczej nie posiada. Podaj mi po prostu numer pokoju i... – *Cholera* – zakląła w myślach. Jaki, u licha, numer pokoju? Przecież to nie hotel i nie współczesność.

Westchnęła.

– Jesteś zmęczona, a jutro...

– Tormod. Poczekaj na mnie... – Zrobiła pauzę, zdając sobie sprawę, że miała właśnie zamiar wyskoczyć z kolejnym absurdem, mówiąc mu, aby zaczekał na nią w hotelowym barze.

Czuła się coraz bardziej skołowana. Przez to wszystko nie potrafiła się skupić. Brakowało tylko tego, żeby powiedziała mu, że do niego zadzwoni.

– Chodźmy. Zjesz coś i odpoczniesz – nalegał. Westchnęła. *Cholera jasna. Nie odpiardoli się ode mnie!* – zakląła w myślach. Musiała coś zrobić. Potrzebowała choćby pół godziny dla siebie.

– Zostawiłam w powozie pled – rzuciła od niechcenia.

– Przyniosę go. Poczekaj na mnie – nakazał.

– Spoko. Poczekam – zaręczyła, a gdy tylko się oddalił, odwróciła się na pięcie i odbiegła w stronę stajni.

Biegła zdezorientowana, nie wiedząc, w którą stronę się kierować. Znajdowała się przecież w nieznanym sobie miejscu, więc nie mogła się za bardzo oddalić. Nie chciała się zgubić, a widziała w niewielkiej odległości inne budynki. Za dużo wpadek zaliczyła, aby teraz ryzykować kolejną. Stwierdziła, że po prostu schowa się pod najbliższym zadaszeniem. Na swe nieszczęście drogę przeciął jej jakiś mężczyzna, na którego widok poczuła jeszcze większą złość. Nieznajomy wyraźnie kierował się w stronę nawołującego ją Tormoda. *Widział mnie?* – zastanawiała się w myślach. Przecież gdyby ją ujrzał, bez wątpienia wskazałby Tormodowi gdzie, a skoro już zaryzykowała ucieczkę to nie po to, żeby od razu ją odnaleziono.

Nie wiedząc, co robić, zbliżyła się do nieznanego i bezceremonialnie odciągnęła na bok. W ciemnościach niewiele widziała, a przecież mógł to być ktokolwiek. Nawet jakiś groźny zboczeniec, który zaraz... *Odbija mi do reszty!* – pomyślała i pchnęła mężczyznę pod ścianę.

Gdy przyciągała go do siebie, odwrócił się gwałtownie i miała wrażenie, że chce ją uderzyć, co było w sumie normalną reakcją. Na szczęście niemal od razu zorientował się, że ma do czynienia z kobietą. Kiedy tylko przywarła do niego, zamarł. Sapnęła poirytowana. A co miał, u licha, zrobić? Jej zachowanie w dużym

stopniu odbiegało od postępowania kobiet z tej epoki. Wiedziała, że powinna wyjaśnić sytuację, lecz nawołujący Tormod stanowił dobry powód do milczenia. Niestety nieznajomy również zabrał głos. I o ile sytuacja już na początku była dość niezręczna, to w tym momencie wszystko skomplikowało się jeszcze bardziej. Co powiedziałby Tormod, widząc ją przyciskającą do ściany obcego faceta? Zrobiło jej się gorąco i położyła dłoń na ustach nieznajomego. Były miękkie i przyjemne w dotyku. *Kim jest?* – pomyślała zaintrygowana. – *Może tu pracuje albo jest gościem zajazdu?*

– Brice, gdzie jesteś? – wykrzykiwał Tormod, a ona miała ochotę kazać mu spierdalać. Dosłownie.

Przysunęła się jeszcze bardziej do tajemniczego mężczyzny. Był szczupły i o wiele wyższy. Miał na sobie jedynie koszulę, dzięki czemu doskonale wyczuwała dłońmi twarde mięśnie ramion. Przesunęła rękę na klatkę piersiową i zganiła się w myślach. *Co, u licha, robię?* – pomyślała zdezorientowana. Poczuła, jak nieznajomy nieznacznie zanurza twarz w jej włosach i zadrżała. Powiedział coś, ale zagłuszył go krzyk Tormoda i nie zrozumiała co dokładnie. Miała jedynie wrażenie, że usłyszała jakiś dziwny akcent, ale przecież mogła się mylić.

Czuła, że facet nie odpuści, a była już naprawdę zdesperowana i zrobiła coś, co zaskoczyło ją samą. Pocałowała go. Na początku po prostu przytknęła usta do jego ust i chyba myślała, że to wystarczy. Podziałało, facet zamilkł. Jednak już po chwili zapamiętał ją całował. Próbowwała go powstrzymać. Przecież nie miała nawet pojęcia, kto to jest. Może jakiś zboczeniec, który włóczy się nocami w poszukiwaniu ofiar? A jeżeli to morderca? W głowie kłębiły jej się tysiące myśli. Morderca? Zboczeniec? Jeżeli nawet to całował obłędnie i w pewnej chwili się temu poddała. Tak po prostu.

W którymś momencie się opamiętała. Odepchnęła go i z rozpędu wymierzyła siarczysty policzek. Ciężko oddychała ogarniana coraz większą złością. Sama już nie wiedziała, czy bardziej do siebie, czy do nieznajomego. Nagle wszystko zaczęło się mieszać, czuła się przedziwnie skołowana. Facet coś mówił, ale nawet go nie słuchała. Wiedziała, że powinna wrócić do choleralnej gospody. Tormoda nie było już słyhać. *Idę!* – pomyślała i przysunęła się do nieznajomego, ponownie go całując. *To się nie dzieje* – błąkało się w jej myślach. Całowała go gwałtownie. A on... On był taki delikatny, taki łagodny, a zarazem stanowczy. Westchnęła, czując niezrozumiałe przyciąganie. *Co się ze mną dzieje?* – pomyślała i wtedy zaczęło do niej docierać, że to, co robi, śmiało można nazwać zdradą. Zdradzała Blane'a. Podczas gdy on pojechał w uciążliwą podróż spełniać obowiązki i prawdopodobnie teraz na nią czekał, ona rzuca się na nieznajomego mężczyznę i całuje bez opamiętania.

Odepchnęła go i odbiegła, pełna wyrzutów sumienia. Stała pod ścianą gospody i dotknęła dłońmi nabrzmiąłych ust. Uspokajała oddech, starając się zebrać myśli. Czuła się podle z tym, co zrobiła. Jak długo tu stała? Nie miała pojęcia, ale musiało minąć trochę czasu. Zrobiło jej się zimno, a nie miała peleryny. Gdyby nie fakt, że obawiała się natknąć na tego człowieka, już dawno wróciłaby do gospody. *Przecież mnie nie widział* – pomyślała z ulgą. Chociaż to jedno ją pocieszało. Wolnym krokiem ruszyła w stronę słabo oświetlonego wejścia do budynku. Rozglądała się z lękiem i obawą. Mimo wszystko mógł gdzieś tu być i... *Cholera!* – pomyślała i przyspieszyła. Gdy już wchodziła, ktoś złapał ją za rękę, a ona podskoczyła złękioną.

– Natychmiast mnie zostaw, zboczeńcu! – wykrzyknęła gwałtownie, stwierdziwszy, że najlepiej przejść od razu do konkretów i postawić sprawę jasno. Niech wie, że z jej strony to jedynie nic nieznaczący incydent.

– Wszystko w porządku? – wydusił przejętym głosem Tormod. Odetchnęła z ulgą.

– Gdzie się włóczyłeś? – zapytała. – Miałeś przynieść mi pled – dodała z pretensją, w myślach ubliżając sobie od najgorszych.

Zachowywała się jak wredna krowa, ale teraz sama już nie wiedziała, co ma mówić i o ile jeszcze niedawno chciała się przejść, aby się uspokoić, to teraz miała ochotę jak najszybciej znaleźć się w pokoju i ochłonać.

– Szukałem cię. Gdzie byłeś? – dociekał zatroskanym głosem, a jej zrobiło się głupio.

– Tam. – Skinęła głową w stronę ciemności.

– Nawoływałem cię, Brice. Dobrze, że nic ci się nie stało. Tu jest niebezpiecznie – oświadczył, a ona spontanicznie go przytuliła. W pierwszej chwili zamarł, ale już za moment otoczył ją ramieniem. Mimo że miał jedynie szesnaście lat, był od niej sporo wyższy. – Bardzo się wystraszyłaś?

– Tylko trochę – odparła.

Nie chciała go informować, co było powodem emocji, które odebrał jako strach. W sumie miał rację, znajdowała się w nieznanym miejscu i naraziła się na niebezpieczeństwo. Szczęście w nieszczęściu, że mężczyzna, na którego się natknęła, nie zrobił jej krzywdy. Zadrżała na samą myśl.

– Wejdźmy do środka, jesteś zmęczona. Gospodarz przygotował posiłek. Zjesz i położysz się spać – zaproponował, a ona posłusznie ruszyła za nim.

W pomieszczeniu było dość jasno i ciepło. Bez rozglądania się wbiegła po schodach. Chciała teraz po prostu się przespać. Marzyła jedynie o odpoczynku, wiedząc, że jutro czeka ją kilkanaście godzin podróży w drewnianej, cuchnącej sęchliwą klatce.

– Szukał cię jakiś mężczyzna – poinformował nieoczekiwanie Tormod.

W jednej chwili oblało ją gorąco.

Wydalo się!

– Jaki mężczyzna? – zapytała pospiesznie. Może nawet zbyt pospiesznie.

Chłopak zerknął na nią z uwagą.

– Nie przejmuj się, nie będzie cię niepokoił – oświadczył, a ona poczuła irytację i miała ochotę wrzasnąć, żeby powiedział, co dokładnie ma na myśli.

– Powiedział ci, że mnie niepokoił? – zapytała głupio.

– Nie. Szukał cię. – Jęknęła w duchu. Jak wiele mógł powiedzieć Tormodowi?

– W jakim celu mnie szukał? – rzuciła od niechcienia.

– Martwił się. Usłyszał głosy i pomyślał, że masz jakiś problem. Chciał ci pomóc – odpowiedział, ziewając. – Pewnie wtedy mnie wołałaś – uzupełnił. Zmarszczyła czoło.

– Co robiłam? – Była zdezorientowana.

– Wołałaś, gdy mnie szukałaś. Musiał cię wtedy usłyszeć. Później o ciebie zapytał i...

Cholera!

– Co mu powiedziałaś?

– Że nic ci przy mnie nie grozi – oświadczył z dumą, a ona się roześmiała. Był takim pocziwym dzieciakiem.

– No, a później co? – dopytywała. Widząc niepewną minę chłopaka, dodała: – Co ten mężczyzna zrobił później? Mówił ci coś? Oprócz tego, że chciał pomóc.

– Nie rozmawialiśmy długo. Upewnił się tylko, że nic ci nie jest i poszedł do swej komnaty. – Zamarła. Wyglądało na to, że niezajomy jest gdzieś blisko. *Zbyt blisko* – pomyślała.

– Czyli niczego ci nie powiedział? – drążyła.

– A co miał powiedzieć? – Tormod spoglądał na nią ze zdziwieniem.

– No wiesz, gdzie jedzie albo taka tam podróżnicza wymiana zdań. Rozumiesz, tak? – Popatrzyła na rozdziawione usta chłopaka i westchnęła. – Nieważne. Dobrze, że mnie znalazłeś. Przyznam szczerze, że zaczynałam się już trochę bać i było mi zimno – oświadczyła z ulgą. – A wiesz, jak ten facet się nazywa? – zapytała bezwiednie i głośno sapnęła. *Po cholerę mnie to interesuje?* – pomyślała.

– Nie, ale zapytam o to, gdy spotkamy się jutro i powiem, że wszystko z tobą w porządku. – Wstrzymała oddech. Jeszcze tego brakowało. – Martwił się – dodał Tormod, a jej zrobiło się głupio.

Może i faktycznie się martwił? Przecież uciekła jak wariatka. Miała szczęście, że nie chciał osobiście sprawdzić, czy faktycznie nic jej nie jest. Nie zamierzała ryzykować ponownego spotkania. Mogła oczywiście ściemniać, że nie była dziewczyną, którą całował, lecz przeczuwała, że miałyby z tym problem.

– Jutro skoro świt ruszamy, Tormodzie – zdecydowała, starając się ukryć nutkę żalu. Ten człowiek nie mógł jej nigdy zobaczyć. I chociaż coś w niej słabo protestowała, nie chciała jeszcze bardziej komplikować sytuacji.

W danej chwili miała ogromne wyrzuty sumienia. Czowała się strasznie głupio. Cały dzień uprzykrzała podróż Unie, Tormodowi i podróżującym z nimi mężczyznom. Była upierdliwa i nieuprzejma, a później tak po prostu rzuciła się na nieznanego i zaczęła go całować.

– Blane – wyszeptwała, gdy została sama. Podeszła do okna i otworzyła je na oścież. Łapczywie wciągnęła chłodne powietrze, a następnie spojrzała w niebo. Księżyc, idealnie okrągły, wyglądał pięknie. – To pewnie przez pełnię – wymamrotała.

Wyruszyli z samego rana. Całą drogę milczała. Z jej ust nie padło ani słowo skargi. Chciała znaleźć się jak najszybciej obok Zwierza. Tęskniła za nim jeszcze bardziej. Gdyby nie on, jej istnienie w tym świecie

byłoby niemożliwe. Zrozumiała, że cały ten bunt, ta wściekłość, narzekania i agresja, jaka towarzyszyła jej podczas podróży, a nawet impulsywne emocje, które pchnęły ją w ramiona nieznajomego, to wszystko było spowodowane brakiem mężczyzny, który nadawał sens jej istnieniu. W tym świecie Blane był jedyną drogą, którą mogła podążać. Bez niego była niczym ślepiec.

Rozdział 31 Bydlak



Blane dotarł do komnaty, gdy zaczynało świtać. Nie chciał myśleć o tym, że jak skończony idiota szukał głupiego jabłka, a jeszcze bardziej, że go nie znalazł. Teraz liczyły się tylko dwie sprawy.

Musiał wysłać człowieka, aby powstrzymać Brice przed przyjazdem i jak najszybciej porozmawiać z ojcem Vanory. Pierwszą sprawę załatwił błyskawicznie.

Z drugą wynikły problemy, gdyż okazało się, że stary MacCallum zaniemógł poprzedniego wieczora i teraz był u niego medyk.

Blane postanowił poczekać z rozmową do wieczora. Korzystając z okazji, udał się do izby czeladnej.

– Witaj, Blane. – Już po przekroczeniu progu przywitał go przyjazny głos Angusa. Mężczyzna poklepał go po ramieniu.

– Dobrze cię widzieć, druho – odparł krótko.

– Spocznij, proszę – zaproponował stojący obok Ivar.

– Pragnę podziękować wam za przybycie z pomocą – zaczął. – Gdyby nie wasze wsparcie...

– Zrobiłbyś to samo dla nas – przerwał mu Angus.

– Masz rację. Jednak chcę, abyście wiedzieli, że mam wam wdzięczny – podkreślił. – Z waszym naczelnikiem również się rozmówię, azali do was kieruję się wpierw, bo to wy byliście na placu boju i wy narażaliście życie.

– Vanora też tam była. – Dotarł do niego mrukliwy głos i przeniósłszy w tamtą stronę wzrok, ujrzał posępne spojrzenie młodego chłopaka.

– Milcz, Govan! – krzyknął Ivar i strzelił młokosa w tył głowy, na co ten spojrział na niego z pretensją.

– Co tam robiła? – zapytał odruchowo Blane i od razu tego pożałował.

– To, co ty – stwierdził Luthias, uśmiechając się przekornie. – Walczyła ze wspólnym wrogiem – uzupełnił.

Blane nie zdążył tego skomentować, ponieważ z wąskiego przejścia dotarł do nich głośny rumor okraszony mrukliwymi przekleństwami. Z chwili na chwilę głos stawał się coraz wyraźniejszy.

– Jeżeli to bydle tu przyjdzie, macie go natychmiast wyrzucić! Jeżeli spróbujecie go wpuścić, każę was wykastrować rzeźnikowi albo zrobię to osobiście! – Gdy do izby wparowała rozeźlona Vanora, rzucając epitetami, zastała ją milczenie. – Zrozumieliście?! – Stała tak niefortunnie, że nie widziała siedzącego za nią Blane'a.

– Mówiąc bydle, masz na myśli...? – Luthias z przekorą nie uświadamiał jej o bliskiej odległości rzeźzonego bydlaka, który miał teraz chęć mordowania wymalowaną na twarzy, co nie rokowało najlepiej.

– Oczywiście o tego kudłatego Zwierza, idioto! – wrzasnęła. W tym momencie do pomieszczenia wszedł Bothan. Niemal od razu zorientował się w sytuacji. Spróbował coś powiedzieć, lecz Vanora powstrzymała go ruchem ręki. – Milcz, jeżeli chcesz tu pozostać – warknęła.

– Nie wypowiem ani słowa, nadobna niewiasto – oznajmił, kiepsko ukrywając uśmiech, na co gniewnie sapnęła.

Nie chciała, aby ktokolwiek dowiedział się, że wczorajszego wieczora zachowała się niczym głupia gąska, która przejmuje się typowymi dla niewiast błahostkami. Zamierzała z nim porozmawiać, ale teraz

miała ważniejsze sprawy na głowie.

– Na litość boską, Vanoro! Nasz gość jest... – Angus próbował ratować sytuację, widząc, co się święci, ale nie dała mu dokończyć.

– Ta kupa mięsa nie jest moim gościem! – przerwała mu gwałtownie. – I jeżeli spróbuje przekroczyć te progi, to...

– To co?! – zagrział rozjuszony głos tuż za nią, sprawiając, że podskoczyła złęknioma, a następnie gwałtownie się odwróciła. Blane, który teraz powstał, mierzył ją gniewnym spojrzeniem.

Na szczęście dzielił ich stół. W innym przypadku istniała szansa, że przejdą do rękoczynów. Było to dość zaskakujące dla zebranych. Znali Vanorę i zdawali sobie sprawę, jakim temperamentem się cechuje. Jednak w ostatnim czasie wydawała się przyjaźnie nastawiona do MacLeoda, szczególnie po wspólnie stoczonej bitwie. Co mogło się teraz stać? Wszak dopiero dotarł. Czyżby już zdążyli nadepnąć sobie na odcisk? Oboje wydawali się nawzajem zabijać wzrokiem.

– Ty bezczelny...

– Skończyły ci się strzały? – Prowokował ją.

– A tobie jabłka? – Nie pozostawała mu dłużna.

Na te słowa aż się zagotował. Vanora nie miała pojęcia, co oznaczał dla niego ten owoc, natomiast Bothan zdawał sobie z tego doskonale sprawę i stwierdził, że dalsza wymiana zdań mogłaby być brzemienna w skutkach. Szczególnie że Blane najwyraźniej przemyślał okoliczności i jego myśli wróciły na wcześniej obrany tor.

– Zawsze tak przyjmuje gości? – zapytał dość głośno, kierując pytanie do siedzącego obok Luthiasa, sprawiając, że Vanora przeniosła na niego wzrok. Ujrawszy rzucające gromy oczy dziewczyny, przełknął głośno ślinę. Był nieco zaniepokojony, ale jednocześnie oczarowany pasją, która przepełniała brunetkę. *Zginać z jej rąk byłoby prawdziwą rozkoszą* – pomyślał.

– Tylko tych wyjątkowych – poinformował wesoło Luthias, na co kilku mężczyzn parsknęło głośnym śmiechem. Vanora obrzuciła ich wściekłym spojrzeniem. Od razu spoważnieli.

– Zapłacisz mi za to, zdrajco – wypowiedziała ze złością, wskazując oskarżycielsko palcem w stronę Luthiasa.

– Wiem – stwierdził, ciężko wzdychając. – I jestem gotowy nawet umrzeć, ale nie kastruj. Wiele kobiet będzie ci za to wdzięcznych – dodał z rozbrajającym uśmiechem, a ona sapnęła ze złością.

– Pokaż jedną, której ulżyłeś, a zachowasz i jaja, i głowę – mruknęła pod nosem. Sytuacja wydawała się opanowana. Do czasu. – Ale lepsze to niż gdybyś pchał swój klejnot w każdą napotkaną dziurę! – warknęła prowokacyjnie, spoglądając ze złością na Blane'a.

– Na miłość boską, dziewczyno! Opanuj się! – wrzasnął Angus, widząc, jak na twarzy Zwierza pojawia się jeszcze większy gniew.

Trudno powiedzieć czy uraziła MacLeoda celowo, czy udało jej się to przypadkiem. Ciężko w ogóle stwierdzić czy odnalazł w jej słowach jakiś podtekst. W sumie nie można nawet jednoznacznie uznać czy był tam jakikolwiek podtekst. Ta dziewczyna nigdy nie umiała powściągnąć języka.

– Jeżeli nasz gość już tu jest, to może... – zaczął ostrożnie Ivar, ale dziewczyna nie pozwoliła mu dokończyć.

– Ty! – Kiwnęła znacząco na Bothana. – Idziesz ze mną. Natychmiast! – nakazała zdecydowanym głosem i wyszła, a tuż za nią posłusznie oddalił się Bothan, pozostawiając w zdumieniu Blane'a, który ze wszystkich sił starał się teraz nie zdradzić, jaką wściekłością pała do tej wiedźmy.

– Wybacz, przyjacielu, nasza Vanora bywa... dość impulsywna, ale to w istocie bardzo miła dziewczyna – powiedział niepewnie Angus, na co Luthias spuścił głowę, chcąc ukryć przekorny uśmiech.

– Ona tak zawsze – dorzucił Ivar.

– Jest nieśmiała w stosunku do nieznanomych – wybełkotał Gillis, ale zdezorientowane spojrzenia mężczyzn sprawiły, że przezornie zamilkł.

– Gastona też powitała w ten sposób, to u niej normalne – poinformował przekornie Luthias. – Nie przejmuj się, to tylko młoda dziewczyna z dużym temperamentem. Jestem pewien, że nie chciała cię urazić. Wiesz, jakie są młódki. W głowie im się czasem przewraca – skwitował.

– Ktoś powinien pokazać jej, jak powinna zachowywać się kobieta – mruknął ponuro Blane.

Starał się pohamować gniew.

Sytuacja była o tyle niefortunna, że teoretycznie przyjechał tu jedynie po to, aby tę głupią dziewczkę wziąć za żonę. A ona okazała mu brak szacunku, wrzeszcząc na niego przy ludziach z klanu. Przecież nie mógł jej zabić, nie było stosownym nawet ją uderzyć.

Chociaż w tym momencie miał ochotę wywlec gówniarę za włosy i oklepać porządnie kijem.

– Słyszałem, że w twoim zamku mieszka jakaś cudzoziemka. – Usłyszał głos Govana i wbił w niego wściekłe spojrzenie.

Jeżeli do tej pory czuł umiarkowany gniew, to teraz wręcz nim kipiał. Zdążył już zauważyć, że Govan czuje coś do Vanory i stąd jego wrogie nastawienie. Jednak młokos zachował się bezczelnie, a tego nie mógł tolerować.

– Dobrze słyszałeś – stwierdził lodowatym tonem. Kątem oka ujrzał, jak Angus otwiera usta, lecz powstrzymał go gestem dłoni.

Jedyne, czego teraz chciał, to odejść, zanim zrobi komuś krzywdę, a w tym momencie ledwie się przed tym powstrzymywał. Brice! Tego tematu nie powinni poruszać. Należała tylko do niego, nikt inny nie miał prawa nawet o niej pomyśleć. I jeżeli jeszcze tego nie wiedzieli, to zamierzał ich teraz uświadomić.

– Przybyła z tobą czy wróciła już do ojczyzny? – kontynuował beztrząsco chłopak, nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa.

– Dlaczego o to pytasz? – mruknął w miarę spokojnie Blane i powstał z ławy, nie odrywając od chłopaka wściekłego spojrzenia. – Jaki masz w tym interes?! – wrzasnął, po czym z całej siły uderzył pięściami w stół. Stożące na nim kielichy z winem przewróciły się.

Zapanowała głucha cisza, którą przerywał jedynie dźwięk spływającej na podłogę ciemnoczerwonej cieczy. Zgromadzeni mężczyźni zorientowali się, że sprawa posunęła się za daleko. Rozwścieczona mina Blane'a wyraźnie dawała do zrozumienia, że jeszcze jedno słowo, a wywiąże się walka i poleje krew.

– Ponoć to Francuzka – rzekł pojednawczo Angus, gromiąc młodego natręta spojrzeniem. – Mamy gości z Francji i dziewczyna mogłaby dotrzymać im towarzystwa. Wieści nas doszły, żeś życie uratował niewieście z tego kraju. Dlatego Govan zapytał czy przybyła wraz z tobą – zapewnił. – Młody jest, narwany, nie chciał źle. Nie miej mu tego za złe – poprosił.

Blane wiedział, że to bzdury i zdawał sobie sprawę, że prawdopodobnie doskonale wiedzieli o jego zażyłości z Brice. Nie miał jednak zamiaru o tym dyskutować ani z niczego się spowiadać. Nie zamierzał się nikomu tłumaczyć. Był naczelnikiem klanu i brał każdą dziewczkę, której zapragnął. Potwarzą było zadawanie takich pytań i gdyby nie Angus, niechybnie ktoś straciłby życie.

– A i owszem, uratowałem dziewczynę z niewoli. – Wolał nie wdrażać się w temat dokładniej, bo przecież ten ratunek to kwestia dyskusyjna. Walczyć głupia chciała, a mimo że mieczem nie włada, to inne walory posiada i nie zaskoczyłoby go wcale, gdyby sobie poradziła. Nie zawahała się też na jego policzku śladu po sobie pozostawić. Prędzej sam by sobie gardło poderżnął niż przyznał, że gwałtem ją chciał wziąć i mu się to nie udało, a Brice po takiej zniewadze życie zachowała. Bo przecież powinien zabić ją na miejscu. Dziewka żyła, on ją łaskawie oswobodził. Więcej nie musieli wiedzieć. – Moja jest i nic wam do tego! – zagrzmiał. – I zostanie ze mną dotąd, dopóki będę chciał! Niezależnie od tego czy wezmę za żonę córkę waszego naczelnika. Wstrzymajcie zatem wszelakie słowa, które mogą zbyt wiele szkody wyrządzić obu klanom – oświadczył stanowczym, nieznoszącym sprzeciwu głosem. – I nie ma potrzeby łąać o gościach z Francji – dodał już spokojniej.

– To nie kłamstwa, na zamku zaiste gości francuski ambasador wraz z markizem – poinformował Ivar. Blane po chwili milczenia wybuchnął gromkim śmiechem, wprowadzając zebranych w zaskoczenie drastyczną zmianą nastroju.

Choć w pierwszej chwili próbował, naprawdę próbował, jednak nie potrafił się powstrzymać. Ta złoźnica dotrzymująca towarzystwa francuskiemu markizowi? To mogłoby zabić wyperfumowanego fircyka. Wspomniał Brice rozbijającą dzban z winem na głowie pijanego Morvena oraz taplającą się w błocie z Clachem i stwierdził, że dobre maniery tej dziewczyny zdecydowanie nie pasowały do dworskiego obejścia francuskich gości. Kimkolwiek byli. A szlachta kojarzyła mu się niezmiennie z opływającymi w zbytki wyperfumowanymi lalusiami grzejącymi tłuste zadki w ocieplanych pałacowych komnatach i wożącymi się w poślacanych karocach. Gardził szlachtą i nie robiło mu różnicy czy byli to Anglicy, czy Szkoci, czy Francuzi. Dla niego nie istniała między nimi żadna różnica. Nie chciał jednak wdawać się w polityczne dyskusje.

– Ambasador i Brice? Nie. Ta diablica prędzej dojdzie do porozumienia z kowalem niż z francuskim rycerzykiem – stwierdził i zobaczył na twarzach zebranych zdezorientowanie. Uznał, że musi to nieco wyjaśnić, gdyż mogli coś źle zrozumieć. – Brice to szlachcianka, owszem, ale dość... – Nie miał pojęcia jak ją określić. – Bywa czasem nieokrzesana – rzekł ogólnikowo.

– Nieokrzesana?

Co miał powiedzieć? Przecież nie wyzna, że ośmieliła się uderzyć go w twarz. Prędzej dałby się pokroić na kawałki niż przyznał, że podniosła na niego rękę.

– Nie obawiajcie się, nie przybyła ze mną, więc krzywdy nikomu nie uczyni. Miała dojechać tu za kilka dni, lecz po krótkiej wymianie zdań z waszą uroczą Vanorą uznałem, że mogłyby się pozabijać. Lepiej zatem... – Przerwał mu głośny śmiech. Zmrużył groźnie oczy, sprawiając, że od razu zamilkli. Jego wahania nastroju były zbyt niepokojące.

– Poznałeś już trochę naszą Vanorę, Blane – odezwał się Gillis. – Z pewnością twoja Francuzka miałaby większy problem – dodał odważnie, biorąc w obronę przyjaciółkę.

Blane spojrział na niego pobłażliwie i ciężko westchnął. *Tak właśnie brzmi nieświadomy mężczyzna* – pomyślał. Nie chciał dłużej z nimi dyskutować. Na dziś miał już dość emocji. Teraz potrzebował pomyśleć w ciszy. Ale pozostawić ich nieświadomych? Nie!

– Wasza Vanora strzeliła do mnie, chybiając, a nawet gdyby trafiła... zabiłaby ze złości jednego człowieka, który nieświadomy jej obecności nazwał ją paskudą, co wielce szanowną panią uraziło. Brice wysadziła w powietrze spichlerz i zrobiła to niechcący, jedynie cudem nikt życia nie postradał. Obawiam się, że gdyby chciała zrobić coś celowo, to z Eilean Donan nie ostałby się kamień na kamieniu i nie skończyłoby się na jednym nieboszczyku. Mieczem nie włada ani z łuku nie strzela, ale i bez tego niejednego już skrzywdziła – zaręczył. – Moja Brice jest kobietą, podczas gdy wy dziewczę jeszcze nieopierzone tu macie – podsumował i ujrzał, że Govan próbuje coś powiedzieć, lecz nie dopuścił go do słowa: – A ty – skinął w jego stronę – jeżeli jeszcze raz wspomnisz o niej choćby słowo, to spotkamy się na placu treningowym. Jestem u was w gościnie i nie będę brudzić izby twoją krwią, kmiotku. Inaczej rozgniótłbym cię tu jak robaka. Radzę ci po dobroci i zapamiętaj to sobie dobrze, bo drugi raz nie będzie między nami dyskusji! – Omiótł groźnym wzrokiem zebranych w pomieszczeniu mężczyzn i kontynuował: – Urwę film każdemu, kto choćby złe słowo o niej powie i nie jeden, ale wielu lunatyków będzie! – zagrzmiał, po czym odwrócił się i wyszedł.

Przez chwilę panowała głucha cisza.

– Zgłupiał? – wydukał oniemiały Ivar, wypowiadając na głos to, co cisnęło się na usta pozostałych mężczyzn.

– Co urwie? – wymamrotał Gillis.

– Po francusku pewnie prawi – rzucił niemrawo Luthias.

– Może i po francusku, ale lepiej nie ryzykować – stwierdził Ivar.

– Jaka szkoda, że ta dziewczka nie przybędzie – mruknął z nienawiścią Govan. – Udusiłbym wywłokę gołymi rękoma, a później rzucił jej ściervo na pożarcie świniom.

– Milcz, chłopcze! Zbyt wiele złego już zrobiłeś – zganił go Angus, zmartwiony takim przebiegiem sytuacji. Wszystko poszło nie tak, jak powinno.

– Ma rację – stwierdził Gillis. – Jeżeli Blane pojmie Vanorę za żonę, to te francuskie babsko będzie nią pomiatało.

– Vanora nie jest głupiutką młódką, a i on bajki prawi. Żadna dziewczka nie poradziłaby sobie z naszą siostrą. Pomiatać Vanorą? Zmysły chyba postradałeś! – rzucił stanowczo Luthias. – MacLeod nieświadomy jest z kim ma do czynienia i tyle.

– Słyszałeś, jak o tej cudzoziemce prawił. Jeśli będzie się upierał, to zostawi francuskiego babsztyla w łóżu, a Vanora...

– Vanora sama zdecyduje, czego chce, dzieckiem nie jest! Nie tylko on o jej rękę starał się będzie. O przyszłość klanu chodzi i jest to sprawa ważniejsza niż miłostki młodzietkiej dziewczyny. Ona dokładnie to wie i robi, co będzie trzeba – kontynuował Luthias. – Francuska dziewczka nogi przed Blane'm rozłożyła, dobrze mu było, ale znudzi mu się kiedyś. Ważniejsze są rzeczy niż zwykła pannica z zagranicy. A MacLeod to dobry naczelnik.

– Jak ta mu się znudzi to innej dziewczki poszuka – zaprotestował Govan.

– Nie twoja rzecz, chłopcze! Blane ma rację. Potwarzy się dopuściłeś. To naczelnik! Osobiście

przyszedł podziękować za pomoc i co otrzymał? Vanora obelgami go obrzuciła, bo komplementu jej nie powiedział, tylko brzydką nazwał. O taką głupotę poszło, a ona strzeliła do niego. Zachowała się nieodpowiedzialnie i naganę powinna za to dostać. Jeżeli Ronan się o tym dowie, to rozsierdzi się na nią i będzie miał rację. Prosić powinna, aby Blane nic jej ojcu nie powiedział, a ona dalej go dziś obrażała. – Angus kontynuował, patrząc na każdego z mężczyzn po kolei. Widział na ich twarzach aprobatę. – A później zwykły młodzik – skinął na Govana – jak równy z równym do niego przemawiał! Macie szczęście, że żadnego filmu tu nie urwał, cokolwiek to jest, i nikt życia przez to nie postradał.

– Ale on rozprawiał o tej francuskiej...

– Nie rozprawiał, ino odparł sprowokowany! I wyraźnie oznajmił, że nie nasza to rzecz! – krzyknął Angus, gromiąc spojrzeniem Govana. – Ilu z was ma żony? – kontynuował. Nikt mu nie odpowiedział. – A ilu z was bierze sobie jeszcze kochanki? Connell, z iloma kobietami spałeś w tym tygodniu? – Zapytany mężczyzna wzruszył ramionami. – Nie ukrywasz tego przed żoną. Wie o innych kobietach. A teraz śmiesz zabierać głos?

– Ale przecież chodzi o Vanorę – rzucił niepewnie Govan.

– To już sprawa Vanory i jej ojca. Tobie nic do tego. Ciesz się, żeś życie zachował i nie waż się ponownie podnosić głosu na MacLeoda. Chcesz, aby dowiedział się o tym Ronan? – Chłopak głośno przełknął ślinę. Zdawał sobie sprawę, że za swój postępek poniósłby surową karę. Może nawet wychłostano by go publicznie. – Teraz najlepiej schodź mu z drogi. I módl się, aby nie rozprawiał o tym z naczelnikiem. Ma prawo brać do łóżka każdą, nawet gdy mężem Vanory zostanie.

– Angusie, ale...

– Przestańcie! – krzyknął Luthias. – Wystarczy! Vanora nie da sobie zrobić krzywdy. A jeżeli MacLeod pozna ją lepiej, to może się okazać, że sam tę francuską dziewczkę z łoża wyrzuci i do ojczyzny odeśle. Konflikty nam niepotrzebne! Angus ma rację! Nie można dopuścić, by Blane komukolwiek film urwał!

– Gdybym mógł, zabiłbym tę wywłokę – wyszeptał Govan, zaciskając dłonie w pięści. Nikt nie zauważył ogromu nienawiści w jego wzroku. Nikt nie zwrócił nawet uwagi na jego groźbę.

– Jeżeli dalej tak pójdzie, to zanim pozna ją bliżej, oboje sobie filmy pourywają – stwierdził z przekąsem Ivar na wspomnienie spotkania Zwierza z Vanorą.

– Zatem to rozwiąże nasz problem – stwierdził dyplomatycznie Angus i pospiesznie wyszedł z izby.

Chciał odszukać Blane'a i porozmawiać na spokojnie o Vanorze i jej stosunku do klanu, a może nawet dowiedzieć się czegoś o Francuzce. Sam miał ochotę ukręcić tej kobiecie głowę, ale wiedział, że nie przyniosłoby to niczego dobrego. Pomimo iż mężczyźni przyznali mu rację, to każdy z nich pałał do tej dziewczki niechęcią. Angus zdał sobie właśnie sprawę, że Blane podjął właściwą decyzję, nie zabierając ze sobą kochanki. Nie byłyby tu ciepło przyjęta i mogły wyjść z tego niepotrzebne incydenty.

W tej chwili zdawał sobie sprawę z jednego – cudzoziemka sprowadzi jedynie kłopoty. Nie pomylił się. Nie miał tylko pojęcia o tym, że te kłopoty są z każdym kilometrem coraz bliżej.

Rozdział 32 Pytania i odpowiedzi



Gdy Vanora wyszła na dziedziniec, od razu skierowała się w stronę stajni. Zażądała od mężczyzny, który przybył z Blane'm, aby za nią poszedł, ale nie sądziła, że to zrobi. Myślała, że ją zignoruje, przecież jakby nie było, obraziła jego naczelnika. Szczerze się zdziwiła, gdy odkryła, że podążył za nią.

– Co tu robisz? – zapytała głupio.

– Kazałaś mi iść za sobą, pani – odparł, a ona westchnęła.

W pewnym stopniu poczuła ulgę. Mimo wszystko liczyła na rozmowę z nim, gdyż chciała przedyskutować ich niefortunne nocne spotkanie. Wolałaby, aby nie dowiedział się o nim Blane. Nie chciała, aby wyszło na jaw, że uraziło ją, że nazwał ją brzydką.

– Nie tytułuj mnie panią. Mów mi po imieniu – zaproponowała i podszedłszy do gniadej klaczy, przejechała dłonią po grzbiecie zwierzęcia, a następnie zaczęła ją siodłać. – Jak się zwiesz? – zapytała, zdając sobie sprawę, że nie знаła nawet jego imienia.

– Bothan – powiedział krótko, lekko się przy tym kłaniając. Uśmiechnęła się pod nosem i odwróciła głowę, chcąc ukryć, że ją rozbawił.

– Skoro już tu jesteś... – Myślała nad czymś przez chwilę. – Siodłaj konia, pojedziesz ze mną. – Zrobił, co nakazała. – Nie zapytasz dokąd? – dodała.

– Powiesz mi po drodze. – Dosiadł zwinnie rumaka, wymownie spoglądając w stronę otwartej bramy. Zmarszczyła czoło zaintrygowana, lecz nic nie powiedziała.

Po kilku minutach byli już na głównym trakcie. Rozległe równiny idealne nadawały się do takiej przejażdżki. Pogałopowała w stronę oddalonych o kilkadziesiąt metrów niewielkich wzniesień. Po drodze omijała pasące się na intensywnie zielonej trawie owce. Gdzieniedzie rosły tu niewielkie krzewy, przez które zwinnie przeskakiwała. Nie chciała forsować konia, więc zwolniła. Słyszała jadącego za nią Bothana, lecz nie odwróciła się w jego stronę. Po chwili się z nią zrównał.

– Doskonale jeździsz konno. – Uśmiechnęła się pod nosem.

– Ty też całkiem nieźle sobie radzisz – odparła odruchowo, wdychając głęboko chłodne, rześkie powietrze.

Skierowała się w stronę niezbyt wysokiego muru okalającego opuszczony, rozpadający się kamienny budynek. Bothan podążył za nią.

Gdy dojechali na miejsce, zeskoczyła z konia i puściła go samopas. Zwierzę od razu zaczęło skubać trawę. Po chwili do klaczy dołączył czarny rumak Bothana, a on sam oparł się o mur tuż obok dziewczyny. Zamyślona wpatrywała się w horyzont. Grunt był tu miękki i obficie porośnięty trawą. W oddali zieleń przeradzała się w fiolet rosnących dziko wrzosów. Przepływający między wzgórzami strumyk oddzielał pola błękitną, wąską wstęgą. Paleta barw była imponująca.

– Musimy pomówić o ostatnim wieczorze – oznajmiła w pewnym momencie, przechodząc od razu do rzeczy.

– Z nikim na ten temat nie rozmawiałem i nie mam zamiaru tego robić – poinformował, a ona sapnęła niezadowolona na myśl, że bezbłędnie ją przejrzał.

Co sobie teraz o niej myślał? Był zupełnie różny od Blane'a. Inteligentny, rozsądny i powściągliwy. Momentami przypominał Gastona, chociaż tak naprawdę jeszcze dobrze go nie znała.

– Nie chodzi o to, że aż tak bardzo mi na tym zależy – stwierdziła, przybierając obojętny ton. – Po prostu...

– Mogę cię o coś zapytać, Vanoro? – Spojrzała na niego zdeorientowana. O co mogło mu chodzić?

– Pytaj.

– Jesteś zła na Blane'a? – Jego słowa sprawiły, że aż zagotowała się ze złości.

– Ta kupa mięsa jest mi zupełnie obojętna – oświadczyła wyniośle.

– Vanoro, nie moja rzecz go usprawiedliwiać, lecz musisz wiedzieć, że nie chciał ci w niczym uchybić. Wiele nowin do nas docierało, a Blane nie jest człkiem powściągliwym i raczej dyplomacją nie grzeszy – tłumaczył. Spoglądał na Vanorę, która przyglądała mu się krótką chwilę, po czym parsknęła śmiechem.

– Dyplomata z niego jak ze stajennego proboszcz – wydusiła i położyła się na trawie. Ręce zakładając pod głowę, zapatrzyła się w błękitne, bezchmurne niebo. Poczuła, że mężczyzna kładzie się obok, ale nie spojrzała w jego stronę. – Jaki on jest? – zapytała cicho.

– Ma dobre serce, choć za wszelką cenę próbuje to ukryć. Dbą o ludzi i nade wszystko stawia dobro klanu. Jest bardziej wojownikiem niż władcą.

– Widziałam, jak walczył – szepnęła, a Bothan westchnął.

Dziewczyna była w nim zadurzona i dlatego zabolęła ją, gdy nazwał ją szpetną. Co teraz mogło się wydarzyć? Bothan zdążył się zorientować, że Blane nie zarzucił myśli o Brice. I o ile wcześniej wersja z paskudną córką naczelnika klanu MacCallum i zawarciem układu, wydawała się najkorzystniejsza, to teraz wszystko wywróciło się do góry nogami, gdyż paskudna córka Ronana okazała się śliczną, pełną pasji młodką. Blane z pewnością będzie chciał zachować kochankę, lecz Vanora nie jest dziewczyną, która na to przystanie, tym bardziej że najwyraźniej coś do niego czuła. A Brice? Jeżeli pozna prawdę, na pewno nie ugryzie się w język. Strach pomyśleć, co by się stało, gdyby Blane nie odwołał jej przyjazdu. One dwie w jednym pomieszczeniu mogłyby stanowić ogromny problem. *Jak to rozwiązać?* – pomyślał bezradnie.

– Dlaczego zwał go Zwierzem?

– Zdarza się, że nie panuje nad gniewem. Ludzie wolą schodzić mu wtedy z drogi. Z drugiej strony jest trochę jak dziecko, które chce być tak postrzegane. Zaszły w nim zmiany, gdy... – W porę ugryzł się w język, gdyż zamierzał właśnie powiedzieć, że zmieniło go pojawienie się w ich życiu Brice.

– Może chce ukryć prawdziwego siebie wewnątrz Zwierza – oznajmiła, a Bothan spojrzał na nią zaintrygowany. W tym, co mówiła, było sporo racji. Jednak czuł, że tego prawdziwego Zwierza Blane pokazywał jedynie Brice.

– Jesteś inteligentna, Vanoro – szepnął. Spojrzała w bok i ujrzała, że bacznie się jej przygląda.

Różnił się nieco od typowego Szkota. Był przystojnym, wysokim i postawnym mężczyzną. Jego dość krótkie, czarne włosy lekko się podkręcały.

Łagodne spojrzenie piwnych oczu przyjemnie komponowało się z ciemną karnacją. Ubrany był w tradycyjny kilt i tartan, jednak miecze nosił skrzyżowane na plecach, co było dość nietypowe. Z zachowania przypominał Gastona. Poważny i skupiony, nie przemawiał bezmyślnie jak większość mężczyzn z klanu. Czuła do niego zaufanie, co stanowiło dla niej rzecz niezwykłą. Szczególnie w sytuacji, gdy był bliskim przyjacielem, a może nawet rodziną Blane'a, którego szczerze nienawidziła.

– Powiedz mi coś o sobie – wyszeptwała nieoczekiwanie. Na jego twarzy pojawiło się zaskoczenie.

– O sobie? – zapytał zdeorientowany.

– Tak. O sobie, ale jeżeli chcesz, możesz mi opowiedzieć również o swoim koniu – rzuciła z lekką kpina, sprawiając, że parsknął śmiechem.

– Obawiam się, że mój koń jest bardziej interesujący ode mnie – stwierdził i spojrzał przed siebie. – Czy mogę wiedzieć, dlaczego chcesz...? – Nie miał pojęcia, jak ująć w słowa pytanie. Wybawiła go z kłopotliwej sytuacji.

– Jesteś moim gościem i człowiekiem, który budzi ciekawość. Wydajesz się pełnym przeciwieństwem Zwierza.

– Czy to źle? – dociekał.

– Wręcz przeciwnie – poinformowała. – Myślę też, że jesteś dla niego dobrym przyjacielem.

Czy był dla Blane'a dobrym przyjacielem? Starał się. Nigdy do tej pory go nie zawiódł, ale teraz, patrząc w brązowe oczy dziewczyny, miał ochotę zdeptać tę przyjaźń i lojalność, gdyż dla Vanory chciałby

być kimś więcej niż tylko kompanem. Jednak wiedział, że to nigdy się nie stanie. Dziewczyna już zawsze pozostanie jedynie pięknym marzeniem. Niczym więcej.

– Czasem trudną rzeczą jest być jego przyjacielem – powiedział smutno. Spojrzała na niego zdezorientowana. Przez chwilę obawiał się, że będzie chciała drażnić temat, ale na szczęście dała spokój.

– Jaka jest ta cudzoziemka? – zapytała, bezceremonialnie przechodząc do rzeczy.

– Pochodzi z Francji – oznajmił dyplomatycznie, a później głęboko westchnął, zdając sobie sprawę, że mówi jak idiota. Przecież dobrze wiedzieli, że Brice jest Francuzką. Nie było sensu owijać w bawełnę. – Nie będę cię oszukiwał, Vanoro. Brice jest dobrą osobą. Mądrą i przyjacielską. Zjednuje sobie ludzi, choć bywa dość... – Przez chwilę szukał odpowiedniego słowa. – Dość kłopotliwa.

– Co masz przez to na myśli? – zapytała z ciekawością, a on ciężko westchnął. Jak mógł to wyjaśnić?

– Jej usposobienie powoduje momentami niewielki zamęt – stwierdził dyplomatycznie. – Czasem opowiada przedziwne historie.

– Jakie?

– Wiesz, ona pochodzi z Francji, a tam panują obyczaje, o których my nie mamy pojęcia. Ludzie nocami oglądają porno w Internecie, choć to chyba zły nawyk, gdyż była tym zdegustowana. No i nie szanują tam zwierząt. Szczególnie koni.

– Nie rozumiem.

– Nie wiem, z jakiego powodu, ale walą konie. Może to taki francuski obrządek – wysunął przypuszczenie.

– Gaston też pochodzi w Francji, a nie mówi głupot i nocami nie ogląda porno. Swojego konia też szanuje. Nie widziałam, żeby go walił – oświadczyła Vanora, choć przecież nie miała pojęcia, co Gaston nocami ogląda w Internecie. – A co to jest porno? – dorzuciła z ciekawością.

– To chyba jakaś gra – wyjaśnił niepewnie. – Nigdy mi tego dokładnie nie objaśniła. A wieczór, gdy o tym pawiła, był dla niej dość... – Znowu nie wiedział, jak wybrnąć z sytuacji. Nie chciał mówić Vanorze, że Brice była wtedy kompletnie pijana, a jeszcze bardziej, że Blane uderzył ją w twarz. – Pochorowała się i na spoczynek udała, zanim zakończyliśmy dyskusję – oświadczył.

– A czy ona... Czy jest piękna? – wydusiła, starając się, aby głos zabrzmiał obojętnie.

– Tak – odparł, sprawiając, że poczuła ukłucie w sercu. – Ale tyś piękniejsza od niej, Vanoro. – Spojrzała na niego zdezorientowana.

– Kpisz ze mnie? – poirytowała się.

– Nie śmiałybym – zapewnił pospiesznie.

Nie wiedziała, jak się zachować. Nigdy nie uważała się za urodziwą i nigdy nie było to dla niej ważne. Liczyły się inne wartości. Wszystko przegrupowało się w ostatnich dniach, a dokładnie od momentu, gdy ujrzała tego barbarzyńcę, który uważał ją za paskudę. Zaciśnęła dłonie w pięści i podniosła się gwałtownie z ziemi, a następnie wolnym krokiem podeszła do kłaczy i zaczęła głaskać zwierzę po łbie. Usłyszała za sobą kroki i wciągnęła głęboko powietrze. Odwróciła się do Bothana i spojrzała w jego poważne, skupione na niej oczy. Przewyższał ją o głowę. Nie miał atletycznej budowy ciała typowej dla Szkotów, dlatego na pierwszy rzut oka odnosiło się wrażenie, że jest raczej średniego wzrostu. Vanora natomiast była wysoka, większość mężczyzn z klanu dorównywała jej wzrostem, byli nawet tacy, których przewyższała, jednak ze względu na jej szczupłą sylwetkę wydawali się potężniejsi od niej. Wzrost Bothana, który stanął teraz naprzeciwko niej, w pierwszej chwili ją przytłoczył.

– Wybacz mi śmiałe słowa, Vanoro. Zachowałem się niestosownie. Przepraszam – wyszeptał.

– To ja zadałam głupie pytanie. Ty tylko na nie głupio odpowiedziałeś – wydusiła, wruszając ramionami.

– Twe pytanie nie było głupie, a ja odpowiedziałem szczerze, choć ma odpowiedź była zuchwała. Oboje nas to zawstydziło, więc lepiej porozmawiajmy o dyplomacji Blane'a – stwierdził, mrużąc łagodnie oczy i uśmiechając się lekko. – Przekonasz się do niego, jeżeli lepiej go poznasz. Niczym ci nie chciał ubliżyć. Gdyby znał prawdę, to... – Zamilkł nieoczekiwanie. *Właśnie, co zrobiłby Blane, gdyby wiedział jak wygląda Vanora? Czy przyjechałby do niej?* – pomyślał.

– To? – dociekała. Przywołał się do porządku.

– Usłyszałaś od niego to samo, co ci rzekłem, lecz on nie popełniłby nietaktu – poinformował, starając się ukryć w głosie smutek. Vanora przez moment przyglądała mu się zdezorientowana.

– Dlaczego on, mówiąc to samo, nie popełniłby nietaktu? Nie rozumiem.

– Dlatego, że przybył tu pojąć cię za żonę, więc prawienie ci komplementów byłoby z jego strony wielce stosowne.

– Twój wielce stosowny Blane wydaje się raczej człowiekiem, który kobiecie komplementów nie prawi, jeno co noc inną dziewczkę sobie do łóża zabiera – mruknęła.

– Jest jedynie mężczyzną i mogę cię zapewnić, że... – Nie dała mu dokończyć, bo nie chciała usłyszeć, że w łóżu ma jedynie tę Francuzkę.

– Jestem jedynie kobietą, a parobków i chłopców stajennych nie ujeżdżam – oświadczyła dobitnie i dosiadła klaczy. – Wracamy? – zapytała i, nie czekając na odpowiedź, odjechała.

Spędzili wspólnie praktycznie cały dzień. Dużo rozmawiali, w większości o sprawach związanych z klanem. Czasem temat zbaczał na Blane'a, którego miała ochotę ugotować w ukropie, jednak już pod koniec dnia jej uczucia w stosunku do tego człowieka złagodniały. Nie mogła dłużej zachowywać się jak nieroztropna dziewczka. Była córką naczelnika, jego dziedziczką, odpowiedzialną za wielu ludzi. Musiała zrobić wszystko, co będzie najlepsze dla klanu MacCallum, nawet kosztem swego szczęścia. Ale bycie tą drugą? Świadomość, że człowiek, którego żoną miała zostać, dzieliłby łóżo z kochanką? Czy poradziłaby sobie z tym? W sumie miała jeszcze do wyboru kilku innych konkurentów, jednak zdawała sobie sprawę, że najlepszą partią będzie MacLeod. I nie było sensu się oszukiwać. Przyciągał ją jak magnes, odnajdywała w nim coś, co nie pozwalało jej tak po prostu przestać o nim myśleć.

Podczas dnia często się zastanawiała, gdzie teraz jest i co robi. Czy był na placu treningowym? A może rozmawiał już z ojcem i zawarł układ? Starła się o tym nie myśleć, lecz cóż, zbyt słabo się starała.

Gdy zapadły ciemności, pożegnała się z Bothanem i udała w stronę stajni. Zabrała łuk i strzały. Chciała się odprężyć i przestać zadrećzać.

Rozdział 33 Aprobata



Blane chciał ochłonać, jedynie tego teraz potrzebował. Ujrzawszy Angusa, miał ochotę posłać go do diabła, ale szybko się zorientował, że natręt nie da mu spokoju. Przystanął i poczekał na spieszącego w jego stronę Szkota. Zdobył się nawet na krzywy uśmiech.

– Chciałbym porozmawiać z tobą o Vanorze. – Mężczyzna bez pardonowo przeszedł do konkretów. Blane stwierdził, że mimo wszystko jest to dobry pomysł.

– Jeżeli pojme ją za żonę, nauczę dziewczkę, gdzie jej miejsce – mruknął bezwiednie i usłyszał, jak Angus wzdycha zrezygnowany. – Nie przejmuj się. Nie będę jej bił – zaręczył.

– Przejmuję się jeno tym, że oboje możecie się pozabijać, zanim dojdzie do zaślubin – wymruczał Angus pod nosem, a na głos dodał: – Wybacz jej zachowanie, Blane. Jest porywcza i bywa nieokrzesana, ale to porządna dziewczyna.

– Sprawy nie było – rzekł po chwili MacLeod pojednawczym głosem. – Jednak pilnuj chłopaka, niech na słowa zważa, drugi raz się nie zawaham i kolejnej obelgi nie puszczę płazem.

– Govan niczego więcej nie zrobi, osobiście tego dopilnuję. Gdyby spróbował po raz kolejny, osobiście go ukarzę – obiecał.

– Jeżeli spróbuje po raz kolejny, jeno grób będziesz musiał mu wykopać – mruknął Blane na wspomnienie tego, co młokos mówił o Brice. – Wszyscy błąd popełniacie, wtrącając się w moje sprawy. Nie wasza to rzecz, co robię – dodał złowieszczo.

– Jasno to zrozumiałem i uszanuję, ale nie o tym prawić z tobą chciałem. – Blane sapnął ze złości i spojrzał na Angusa spode łba.

– Mów – stwierdził krótko.

– Znasz dzieje klanu MacCallum, znasz losy Ronana, ale nie znasz historii Vanory – zaczął tajemniczo. – Dzieckiem była, gdy zginęli jej bracia, a ojciec był umierający. Gdy do nieszczęścia doszło ta suk... – W porę się powstrzymał. – Jej matka chłopaka najmłodszego zabrała, a córkę opuściła.

– Bez obaw, nazywaj rzeczy po imieniu. Suka to i tak łagodne miano dla tej baby – stwierdził Blane. – A dla Vanory lepiej, że ją matka zostawiła. Życie normalne wiodła, chociaż i tak wiele do życzenia jej charakter pozostawia – wymamrotał chłodno.

– Dobrze to dla niej. Owszem. Lecz o co innego idzie, osiem lat zaledwie miała, gdy niemal całą rodzinę utraciła. Braci kochała nad życie. Ich śmierć była dla tego dziecka ogromnym ciosem. Klan zdziesiątkowano, a jej ojciec jeszcze długo chorował i do dzisiaj w pełni zdrów nie jest.

– Po co mi to mówisz? – zapytał Blane markotnym głosem.

– Bo masz złe zdanie o dobrej dziewczynie. Klan jest dla Vanory najważniejszy i, pomimo że żadnego z nas więzy krwi z nią nie łączą, jest dla nas siostrą. A nawet kimś więcej. Całe życie coś traciła i nigdy się nie załamała – tłumaczył. – Teraz ją poniosło, może i błąd popełniła, ale krewka jest. Temperament ma po ojcu. Za młodu też taki był – wyjaśnił. Blane westchnął. Słowa Angusa miały sens. Sam stracił rodziców, będąc dzieckiem i w pełni rozumiał sytuację.

– Głupia jest, nie krewka – mruknął pod nosem.

– Młoda i narwana. Przeto w twych oczach dobrze wypaść chciała, a tyś ją paskudą nazwał. Po kobiecemu zareagowała, a nie jak wojownik – tłumaczył.

– Co przez to rozumiesz? – zapytał Blane, którego wyznanie Angusa zdeorientowało.

– Nie wiem, co tobie o niej mówili, ale tu też wieści różne docierały i niechętna do ciebie była. Do czasu, aż na bitwie cię ujrzała – wyrzekł MacCallum, a Blane zmarszczył czoło. Chętnie dowiedziałby się czegoś więcej.

– Jeśli potrzeba taka zajdzie wezmę ją za żonę. I nie obawiaj się, bić jej nie zamierzam. Gdy będzie posłuchana, to szanował ją będę – oświadczył, starając się nie myśleć o Brice. – Mam swe sprawy, od których trzymać się z dala powinna, tyle wystarczy.

Angus popatrzył na niego zrezygnowany i z westchnieniem oparł się o stojące tuż za nim koryto z wodą dla koni. Jedno uparte, drugie jeszcze bardziej, a gdzieś tam kolejny francuski problem istnieje. Co tu się może w niedługim czasie wydarzyć? *Jak się pozabijają, to Ervin naczelnikiem zostanie* – pomyślał ze zgrozą. Musiał coś zrobić. Ale co? Blane Vanory jako wojownika nie uzna i do roli kobiety będzie chciał ją sprowadzić, a ona prędzej gardło mu przegryzie, niż się na to zgodzi. *Tu innego naczelnika dla niej trzeba, nie Blane'a* – stwierdził w myślach. Ale czy z innym będzie lepiej? Westchnął po raz kolejny.

– A gdzie te „sprawy” będziesz miał? – zapytał niepewnie. Blane zgromił go wzrokiem.

– Nie twoja rzecz! – oznajmił podniesionym głosem. Znowu w jego głowie zapanował chaos.

– Spędź z Vanorą trochę czasu, zanim podejmiesz decyzję – zachęcił Angus. Blane popatrzył na jego poważną minę.

– O czym prawisz? – dociekał zdeorientowany.

– Poznaj Vanorę, zanim zawrzesz układ z jej ojcem, a jeżeli nie zmienisz o niej zdania, to nie bierz jej za żonę, bo będą z tego większe kłopoty niż byłby pożytek z połączenia klanów – stwierdził rzeczowo i odszedł.

Rozdział 34 Francuska nalożnica



Przez cały dzień Blane był wytrącony z równowagi. Nawet kilka godzin na placu treningowym nie potrafiło tego zmienić. W Ardvreck miał jedno zmartwienie. Myśli zaprzętała mu jedynie błękitnooka blondynka, która wyglądała jak anioł, ale zachowywała się jak prawdziwa diablica. Jednak jakoś sobie z tym radził. Miał ją pod ręką i w każdej chwili mógł posłać kogoś, aby sprawdził, czy znowu nie dokonała zniszczeń. Choć zazwyczaj wolał doglądać tego osobiście. Przecież był naczelnikiem, nie mógł narażać swoich ludzi na niebezpieczeństwo, jakie niewątpliwie stanowiła. Sapnął ze złością i zadał kilka zbyt gwałtownych ciosów walczącemu z nim Ivarowi, który cofnął się zdezorientowany. *Ta szkocka diablica nawet tu nie daje mi spokoju* – pomyślał i westchnął. Dlaczego wydawała mu się teraz bardziej szkocka niż francuska? *Wszystko przez Ossiana*.

– Zakuję ją w dyby. Wtrącę do lochu. Zagłodzę wiedźmę i poszczuję psami – mamrotał pod nosem. – Przywiążę na dziedzińcu do pala i wybatożę. – W tamtym momencie był szczęśliwy, że jego głos tłumi szcęk uderzanego o siebie żelaza.

Po porannym zajściu mogliby sobie pomyśleć, że zależy mu na dziewczce, a przecież chciał jeno mieć ją w łóżu. Nic więcej. Oni po prostu musieli wiedzieć, że żaden nie miał prawa nawet o niej pomyśleć. Inaczej pourywa im filmy, robi z nich lunatyków i...

– Do czorta! – wrzasnął na całe gardło, co zostało zarejestrowane przez trenujących na placu wojowników.

Oddychał ciężko, wyczerpany walką. Podeszedł do wiadra z wodą i wylał ją sobie na głowę. *Koniec z dziewczką* – pomyślał. Miał ważniejsze sprawy, musiał rozmówić się ze starym Ronanem. Czas zająć się konkretami. Myśli o Brice zostawi na noc.

Ruszył w stronę Luthiasa, który obdarzył go przekornym uśmiechem.

– Macie francuskich gości – rzucił krótko.

– Tak. W tej chwili markiz wyruszył w drogę powrotną, a...

– A ten drugi? – przerwał mu. Od dawna coś chodziło mu po głowie, teraz musiał się jedynie upewnić.

– Ambasador?

– Tak, ambasador – wypowiedział z pogardą. – Któryś zwie się Krzysztof Kolumb? – zapytał, wmawiając sobie, że to przecież wcale nie dotyczy Brice. I tak miał zamiar odszukać tego człowieka i ona nie miała tu nic do rzeczy.

– Nie – zaprzeczył zdezorientowany Luthias.

– A znasz człowieka, który tak się zwie? – drażył Blane, odgarniając do tyłu mokre włosy.

– Nieee – odparł, przeciągając słowo, zaintrygowany zachowaniem MacLeoda.

– Dobrze. W takim razie pójdę teraz rozmówić się z Ronanem – zdecydował i zmarszczył brwi, myśląc nad czymś usilnie. W którymś momencie spojrzął na chłopaka i zapytał: – A ci Francuzi mieli może telefon? – Starał się ukryć w głosie niepewność.

– Tele co? – wydusił Luthias, a jego rozdziawiona gęba sprawiła, że Blane jedynie machnął ręką i skierował się wprost do zamku.

Zaczynało już zmierzchać.

Przed spotkaniem ze starym MacCallumem chciał rozmówić się jeszcze z Bothanem, ale nie widział go cały dzień. Nieobecność Vanory była również dość wymowna. Ubliział druhowi, że zostawił go samego, lecz w sumie dzięki temu nie miał na głowie tej jędzy. Słowa Angusa zmieniły trochę jego nastawienie do dziewczyny, ale to jeszcze bardziej skomplikowało sprawę.

Gdy dotarł do zamku, skierował się od razu do największej z sal, w której wieczerzał klan. Teraz był tam jedynie Ronan z kilkoma druhami.

– Wybacz, żem cię nie przywitał, alem zaniemógł. – Do uszu Blane’a dotarł przyjazny głos starca. Podszedł i obdarzył go mocnym uściskiem.

– Nie kłopotz się, przyjacielu, twoi ludzie przywitali mnie wystarczająco serdecznie – powiedział i dodał po namyśle: – Twa córka również mnie powitała.

– Mam nadzieję, że dużej szkody ci nie wyrządziła – oznajmił zatroskanym głosem Ronan i zmarszczył czoło.

– Na jej szczęście nie – mruknął Blane i ujrzał przekorny uśmiech na twarzy starca.

– Czasem bywa impulsywna, ale to dobra dziewczyna.

Westchnął. Cały dzień każdy wmawiał mu, że ta wszetecznicą jest dobrą dziewczyną. *Upadli na głowę?* – pomyślał, ale przecież nie o tym chciał z jej ojcem rozmawiać.

– Wiesz, po co tu jestem – przeszedł do konkretów.

– Wiem, przecie sam cię zaprosiłem.

Ten dzień był przepełniony emocjami. Sytuacja się skomplikowała, a on nie potrafił zebrać się w sobie, aby skutecznie ją rozwiązać. Czy działo się tak dlatego, że gdzieś tam daleko zostawił błękitnooką wiedźmę, która mogła już doprowadzić do szaleństwa jego ludzi albo znowu wysadzić coś w powietrze?

– Morven – wymruczał pod nosem. Czy ta gnida będzie trzymała się od niej wystarczająco daleko?

– To jeden z twych ludzi? – Usłyszał i spojrzał pytającym wzrokiem na rozmówcę. – Ten Morven – wyjaśnił Ronan.

– Tak, ale nie przybył ze mną. Sprawia wiele problemów. Martwię się, aby i tym razem nie stał się powodem jakiegoś nieszczęścia. Zabiję go, jeżeli spróbuje się choćby do niej zbli... – Przerwał, zdając sobie sprawę, że znowu odbiegł myślami od istoty sprawy. Wciągnął głęboko powietrze. *Klan, tylko to się liczy* – przywołał się do porządku.

– Dbasz o swych ludzi – powiedział z uznaniem Ronan. – Szanuję to i cenię. Dobrym jesteś naczelnikiem dla swego klanu.

– Chyba nadszedł czas pomówić również o twoim – oznajmił Blane, ignorując pochwałę. Starzec pokiwał z aprobatą głową.

– Rad byłbym, aby nasze klany się połączyły – poinformował MacCallum. – Ostatnie zdarzenia udowodniły, że byłoby to korzystne dla obu.

– Ja również tak sądzę – zawtórował Blane markotnym głosem i ciężko westchnął.

– O moją Vanorę starać się będzie wielu naczelników – rzekł starzec, obserwując z uwagą reakcję rozmówcy.

– Żaden z klanów nie jest lepszy od mojego. – Blane nie grzeszył skromnością.

– Zaiste, przyjacielu, ale nie w tym rzecz – stwierdził starzec. Blane zmarszczył czoło. O co mogło mu chodzić? – Vanora to moje dziecko i nie oddam jej komuś, kto ją unieszczęśliwi.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Masz kochankę – stwierdził zwięźle. *A jednak* – pomyślał Blane, starając się nie wrzasnąć, żeby nie wtrącał się w nie swoje sprawy. No, ale przecież to była sprawa Ronana. O jego córkę chodziło.

– Mówisz, jakbyś ty nigdy kochanki nie miał – oświadczył chłodno. Starzec westchnął, zrozumiawszy, że sprawa jest poważniejsza niż założył.

– Wierności żonie dochowałem, dopóki nie wyszło na jaw, że w łóżu innego mężczyzny gości, a i wtedy o moich kochankach nigdy się nie dowiedziała. Ty masz nałożnicę, o której wie każdy i żyjesz z nią jak z żoną.

– Nigdy nie traktowałem jej jak żony – warknął lekko skołowany. Słowa Ronana dały mu do myślenia.

– Raczej nie jest dziewczką, którą bierzesz na noc i wyrzucasz z łóża, gdy się zaspokoisz. Jednak nie moja to rzecz. Postawię...

– Owszem. Nie twoja.

– Postawię sprawę jasno, Blane. Mówiłem ostatnio z córką i odniosłem wrażenie, że Vanora jest ci przychylna. Dlatego, gdy Angus powiedział mi o porannym zdarzeniu w izbie czeladnej, nie pojmowałem tej zmiany. Nie wyjawiał szczegółów, lecz ponoć wina leży po jej stronie.

– Nic ważnego się nie stało – zaręczył z rezerwą Blane. Ronan uważnie mu się przyglądał, co nieco go rozpraszało.

– Jeżeli chodzi o twoją francuską nałożnicę, sprawa wygląda tak, że moja córka do pokornych nie należy i jeżeli coś pójdzie nie po jej myśli, to krzywdę może cudzoziemce wyrządzić, a wtedy powstałby duży bałagan. – Blane na te słowa ledwie powstrzymał śmiech.

– Nie martw się o to, Brice nie da sobie zrobić krzywdy. Obawiałbym się prędzej...

– Brice? – przerwał mu starzec. – Czy to aby na pewno kobieta? – zapytał. Twarz Blane'a oblała się purpurą. Mówiono mu, że stary czasem brednie gada, ale nie sądził, że ktoś mógłby prawić większe głupoty od tej jasnowłosej wiedźmy. – Stryj mój się tak zwał – usprawiedliwił się pospiesznie MacCallum i dla załagodzenia dodał: – Pewnie nadobna jest.

– Moja to sprawa – rzucił dobitnie Blane. Dlaczego ten ramol o jej urodę wypytywał? Jaki miał w tym interes?

– Stryj nadobny nie był – poinformował Ronan. Blane jęknął w duchu. Może starzec przesadził z winem? – W każdym razie, przyjacielu, sprawa nie jest prosta. Ty francuską dziewczkę chcesz zachować, ale moja Vanora nie jest kobietą, która umie się podporządkować i jeżeli na coś się uprze, to postawi na swoim. Jest mym dzieckiem i chcę jej dobra, więc... – Zrobił przerwę.

– Więc?

– Dam ci Vanorę za żonę i nasze klany się zjednoczą, ale wymagam jej aprobaty. Nie przymuszę córki do ożenku. Jeżeli twoja nałożnica będzie jej solą w oku to, aby doszło do zaślubin, będziesz musiał odprawić cudzoziemkę. Inną sobie weźmiesz, jeżeli taka będzie twoja wola. Najlepiej Szkotkę. Vanorze może przeszkadzać, że to Francuzka. Ostatnio gościa mieliśmy. Markiza. Człowiek ten jest pomyłony. Uspokoić mnie chcieli, ale swoje wiem. Psy jada i zwyczaje cudaczne wyznaje. Padlinę na głowie nosi. I jeśli Vanora umyśliła sobie, że twoja Francuzka również taka jest, to nic jej nie przekona i dziewczki nie zaakceptuje.

Blane patrzył na niego jak na idiotę i zastanawiał się, o czym ten człowiek bredził. Jego francuska kocica co prawda miała iście ognisty temperament, ale o noszeniu padliny na głowie nie było mowy. Jednak na wszelki wypadek wolał nie zagłębiać się w temat choroby umysłowej, gdyż ta czarownica również wykazywała braki na umyśle, prawiąc brednie o latających maszynach i świetle, które zapalało się po kłaśnięciu w dłonie.

– Brice to szlachcianka, ale do markiza jej daleko – powiedział wymijająco.

– A co ona jada? – Blane wybałuszył oczy. Czy ten człowiek przypadkiem nie zwariował?

– To, co wszyscy – mruknął, kompletnie zbity z tropu.

– I na pewno martwych psów na głowie nie nosi? – kontynuował.

– Czego? – Blane powoli tracił cierpliwość.

– Przepraszam, przyjacielu, nie moja w tym rzecz. Przecież nie każdy urodzony we Francji musi być od razu idiotą – stwierdził odkrywczy i kontynuował niezrażenie: – Wszak Gaston również jest Francuzem, a porządny z niego człowiek. Mądry i rozsądny. Gdyby Vanora go za brata nie miała, chętnie bym go jej mężem uczynił – dodał. Blane zmarszczył czoło.

– Gaston? A czy to nie przypadkiem ten markiz? – wypowiedział z pogardą.

– Gaston jest ambasadorem. Markiz to ten pomyłony. Mówić nawet po ludzku nie potrafi, ino niczym opętany bełkocze i myśli, że go ktoś rozumie. Gastona moi ludzie pokochali, dobry to chłopak. Nie jego wina gdzie się urodził, a u nas poczuł się jak w domu. – Zabrzmiało znajomo. Od razu w głowie Blane'a pojawił się widok szkockiej diablidy, urodzonej we Francji, która klan MacLeod traktowała jak swój. – Pojechał teraz za tym idiotą. Jakiś problem wynikł, ale obiecał, że wróci, a on zawsze słowa dotrzymuje – oświadczył rzeczowo, a Blane jęknął w duchu. Tego brakowało, aby teraz o jakimś Francuzie gadali. Pomyłony czy zdrowy, nie miał zamiaru wysłuchiwać o nim opowieści.

– Nie przybyłem tu o szlachcie gadać. Czy francuska, czy angielska, czy szkocka, żadnej przychylny nie jestem i opowieści o żyjących ponad stan markizach jadających ze złotych talerzy nie będę wysłuchiwał,

przyjacielu – poinformował. Ronan przez chwilę przypatrywał mu się z uwagą.

– Ale Gaston jest ambasadorem, biesiaduje z mymi ludźmi i całe dnie z nimi na placu treningowym spędza.

– I może jeszcze żołnierzem jest i bitwy toczy? – zapytał ze zniecierpliwieniem MacLeod.

– Z mym klanem dopomóc twemu pojechał i u twego boku walczył – stwierdził Ronan, na co Blane zaniemówił.

Staremu zupełnie się w głowie przewracało. Brice mężczyzną? Jadający psy markiz, który padlinę na głowie nosi? Francuski ambasador walczący w bitwie z klanem MacAuleyów? Ronan zaczynał opowiadać bajki podobne do tych, które prawi Brice nocami. Tylko jej były ciekawsze.

– Zaiste, dobry z niego człek – powiedział na odczepnego i od razu zmienił temat: – Więc mam twoją aprobatę, jeżeli Vanora przeciwwskazań nie wyrazi, czy tak? – zapytał.

– Tak będzie lepiej, nie chcę, aby moje dziecko krzywdę cudzoziemce uczyniło.

Blane nie miał już siły tłumaczyć, że ta cudzoziemka mogła równie dobrze zrobić krzywdę Vanorze. A która, którą bardziej by skrzywdziła, trudno zawyrokować.

– Masz rację, Ronanie, lepiej losu nie kusić – rzekł krótko. – Późno już, powinienes udać się na spoczynek. Mnie też dobrze zrobi kilka godzin snu. Jutro ciężki dzień przede mną. – To mówiąc, pożegnał się i opuścił komnatę.

Rozdział 35 Drań



Rozmowa z Ronanem wytrąciła Blane'a z równowagi. Nie był rozwścieczony, nie był nawet zły, jednak w jego głowie zapanował zamęt. Czyżby dobro klanu wiązało się z utratą Brice? Nie istniało inne wyjście? Westchnął poirytowany. Przecież to jedynie kochanka, nie powinien się przejmować jej stratą. *Będą inne* – pomyślał zrezygnowany. Z drugiej strony innych przecież nie chciał, a mając za żonę kogoś takiego jak Vanora, nie potrzebowałby innej. Zdanie Ronana znał, teraz obraz sytuacji zmienić mogła jedynie decyzja głupiutkiej, egoistycznej małolaty, którą na swe nieszczęście nazwał paskudną. Zaklął pod nosem i wyszedł z zamku. Skierował się w stronę stajni. Chciał w spokoju pomyśleć.

Wszedł na dziedziniec i głęboko odetchnął chłodnym powietrzem. Była już późna noc. Ciężko wdychając, przeczesał do tyłu włosy i zamyślony ruszył przed siebie, spoglądając w rozgwieżdżone niebo, na którym królował księżyc w pełni. W pewnym momencie usłyszał świst i zaniepokojony przykląkł. Dłoń odruchowo powędrowała do pasa i zacisnęła się na klindze miecza. Nasłuchiwał, ale nigdzie nie widział napastnika. Był jednak pewien, że ktoś strzelał.

Wtedy ją ujrzał. Stała w rozkroku i, wpatrując się przed siebie, zwinnym ruchem sięgnęła do kołczanu i błyskawicznie wyjęła strzałę, napięła cięciwę, wycelowała i wypuściła. Zrobiła to w mgnieniu oka. Żaden napastnik nie miałby nawet szansy dobyć miecza. Patrzył z podziwem na oświetloną światłem księżycy dziewczynę. Wyprostował się, a następnie zrobił kilka kroków w jej stronę. Nie dostrzegła go, mógł zatem bezkarnie jej się przypatrywać. Była wysoka i bardzo szczupła, na co początkowo nie zwrócił uwagi. Miała na sobie jedynie obcisłe spodnie i męską koszulę, co doskonale uwidaczniało jej kobiece krągłości. Włosy opadały na plecy w niedbale splecionym warkoczu sięgającym do połowy całkiem zgrabnego tyłka. Była niezaprzeczalnie piękna. Skupiona, ponownie wykonała te same czynności.

– Marnujesz strzały – powiedział bezwiednie, sprawiając, że podskoczyła złękciona, wypuszczając bełt tak niefortunnie, że ostrze wbiło się w ziemię kilka kroków przed nią. Zakląła pod nosem i spojrzała na niego z pretensją.

– Co tu robisz? – zapytała naburmuszonym głosem.

– Musimy porozmawiać – oznajmił, nie siląc się na odpowiedź.

– Nie mam zamiaru z tobą rozmawiać – warknęła buntowniczo. Skądś to znał.

– Ja też nie mam ochoty na rozmowę z tobą, ale stać się to musi – mruknął i usłyszał westchnienie.

Ruszyła w stronę stajni, a on podążył za nią. Usiadła na belce, do której przywiązywano konie. Podeszedł do niej i oparł się plecami o ścianę budynku. Patrzył na brunetkę w milczeniu, nie wiedząc, od czego zacząć.

– Chciałeś rozmawiać. Słucham – burknęła.

Starał się nie okazywać złości, ale czuł, że jeżeli dalsza wymiana zdań przebiegnie w taki sposób, to zdenerwuje się i wszystko szlag trafi.

O czym miał właściwie gadać? Przecież nie będzie prawił z nią o Brice.

– Rozmawiałem z twym ojcem – oświadczył.

– Co ustaliliście? – zapytała zrezygnowanym tonem.

– Wielu w konkury do ciebie przybędzie, ale to ja cię wezmę za żonę. Azali twój ojciec rzekł, że do ciebie należy ostatnie słowo. Możesz zatem wybierać – oznajmił, zaskakując ją.

Nagle wszystko się zmieniło. Przyparta do muru mogła udawać, że jej na nim nie zależy i zmuszona

jest poślubić go wbrew swej woli, ale okazało się, że przymuszać jej nikt nie zamierzał. Ani on, ani ojciec.

– Jaka ona jest? – zapytała bezwiednie. Zamarł.

Z wyrazu jego twarzy wyczytała, że od razu zmiarkował, kogo miała na myśli. Początkowo wydawało się jej, że wybuchnie gniewem, ale tak się nie stało.

– Tak samo głupia jak ty – oświadczył bez namysłu.

– Nie rozumiem – wydusiła zdezorientowana.

– Robicie to, czego nie powinnyście – rzucił na odczepnego, mając nadzieję, że da mu spokój.

– Czyli to, co ci się nie podoba – stwierdziła. Sapnął poirytowany.

– To, czego nie należy – mruknął. – Brice...

– Piękne imię – wyszeptała, a on aż zagotował się ze złości.

– To kobieta i do stryja twojego ojca nie jest podobna! – ryknął i ujrzał na twarzy Vanory zdezorientowanie. Zaklął pod nosem. Po raz nie wiadomo który musiał wybrnąć z kłopotliwej sytuacji, a wszystko przez tę szkocką wiedźmę. I właściwie dlaczego była dla niego teraz bardziej szkocka niż francuska? *Obiję ją kijem i wtrącę do lochu. Razem z Ossianem* – pomyślał ze złością i kontynuował: – Strzał używasz, a Brice wszystkiego, co ma pod ręką. Zuchwała jest i niepokorna jak ty. Gdy coś jej się nie spodoba, potrafi rozbić dzbanek na głowie niewinnego człowieka – powiedział, ubliżając sobie w myślach za określenie Morvena niewinnym człowiekiem, podczas gdy dość często sam miał ochotę chłopaka wybebeszyć niczym świnię. Jednak nagięcie faktów wydawało się teraz konieczne, aby o urodzie stryja nie dyskutować.

Vanora przeciągle westchnęła.

Nagle coś się zmieniło. Nieznajoma dziewczyna się zmaterializowała. Mówili o niej wszyscy, nawet Bothan o niej opowiadał, lecz dopiero gdy Blane przyznał, że istnieje; wszelkie złudzenia się rozwiały. Powiedział coś, co Vanorę zabolowało. Określił ją w taki sposób, że nie czuła już do Francuzki aż tak wielkiej złości, jaka przepełniała ją jeszcze przed momentem. Przecież cudzoziemka również będzie cierpiała, kiedy dojdzie do zaślubin. Nie jej to wina, że los zgotował im taką przeszkodę.

– Czy bardzo protestowała? – zapytała smutno.

– Gdyby wiedziała, pewnie miałyby coś do powiedzenia. Zazwyczaj dużo gada, szczególnie wtedy, gdy milczeć powinna – mruknął, wracając do głównego problemu, jakim było poinformowanie Brice o ślubie, bo przecież w końcu musiało się to stać.

– Nie wie?! – wykrzyknęła Vanora. – Nic jej nie powiedziałeś? Więc jak chciałeś...

– Mówiono o tobie, żeś dzika, głupia, szpetna i że boją się ciebie ludzie, a ty sama żyjesz w chlewie. Zamierzałem zatem... – Przerwał mu gromki śmiech Vanory.

Chciał na nią wrzasnąć, ale prawdę mówiąc również jego to w tym momencie śmieszyło. Nagle spoważniała i zeskoczywszy z belki podeszła do niego, a następnie wyzywająco spojrzała mu w oczy.

– A teraz? Co teraz o mnie myślisz, Zwierz? – zapytała. Poczł, że robi mu się gorąco. Chcąc go sprowokować, nazwała Zwierzem, co, o dziwo, wcale go nie rozdrażniło. Wręcz przeciwnie.

– Szpetna nie jesteś, wielce nadobna z ciebie panna – stwierdził, wytrzymując jej spojrzenie. Lekko się zaczerwieniła. – Głupią też się nie wydajesz, jedynie narwaną i nieroztropną. Z wiekiem ci to minie. Ludzie schodzą ci z drogi ze strachu, owszem, ale innym rodzaj lęku w nich budzisz. Czyś dzika? Tego jeszcze nie wiem – dodał ochryplym głosem, a ona przełknęła głośno ślinę.

– Co zamierzasz? Pojąć mnie za żonę i zachować ją jako kochankę? – zapytała rzeczowo. Krew uderzyła mu do głowy.

Była diabelnie bezpośrednia i konkretna. Doskonale wiedziała, czego chce, a on czuł się teraz przy niej bezradny niczym dziecko, ponieważ wszystko szło nie tak, jak powinno. Inaczej niż zaplanował.

– Dobro klanu jest dla mnie najważniejsze – mruknął oschle, unikając odpowiedzi. Posmutniała. Doskonale to zrozumiała. Jego słowa świadczyły o tym, że zrezygnuje z kochanki dla dobra swych ludzi, a ona sama będzie dla niego złem koniecznym. Nie chciała tego.

– Masz rację – wydusiła chłodno. – Dla mnie również dobro klanu jest najważniejsze, a mój ojciec uważa, że jesteś najlepszym kandydatem na męża. Twój klan za pan brat jest z moim, ramię w ramię wiele razy walczyli. Zatem zachowaj swoją cudzoziemkę. Zamieszkać z nią na Ardvreck, tu zostawisz swych ludzi i przybywał będziesz, gdy to konieczne. A kiedy nadejdzie odpowiednia chwila, legnę z tobą jeden raz, aby począć potomka – oświadczyła, a on zdębiał.

Dokładnie tego chciał. Jednak gdy ujrzał przeogromny smutek w jej oczach, coś gwałtownie w nim zaprotestowało. Całe życie wciąż coś traciła. Ukochanych braci w walce. Matkę, która zostawiła ją w dzieciństwie. A jedyny brat, który jej się ostał, gnidą dworską się okazał. Żeby tego było mało, prawdopodobnie ojciec na starość zwariował. Dziewczyna była sama, bez najbliższej rodziny. Miała jedynie tych opojów z klanu. Nie chciał stać się przyczyną kolejnej krzywdy, jakiej zaznałaby od losu.

Odwrociła się i chciała odejść, ale uchwycił ją za łokieć i przyciągnął. W milczeniu spoglądał w jej błyszczące oczy, w których szklily się łzy.

– Nie będziesz mi mówić, co mam robić – oświadczył, dotykając wierzchem dłoni jej policzka. – Ile masz lat, Vanoro? – zapytał. Zadrżała, gdy wypowiadał jej imię. Widząc to, przekornie się uśmiechnęła.

– Nie twoja rzecz! – stwierdziła dumnie.

– Moja!

– Nie twoja! – upierała się.

– Ile? – Nie dawał za wygraną.

– Dziewiętnaście – rzekła chłodno.

Milczał. Nie wiedział, co ma teraz zrobić. Nie chciał skrzywdzić Vanory, lecz Brice była mu w jakiś sposób potrzebna i nie umiał tego wytłumaczyć. Starał się o tym nie myśleć, lecz czuł do niej coś więcej niż pożądanie. Pragnął jej obecności nie tylko w łożu. Chciał słuchać głupot, jakie opowiadała mu nocami, potrzebował jej ciepłych spojrzeń i łagodnych uśmiechów. Chciał obserwować jak brata się z ludźmi, przekomarza z Ossianem i dyskutuje z Eiligiem. Niestety w tej chwili miał już świadomość, że nie uda mu się mieć ich obu. I gdyby miał z jednej zrezygnować, to zdecydowanie oddaliłby Vanorę. Jednak ważniejszy od obu tych niewiast był klan. Tak go wychowano. Jako naczelnik przede wszystkim musiał dbać o dobro swoich ludzi. Polegali na nim. Liczyli na niego. Nie mógł ich zawieść.

– Nie chcę być powodem twego nieszczęścia. Jestem skurwielem – zaręczył, a ona zmarszczyła czoło, zdezorientowana. O czym bredził? Jakim skurwielem? W tym momencie przypomniawszy sobie, że gdy widziała go po raz pierwszy podczas walki, wrzeszczał na całe gardło, że jest skurwielem.

– Kto to jest skurwiel? – zapytała.

– To ktoś taki jak ja – odpowiedział wielce zadowolony, rozbudzając jej zainteresowanie, jednak nie miała ochoty z nim dyskutować.

Jedyne, czego w tym momencie chciała, to odejść i przełknąć w samotności porażkę.

Chyba w głębi duszy liczyła, że rozegra się to inaczej. Jednak po tym, co opowiedział o tej dziewczynie Bothan, nie powinna spodziewać się niczego innego. *Piękna, mądra, przyjazna* – wymieniała w myślach. *Kto by takiej nie chciał?* Czowała się skołowana. Współczuła Francuzce i nienawidziła jej jednocześnie.

– Niezbyt to zrozumiałe, ale wierzę ci na słowo, zacy skurwielu – mruknęła ponuro i ponownie spróbowała odejść, ale również teraz ją powstrzymał i uchwycił za ramiona.

– Pojmę cię za żonę, Vanoro – oświadczył stanowczo, a ona wzruszyła ramionami. To już przecież ustalili. – Dziewczynę zachowam...

– Nie musisz tego powtarzać po wielokroć, raz wystarczy! – krzyknęła.

– Do czasu zaślubin – dokończył zdławionym głosem. Spojrzała na niego zdezorientowana.

– Jakich zaślubin? – zapytała, marszcząc czoło.

– Jednak głupiaś jest – mruknął ponuro i usłyszał jej głośne sapnięcie. – Naszych zaślubin – wyjaśnił. Wpatrywała się w niego oniemiała. Trudno było jej uwierzyć w to, co słyszy.

– To nie tak, że mi zależy... – bąknęła, siląc się na obojętność. Właśnie dotarło do niej, że mógł odebrać to jako desperację zakochanej w nim dziewczyny, czym w sumie było, lecz nie chciała, aby tak myślał. – Nie mam do ciebie uczucia – łgała jak najęta. – Po prostu być drugą, to...

– Legniemy więcej niż jeden raz i sprawię, że znajdziesz dla mnie uczucie – przerwał jej, a ona przełknęła głośno ślinę. *Dobrze, że nie wie* – pomyślała.

Przypatrywał się jej z uwagą. Była naprawdę piękną dziewczyną. *Niewinny kociak, który udaje groźnego lwa* – przemknęło mu przez myśl. Może i znała się na walce, ale w sprawach miłosnych była nieświadoma niczym pisklą, które dopiero wykluło się ze skorupki. Pełnia księżycy doskonale oświetlała jej oblicze, a on nagle zapragnął ją pocałować. Rozbudziła w nim pragnienie. Zbliżył powoli twarz, wpatrując się w jej usta, które lekko rozchyliła. Czuł, że również pragnęła pocałunku, może nawet bardziej niż on. Była

zagubiona i nieporadna. I właśnie to najbardziej go teraz podniecało. Powstrzymywanie się przed pieszczotą wręcz bolało. Miał szaloną ochotę zakosztować tej dziewiczej młódki, jednak tkwiła w nim jakaś zadra.

Czuł, że dopuszczał się zdrady i oszukiwał inną kobietę. Zostawił przecież Brice na Ardvreck zupełnie nieświadomą tego, co miało się wydarzyć. Wciąż przed oczyma miał jej uradowaną, zaróżowioną od emocji twarz i coś dławilo go w gardle. Jakże mocno będzie mu brakowało tej czarownicy. Jej krzyków, tej wściekłość na twarzy, złości i... Tych jęków rozkoszy nocami. Dłoni wplatających się w jego włosy. Paznokci, którymi znaczyła jego plecy, gdy osiągała spełnienie. Zacisnął mocno powieki. *Wredna szkocka diablina* – pomyślał i usłyszał westchnienie Vanory.

– Późno już – wydusiła drżącym głosem. Przywołał się do porządku.

– Byłaś już z mężczyzną? – zapytał spontanicznie, ganiąc się w myślach. W sumie co go to w ogóle obchodziło?

– Z wieloma – odparła nonszalancko, rumieniąc się nieznacznie. Brakowało jeszcze tego, aby zaczęła gwizdać.

– Głupia młódka – mruknął, uśmiechając się pod nosem. Zacisnęła dłonie w pięści, wpatrując się w niego ze złością.

– Nie możesz pytać mnie o takie rzeczy, do czorta! – wrzasnęła z pasją i tupnęła nogą. Parsknął śmiechem.

Zdecydowanie miała temperament zbliżony do jego jasnowłosej wiedźmy.

– A ty nie musisz łąać, że oddawałaś się innym – stwierdził i wyjął strzałę z kołczanu, który nadal przewieszony miała przez ramię.

– Skąd możesz to wiedzieć? Może wziął mnie każdy z klanu! Wiele razy! – krzyknęła przepełnionym złością głosem, a on sięgnął po oparty o ścianę stodoły łuk i wsadził go w jej dłoń.

Zdezorientowana zmarszczyła czoło. Skinął głową w stronę oddalonej od kilkadziesiąt metrów tarczy strzelniczej, podając jej strzałę. Popatrzyła mu wyzywająco w oczy i uniosła łuk. Przybrała postawę, napięła cięciwę, a później... Stał tuż za nią, sprawiając, że zamarła. Czuła wyraźnie twarde niczym skała mięśnie przylegające do jej pleców. Słyszała jego oddech i zadrzała. Położył rękę na jej dłoni, którą napinała cięciwę, a drugą na tej, którą trzymała łuk. Pochylił głowę, brodę opierając o jej ramię. Struchlała. Cała drżącą stała i... nie wiedziała, co robić. *Przecież nie będę tu tkwiła jak idiotka całą noc* – pomyślała. Jednak czując jego ciało, nie potrafiła się na niczym skupić. Wypuszczona strzała przeleciała jakieś pół metra obok tarczy. *Nie trafiłam?* – pomyślała z niedowierzaniem.

– Po prostu to wiem – wyszeptał jej do ucha, sprawiając, że zadrzała po raz kolejny. – Nie wziął cię nikt, Vanoro. Na razie – podsumował. Poczowała dreszcze, ale nic nie odparła na jego prowokację.

Wkrótce do jej uszu dotarł odgłos oddalających się kroków. Minęła jeszcze dobra chwila, zanim się poruszyła.

– Drań – wyszeptwała drżącym głosem. Nadal trudno było jej się uspokoić. Spojrzała w niebo, na księżyc. – To pewnie przez pełnię – wyszeptwała.

Rozdział 36 Decyzja



Gdy Blane wychodził rano z komnaty w głowie wciąż miał słowa Angusa, który poprzedniego dnia poprosił go, aby lepiej poznał Vanorę. Czy była taka potrzeba? Wczorajszy wieczór sporo mu powiedział i sprawił, że podjął decyzję, która w tym momencie wydawała mu się najkorzystniejsza dla dobra klanu. Brice stanowiła ważny element jego życia. Przez ten czas przyzwyczyił się do niej i w pewnym stopniu uzależnił od jej obecności, lecz to czyniło go słabym, a nie mógł sobie na to pozwolić. Swoje życie musiał podporządkować ludziom, za których był odpowiedzialny. Im dłużej przebywał z dala od Francuzki, tym bardziej zdawał sobie z tego sprawę. Wyciszał się i patrzył na wszystko trzeźwym spojrzeniem.

Teraz pozostawało jak najszybciej ustalić szczegóły i wrócić na Ardvreck, aby jeszcze przez jakiś czas cieszyć się towarzystwem niebieskookiej diablicy. Postanowił, że najlepszym wyjściem będzie poinformować Brice o ślubie w ostatniej chwili. Wiedział, że to nie w porządku w stosunku do niej, ale na myśl o tym, co mogłaby zrobić, gdyby poznała prawdę, czuł niepokój. W tym momencie nie chciał nawet zastanawiać się nad tysiącem innych decyzji dotyczących Brice. Jakby nie było, musiał postanowić, co z nią zrobić. Odesłać do ojczyzny, czy może dać za żonę komuś z klanu? Ale Brice w niedalekiej odległości? Nie. To nie skończyłoby się dobrze. Miał świadomość, że jego ludzie będą mieli również coś do powiedzenia. Ostatnia rozmowa jasno dała mu do zrozumienia, że głos w sprawie szkockiej diablicy zabierze nawet Ossian.

– Szukałem cię. – Usłyszał i obejrzawszy się za siebie, ujrzał schodzącego po schodach Bothana.

Przystanął i poczekał na niego, a następnie wyszli z zamku, kierując się na dziedziniec.

Blane zamierzał udać się do izby czeladnej, aby porozmawiać z Angusem.

– Czegoś chciał? – zapytał.

– Uradziłeś coś z Ronanem? – Bothan, który uprzednio dowiedział się, że Blane odbył rozmowę ze starym MacCallumem, od razu przeszedł do rzeczy.

– Wezmę Vanorę za żonę – wydusił zdławionym głosem Blane.

– A Brice?

– Ta diablica jest jedynie problemem – mruknął pod nosem.

– Nadal chcesz zachować ją...

– Jedynie, czego chcę, to dobro i bezpieczeństwo ludzi, za których jestem odpowiedzialny. Ataki wrogich klanów są coraz częstsze. Musimy się wzmocnić i połączenie z MacCallumem jest wskazane. Jeżeli nie pojmę za żonę jego córki, zrobi to inny naczelnik. To byłoby dla nas niekorzystne, bo nawet gdyby jej mężem nie został MacAulay ani MacKenzie, mógłby stać się nim ktoś, kto w przyszłości zawarłby z nimi układ, a to by nam zaszkodziło.

– Niestety masz rację – przytaknęła smutno Bothan.

– To tylko kobiety. Żadnej nie miłuję. Spędziłem z Brice wiele czasu i jej towarzystwo jest mi miłe, nic więcej. Chętnie zachowałbym ją w łóżu, ale Vanora okazała się inna niż oczekiwałem – oświadczył rzeczowo. – Nadobna jest, ale nie o tym mówię i nie to jest ważne. Niegłupia z niej dziewczyna i liczy się dla niej opinia klanu. Obawia się, że bycie tą drugą jej w czymś ujmie.

– Tak. To mądra dziewczyna – potwierdził Bothan. – Chociaż odniosłem wrażenie, że charakter ma zbliżony do Brice.

– Wierz mi, Bothanie, obie bardzo się od siebie różnią, choć istotnie może wyglądać, jakby było między nimi podobieństwo – stwierdził. – Vanora to jeszcze młódka. Znajdę dla niej zajęcie i nie będzie przeszkadzać. – Usłyszał głośne westchnięcie przyjaciela i spojrzał na jego strapioną minę. Zmarszczył zdezorientowany czoło.

– O jakim zajęciu mówisz? – zapytał Bothan.

– Coś, co robią kobiety. Do tej pory pozwalano jej na zbyt wiele, ale to dopuszczalne ze względu na stan Ronana. Fizycznie na zdrowiu podupał i szaleństwo go na starość ogarnia. Jednak po zawarciu związku domostwem powinna zarządzać. Tak czynią kobiety – oświadczył zdecydowanym głosem.

– Wydaje mi się, że ona nie nawykła do tego typu zajęć. Z łuku strzela i w bitwach walczy. To dziewczyna, która prędzej zwierzynę na obiad upoluje niż posiłek z niej przyrządzi. – Blane uznał, że trudno jest temu zaprzeczyć. Chciał coś powiedzieć, lecz Bothan nie dopuścił go do głosu: – Sam rzekłeś, że wyboru nie masz.

– Rzekłem, że chcę dobra klanu, a do tego niepotrzebna mi strzelająca z łuku żona. Zajmę się tym w odpowiednim czasie i właściwe miejsce jej pokażę – stwierdził nieznoszącym sprzeciwu głosem. – Teraz nie jest to najważniejsza sprawa – dodał markotnie.

– Dzięki bogom najważniejsza sprawa została w Ardveck. – Usłyszał Bothana, który bezbłędnie zinterpretował jego słowa. – Na szczęście z nami nie przyjechała i człowieka z wiadomością od razu wysłałeś, aby ją powstrzymał. Ale co dalej?

– Kiedy tylko ustalę z Ronanem szczegóły, wrócę do niej i uporządkuję sprawy – poinformował na odczepnego. Bothan pomyślał, że zachowuje się jakoś inaczej.

Nie było w nim złości ani bezmyślnego działania. Nie wściekał się i nie przeczył sam sobie, wmawiając każdemu, że nic się między nim a Brice nie dzieje. Blane myślał teraz trzeźwo i rozsądnie. Nie obawiał się słów i niczego nie udawał. Bothan w tym momencie uświadomił sobie, że jedyny korzystny układ skrzywdzi każde z nich. Zarówno Blane'a, jak i dziewczyny. Zniknięcie Brice z jego życia będzie zawsze zgrzytem w związku z Vanorą. Jednak innego wyjścia nie było.

– Co miałeś na myśli, mówiąc o szaleństwie starego MacCalluma? – zapytał, chcąc zmienić temat. Nie było sensu kontynuować nieprzyjemnej rozmowy.

– Bredzi jak pomyłony – stwierdził Blane. – Gada bzdury o Francuzie, który tu gościł. Że padlinę na głowie nosi i...

– Ale to nie bzdury. – Usłyszeli i obejrzawszy się za siebie, ujrzeli idącą w ich stronę Vanorę w towarzystwie Luthiasa.

– Nie każ mi sądzić, żeś jest równie głupia jak on – burknął z niesmakiem Blane, widząc rozbawioną twarz dziewczyny. Było mu głupio, że usłyszała, co mówił o jej ojcu.

– To jedynie nieobeznany ze światem człowiek. Peruka, którą miał na głowie Louis, wydała mu się zwierzęciem – wyjaśniła, a widząc zdezorientowaną minę Blane'a, dodała: – Wiesz przecież co to jest peruka, prawda? – zapytała.

– Oczywiście, że wiem – skłamał. Nie miał bladego pojęcia, o czym mówiła, ale przecież nie mógł się do tego przyznać. Jako naczelnik powinien być obeznany z każdym tematem. Usłyszał chrząknięcie Bothana i spojrzawszy na niego, zrozumiał, że przyjaciel wszystkiego się domyślił. *Każę go ściąć, jeżeli powie choćby słowo* – pomyślał ze złością. – Mam ich kilka – palnął w desperacji. Zobaczywszy wybałuszone spojrzenia Vanory i Luthiasa, przyszło mu do głowy, że najprawdopodobniej przedmiot ten jest cenny.

– Nosisz je? – zapytała zdumiona dziewczyna i ujrzała, jak Bothan zakrywa usta, chcąc ukryć uśmiech. Popatrzyła na niego zdezorientowana.

– Nie, Vanoro. Nie nosi. – Pospiesznie uprzedził odpowiedź Blane'a, który miał zamiar właśnie to potwierdzić. – Po prostu je ma – wydusił, powstrzymując rozbawienie. Vanora zorientowała się właśnie w sytuacji.

– To wyjaśnia sprawę – oświadczyła z szerokim uśmiechem i strzeliła Luthiasa w tył głowy, sprawiając, że oprzytomniał i zamknął usta. – W takim razie nie muszę już niczego tłumaczyć – dodała. Wcale nie zaskoczył jej fakt, że Blane nie wiedział, o czym mówili. W jej klanie większość mężczyzn miała takie samo rozeznanie jak jej ojciec, który, pomimo tłumaczeń, nadal układał teorie spiskowe.

– Czy wasi francuscy goście dawno odjechali? – zapytał Bothan, chcąc zmienić temat.

– Prawdę mówiąc, nie odjechali. Co prawda Louis miał taki zamiar, lecz Gaston pojechał za nim, aby uzmysłwić mu, że tak naprawdę tego nie chce. Przywiezie go tu żywego lub martwego. Dla tego człowieka byłoby lepiej udać się w zaświaty, zanim się z nim spotkam – oświadczyła ze słodkim uśmiechem.

– Czymś ci zawinił? – zaniepokoił się Bothan.

– Jego wyjazd jest równoznaczny z wyjazdem Gastona, a jego towarzystwo jest mi niezbędne – stwierdziła tajemniczo.

Blane nie odrywał od niej zaintrygowanego wzroku. Cóż, zadziorne zachowanie brunetki faktycznie mogło stwarzać pozory, że jej usposobienie jest podobne do usposobienia Brice, jednak w jego mniemaniu różniły się diametralnie. Co zrobiła Vanora? Wysłała w pogoń Gastona i miała w zamiarze zabić Louisa po powrocie. Co zrobiłaby Brice? Pojechałaby osobiście i zabiła go na miejscu.

– To interesujące – mruknął, budząc jej zainteresowanie.

– Co jest interesujące?

– Twoja chęć obcowania ze szlachtą. Jakoś trudno mi wyobrazić sobie ciebie w towarzystwie wyperfumowanego ambasadora – oznajmił i usłyszał, jak Vanora i Luthias wybuchają głośnym śmiechem. Sapnął poirytowany, starając się pohamować złość. – Nie rozumiem powodu tej radości – warknął.

– Zrozumiesz, gdy poznasz Gastona – oświadczyła tajemniczo. – A teraz może udamy się na plac treningowy? – zaproponowała.

Chciał powiedzieć, że nie tam jest jej miejsce, a wyperfumowanego Gastona nie ma ochoty poznawać, ale uprzedził go Bothan:

– Z miłą chęcią – rzucił krótko i poklepał Blane'a po ramieniu, po czym udał się za dziewczyną.

Rozdział 37 Trzy tygodnie i trzy dni



Vanora nie mogła zasnąć. Choć próbowała się uspokoić, nie potrafiła przestać myśleć o tym, co powiedział Blane i co wydarzyło się chwilę przed jego odejściem. Do tej pory ciężko było jej uwierzyć, że jednak postanowił pozbyć się kochanki. Ten mężczyzna ją fascynował, sprawiał, że czuła się przy nim bezsilna. Niczym mała, bezradna dziewczynka. Czy zdawał sobie sprawę, jak na nią oddziaływał? Czy miał pojęcie, jak wielką ma przewagę? I ten moment, gdy stanął tuż za nią, kiedy czuła za plecami jego ciało. I szeptał, ta pewność siebie, a zarazem jakaś niewytłumaczalna czułość oraz delikatność. Uśmiechnęła się pod nosem. Wmawiała sobie bzdury. Blane i delikatność?

Wzdychając, zeskoczyła z łóżka i podeszła do okna, otworzyła je i głęboko odetchnęła chłodnym powietrzem. Na dworze robiło się już szaro. Usiadła we wnęce okiennej, podciągając pod brodę kolana. Pierwsza chwila, gdy ujrzała go zbroczonego krwią, walczącego z zaciętością, z pasją. I ostatnia, zaledwie godziny temu, szepczącego, że... Uśmiechnęła się. *Wielce nadobna...* – pomyślała, przywołując jego słowa. A może kłamał? Zganiła się w myślach. On nie należał do ludzi kłamliwych.

Z taką łatwością mówił o kochaniu, a przecież ona nie miała o tym bladego pojęcia. Nigdy nawet nad tym nie myślała. Gdy mężczyźni zaczynali ten temat, odchodziła znużona albo zaczynała prawić o czymś innym. Czasem podśmiewali się z Luthiasa, który nieodmiennie dowodził, jak zdolnym jest kochankiem i jak wiele kobiet jego łóżko odwiedziło, podczas gdy tak naprawdę każdy zdawał sobie sprawę, że pies z niego taki, który dużo szczeka, lecz nie gryzie. Owszem, miał powodzenie wśród kobiet, niejedna za nim wzrokiem wodziła, ale on nie był typem, który każdą bierze do łóżka.

Od czego powinna teraz zacząć rozmowę, aby czegoś się dowiedzieć o tych sprawach? Nie mogła zdradzić powodów nagłego zainteresowania. Westchnęła. W tej dziedzinie chyba najwięcej dowiedziałyby się od Carneya albo Gillisa. Ale jak rozpocząć temat? Przecież nie zapyta ich wprost, bo ją wyśmieją. A gdyby to jeszcze dotarło do Blane'a? Zacisnęła dłonie w pięści. Obdarłaby ich ze skóry, gdyby tylko któryś choć słowo wypowiedział. Ale czy to ważne? Będzie jeszcze miała na to czas, gdy...

– Wyjedzie do niej – wyszeptwała gorzko.

Tak przecież ustalili. Na tym polegała umowa. Do czasu ślubu Francuzka będzie jego kochanką i odprawi ją dopiero po zaślubinach. Pomimo że gdzieś tam w głębi duszy czuła smutek na myśl o losie dziewczyny, to w tym momencie pragnęła tylko tego, aby zniknęła z życia Blane'a jak najszybciej. Teraz mogła zrobić tylko jedno.

Poderwała się gwałtownie i pobiegła w stronę drzwi, które z impetem otworzyła.

Ruszyła pędem po schodach, przeskakując po dwa stopnie i gdy dotarła już na samą górę, pobiegła korytarzem w prawo, by już po chwili pukać do drzwi komnaty ojca. Nie czekając na zaproszenie, otworzyła podwoje i dopadła do ogromnego łóża, w którym spał Ronan.

– Ojcie, musimy pomówić! – krzyknęła.

– Pali się?! – wrzasnął starzec, gwałtownie siadając, a ona zerknęła w okno i sapnęła. Dopiero się rozjaśniało. Mogła poczekać jeszcze choćby godzinę.

– Raczej nie – stwierdziła i przysiadła na brzegu łóżka.

– Dziecko, co się dzieje? – zapytał z niepokojem Ronan i pogłaskał ją po głowie. – Choraś? Co cię boli?

– Nic mnie nie boli ojciec, ale jest pilna sprawa – oświadczyła poważnie.
– Mów, córko – szepnął, kładąc dłoń na jej czole.
– Chcę wyjść za mąż – powiedziała z uśmiechem i ujrzała, jak starzec wybałusza oczy.
– Masz gorączkę – stwierdził stanowczo. – Wracaj do komnaty, wezwę medyka.
– Nie, ojciec! – powstrzymała go, chwytając za rękaw. – Zdrowa jestem, ale wyjść za mąż muszę.
– Teraz? – zapytał zdezorientowany. Może coś piła? Albo, nie daj Bóg, w głowie jej się pomieszało.
– Nie teraz, ale koniecznie jak najprędzej! – Usłyszał i zmarszczył czoło, wpatrując się w jej rozemocjonowaną twarz.

O co mogło chodzić? Czyżby o rozmowie z Blane’em się dowiedziała i chce pośpiesznie wyjść za mąż za kogoś innego, aby tylko żoną MacLeoda nie zostać? Westchnął strapiony. Nie miał pojęcia, że jego córka aż taką awersję do tego człowieka żywi.

– Dziecko, nie przejmuj się. Pojmie cię za żonę ten, którego wybierzesz. MacLeoda z samego rana odprawić każę. Pomówię z nim jeszcze raz i...

– Ojciec, nie! – przerwała mu. – Chcę wyjść za MacLeoda i chcę, aby stało się to jak najszybciej. Niekoniecznie teraz, ale chcę zostać jego żoną już wkrótce. Szybko! Bardzo szybko! – mówiła zdecydowanym głosem.

– Jeszcze raz, dziecko, bo trochę się pogubiłem. Za męża chcesz...

– Blane’a! – Nie pozwoliła mu dokończyć. – MacLeoda – uzupełniła.

– I chcesz, aby ślub odbył się...

– Jak najszybciej – poinformowała zadowolona.

– I sama tę decyzję podjęłaś, czy on cię czymś przymusił? – dociekał starzec, a ona westchnęła zniecierpliwiona.

– Nikt mnie do niczego nie zmusił – oświadczyła wyniośle.

– I nie przeszkadza ci jego kochanka? – zapytał zaintrygowany.

Co się z nią działo? Nigdy wcześniej nie zachowywała się tak dziwnie. Wyglądało na to, że jakimś cudem patrzy na MacLeoda przychylnym okiem. Ponownie. Ale czy to możliwe? Jeszcze niedawno wściekła była na tego człowieka, a rankiem utarczkę z nim miała.

– Zatrzyma ją do zaślubin, a po ślubie odprawi, ojciec – wyjaśniła. Starzec przyglądał się jej przez moment w skupieniu, a następnie uśmiechnął się pod nosem. Ten pośpiech... Teraz już rozumiał.

– Nie martw się, dziecko, ślub już wkrótce wyprawimy – oświadczył. – Za dwa miesiące będzie odpowiedni czas. Postaram się...

– Co?! – przerwała mu. – Jakie dwa miesiące?!

– Za wcześniej? – zapytał zdezorientowany.

– Za późno! – krzyknęła i złapała go za rękę. Westchnął ciężko.

– Dobrze, córko, jutro porozmawiam z Blanem. Też uważam, że im szybciej, tym lepiej dla dobra klanu.

Odetchnęła z ulgą. Szybki ślub, aby tylko nie zdążył wrócić do Ardvreck. A jeżeli będzie protestował, namówi ojca, aby ten nalegał.

– Tak, ojciec, to będzie najlepsze dla klanu – zapewniła i ujrzała na twarzy starca przekorny uśmiech. Pomyślała, że wysłała na desperatkę, ale przecież to ojciec, a on zawsze wiedział o niej więcej od innych i nikomu nic nie powie.

– Tak, Vanoro, najważniejsze jest dobro klanu – szepnął, puszczając do niej oczko, a ona splonęła rumieńcem. – Zaraz po Lunasdal9 każę przygotować...

– Po Lunasdal? – Ponownie mu przerwała. – Ale przecież to dopiero za dwa tygodnie – wydusiła niemal płaczliwie.

– Za trzy, dziecko – uściślił strapiony. Niestety w tym wypadku nie mógł ulec.

– A nie można tego wcześniej zorganizować? Przecież to nie będą wielkie zaślubiny. Uroczystość może być skromna i...

– Córko, tu nie chodzi o przygotowania. One trwałyby ledwie kilka dni – tłumaczył. Zmarszczyła zdezorientowana czoło.

– A więc dlaczego aż trzy tygodnie? – drążyła.

– Nie mogę przecież przyspieszyć święta, moje drogie dziecko. Musiałbym dogadać się z bogami,

aby zmienić dzień corocznej uroczystości, a tego nie potrafię.

– Wiem, ale...

– Żaden zaproszony klan nie może dowiedzieć się, że został pominięty w wyborze, Vanoro, i że decyzja już zapadła. To mogłoby zostać źle odebrane i przysporzyłoby nam wrogów, a tego przecież nie chcemy – wytłumaczył i ujrzał, jak Vanora przecząco kręci głową. Rozumiała doskonale. – Nasi goście zaproszeni zostali na święto, musimy ich przyjąć i z czystym sumieniem ogłosić, że wybrałaś na męża MacLeoda. Nikt wtedy do nikogo nie będzie czuł urazy.

– Trzy tygodnie – wymamrotała pod nosem niezadowolona. Wyglądało na to, że Blane będzie miał aż nadto czasu, aby wrócić do francuskiej nałożnicy.

– I trzy dni. Tyle trwa Lunasdal10, Vanoro – powiedział, patrząc na smutną minę córki. – Więc trzy tygodnie i trzy dni.

– To mnie nie pocieszyło – szepnęła, a głośno dodała: – W sumie to niewiele czasu. Musicie przecież szczegółły ustalić i pewne rzeczy będzie chyba trzeba zorganizować, a może, jeżeli go poprosisz, to w czymś pomoże. – Podsuwała pomysły jeden za drugim. Starzec starał się ukryć rozbawienie.

– Masz rację, pewne rzeczy trzeba będzie koniecznie ustalić – oświadczył z poważną miną.

– Szczegółowo – dodała.

– Bardzo szczegółowo.

– A ty ostatnio źle się czujesz i często komnaty nie opuszczasz – powiedziała z chytrym uśmiechem, na co starzec nie wytrzymał i wybuchnął gromkim śmiechem.

– Jutro, a właściwie dziś na pewno zmęczony będę, ponieważ ma córka nocną wizytę mi złożyła i o przyszłym ślubie ze mną rozprawiała – stwierdził i przygarnawszy dziewczynę do siebie, pocałował w czubek głowy.

– Już prawie świta, a sprawa była niecierpiąca zwłoki – oświadczyła, parszcząc śmiechem. – Kocham cię, ojciec – dodała, wtulając się w jego schorowaną pierś.

– Porządny to człowiek, Vanoro – powiedział po chwili starzec. – Właściwą podjęłaś decyzję wybierając Blane'a. Ufam, że będzie ci dobrym mężem.

– Jakim on będzie dla mnie mężem, taką ja będę dla niego żoną – oświadczyła przekornie.

– Nigdy nie wątpiłem, że będzie inaczej. – Uśmiechnęła się pod nosem. Trzy tygodnie i trzy dni.

Wiedziała, że Blane musiał wrócić do Ardvreck, aby odprawić Francuzkę. Lecz zamierzała opóźnić jego wyjazd do minimum, aby nie spędził już z kochanką zbyt wiele czasu. *Gdyby był tu Gaston* – pomyślała i westchnęła. Jego pomoc również by się teraz przydała. Ale przecież obiecał, że wróci, a on zawsze dotrzymywał słowa.

– Dziękuję, ojciec – powiedziała cicho.

– Uciekaj już, moja droga, i połóż się na spoczynek. Co prawda świta za oknem, ale odrobina snu ci się przyda. Czuję, że niewiele dziś spałaś. – Westchnęła.

Nie mylił się. Ale czy mogła spać w takich okolicznościach? Pożegnała się pospiesznie i już po chwili była w swojej komnacie. Położyła się za radą ojca, lecz sen nie nadchodził. Wstała więc i wyszła na dziedziniec. Włóczyła się po placu, zaglądając do zabudowań gospodarczych, bezmyślnie gapiąc się na zdezorientowanych parobków i zaskoczone dziewczki kuchenne. Odwiedziła stajnię, weszła do kuchni. I gdy miała już powrócić do komnaty, wpadła na Luthiasa, którego wyjątkowo serdecznie przywitała, co nieco go zdziwiło, gdyż poprzedniego dnia widział ją pałającą wściekłością. Rozmawiając, skierowali się ku izbie czeladnej, jednak po drodze natrafili na Blane'a, który dyskutował o czymś z Bothanem. Starła się nie okazać, jak wielką radość sprawił jej ich widok. W jakiś dziwny sposób obaj ją fascynowali. Bothan również. Był taki inny, zupełnie niecodzienny. Budził jej zaufanie i czuła, że mogłaby się z nim zaprzyjaźnić.

9 Inna nazwa święta *Lammas*. Używana jedynie w Szkocji (przyp. aut.).

10 Niezgodność. *Lunasdal* trwa jeden dzień, lecz ze względu na ciekawe pogańskie rytuały, towarzyszące temu świętu, chcę je wszystkie umieścić w fabule, odpowiednio dostosowując do przebiegu wydarzeń (przyp. aut.).

Rozdział 38 Mieć je obie



Spędzili wspólnie cały dzień. Najpierw udali się na plac treningowy gdzie Vanora mogła z oddali obserwować Blane'a. W pamięci miała jeszcze jego obraz podczas walki, jednak tym razem nie musiała się niczym rozpraszać i mogła bezkarnie się mu przypatrywać. W tym momencie jego atletycznie zbudowane ciało osłaniał jedynie kilt, gdyż tartan niemal od razu zdjął i odrzucił na trawę. Koszula powędrowała tam już po kilkunastu minutach, odsłaniając jego umięśnioną pierś. Vanora wciąż kręciła się gdzieś obok, udając, że robi tysiąc rzeczy, ale żadną z nich nie jest obserwowanie Blane'a. W efekcie potykała się o własne nogi, upuszczała rzeczy, które niosła dla zachowania pozorów, wchodziła na ludzi i robiła z siebie idiotkę. I o ile zajęty walką Blane niczego nie zauważył, to mężczyźni z klanu doskonale widzieli przemianę, jaka zaszła w dziewczynie i nie mieli pojęcia, dlaczego tak dziwnie się zachowuje. Carney wraz z Luthiasem przyglądali jej się zdezorientowani. Dopiero gdy weszła jedną nogą w wiadro pełne wody, zerkając ukradkiem na drugi koniec placu, na którym walczył Blane, popatrzyli na siebie znacząco, po czym ryknęli gromkim śmiechem. Ujrawszy, że zmierzyła ich wściekłym spojrzeniem, od razu spoważniali.

– Podobno Angus rozmawiał z MacLeodem – stwierdził od niechcenia Carney, gdy do nich podeszła.
– Uradzili coś? – dociekał, zerkając na nią z głupawym uśmiechem.

– Nie moja rzecz, co uradzili. Zrobię, co każe ojciec – mruknęła obojętnie i zwinnie wskoczyła na murek, o który się opierali. – Tylko o dobro klanu chodzi – dodała chłodno.

– Każdy wie, że stary za faworyta ma Zwierza – oświadczył Luthias. – Ale myślę, że jeśli zaprotestujesz, to innego ci wybierze. Ojciec krzywdy nie da ci zrobić i na siłę za męża nie wyda za człowieka, którego nie chcesz widzieć na oczy – podsumował z zadowoleniem.

– Słyszałem, że ma przybyć Banner11 MacFarlane. Pamiętam, że Ronan kiedyś z jego ojcem rozmawiał, a i ludzie z tego klanu przyjaźni są dla nas. Ich zamek blisko naszego leży, to duża korzyść. A Banner to przystojny i bystry chłopak – stwierdził Carney, wymieniając znaczące spojrzenie z Luthiasem.

– W walce nie jest zaprawiony. Potrzebuję męża, który wstydu mi na bitwie nie przyniesie – mruknęła na odczepnego, wzruszając obojętnie ramionami.

– A Carr12 MacIntre? Dobrze walczy i niegłupi z niego chłopak – ciągnął Luthias.

– Sięga mi do ramion zaledwie. Nie chcę mieć karła za męża – stwierdziła, maskując irytację.

– A Dunlop13 MacKinnon? – zaproponował Carney.

– Tłusty i miecza w ręku nie utrzyma. W żadnej bitwie nie walczył. Jego też nie chcę! – warknęła, coraz bardziej rozdrażniona.

– Więc może MacMillan?

Była coraz bardziej poirytowana ich zachowaniem, czego starała się nie pokazywać, lecz czuła, że jeszcze moment i dosłownie eksploduje.

– Na Bogów, Carney! On ma na imię Gilchrist14! O nim mowy nawet nie ma. Zamiast na bitwę, pobiegłby się modlić. – Spojrzała na chłopaka z niesmakiem, na co Carney pokiwał głową, przyznając jej rację.

– Co myślisz o MacKenzie? – zapytał Luthias.

– Knują z MacAuleyami, nie ufam im – mruknęła.

– Masz rację, gdyby Ronan chciał cię im oddać, to sam bym się z tobą ożenił, chociaż bolesne byłoby to doświadczenie – powiedział Carney ze śmiechem, a ona spojrzała na niego z politowaniem. – A jak ci się

widzi MacNab? – drążył niezrażony.

– Mata15 MacNab pieprzy wszystko, co mu się pod rękę nawinie, obojętnie czy to kobieta, czy mężczyzna – oświadczyła, a oni parsknęli śmiechem.

– Blane ma jedną, ale... – zaczął Luthias, lecz nie pozwoliła mu dokończyć. Zeskoczyła z ogrodzenia i stanęła naprzeciwko, gromiąc ich wściekłym spojrzeniem.

– Jego rzecz, ile ich ma. Może sobie mieć jedną, a może mieć nawet sto! Może nawet pieprzyć osła w stajni! To nie wasza sprawa! Jak ojciec każe, tak zrobię i nic wam do tego! – wrzasnęła, nie zdając sobie sprawy, że krzykiem przyciągnęła spojrzenia pozostałych mężczyzn, w tym Blane'a, który patrzył teraz w ich stronę, mrużąc groźnie oczy.

– A jak wybierze MacKenzie? – Usłyszała głos Ivara, który właśnie do nich podszedł.

– Nie wybierze. Ojciec im nie ufa! Tak jak i ja. Duży ma wybór, więc choćby Brodie w kolejce pierwszy stał, to i tak go z kwitkiem odprawi – mruknęła i pomyślała, że w tym momencie chciałyby mieć przy sobie Gastona. On od razu uciąłby temat. Szybko i bezboleśnie.

– A MacPhee? – Z ust Carneya padła kolejna propozycja.

– Jeżeli wybierze MacPhee, pojnę za męża MacPhee. Nawet gdyby wybrał tego karłowatego MacIntre to ojca posłucham! – oświadczyła zdecydowanie, ujmując się pod boki. – Liczy się dobro klanu. Wyłącznie. A ktokolwiek mężem mym zostanie, będzie robił to, co postanowię, czy to MacMillan, czy MacNab, czy nawet ta kupa mięsa, z którą ojciec już się rozmówił – zakończyła i ujrzała, jak jej rozmówcy gwałtownie odwracają wzrok. Jeden w ziemię teraz patrzył, a drugi w niebo.

Zmarszczyła czoło zdezorientowana. Spojrzała na Ivara, który wpatrywał się w coś za jej plecami i powoli się odwróciła, natykając na wściekłe spojrzenie Blane'a. Otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, ale wyjątkowo żadne słowa nie przychodziły jej do głowy. Ile mógł usłyszeć? Kupa mięsa na pewno dotarła do jego uszu. Tego była pewna. I nie sądziła, aby to określenie mu się spodobało.

– Może chcesz postrzelać z łuku, Vanoro? – wyszeptał, a ona głęboko wciągnęła powietrze. – Nocą nie za dobrze ci to wychodzi. Proponuje, abys poćwiczyła za dnia – dodał znacząco i wyminawszy ją, podszedł do kubła z zimną wodą, którą wylał sobie na głowę. Odrzucił puste naczynie i przeczesał mokre włosy, a następnie powrócił do dziewczyny i strzepnął wodę z dłoni wprost na jej twarz. Otworzyła usta, ale zanim cokolwiek powiedziała, uprzedził ją: – Jestem pewien, że ktokolwiek mężem twoim zostanie, twa urocza osoba pod pantofel go schowa. Jednak ja kimkolwiek nie jestem i robił tego, co postanowisz, nie będę – powiedział spokojnie, ale stanowczo, po czym schylił się i szepnął wprost do jej ucha: – Przemyśl naszą nocną rozmowę, by nieporozumień żadnych później nie było, złośliwy chochliku.

Miała ochotę wrzeszczeć, walić w niego pięściami, kopać i gryźć. Zrobić cokolwiek. Ledwie się powstrzymywała, żeby nie strzelić go w zęby. Przepelniała ją wściekłość, lecz jednocześnie czuła się głupio bezradna i niepewna. Jak miała się zachować? Co powiedzieć? Z jednej strony była wściekła, a z drugiej w pewien sposób wstrząśnięta. To, jak do niej mówił, ton jego głosu i te jednoznaczne, zrozumiałe jedynie dla nich wypowiedzi. Nocna rozmowa i strzelanie z łuku w ciemnościach. Nikt nie miał pojęcia, o co chodziło. To budziło w niej złość i sprawiało, że równocześnie czuła mrowienie w żołądku z zupełnie innych powodów. Jak miała się teraz zachować? Przyglądała jej się wiele par oczu, musiała jakoś zareagować. Zrobić cokolwiek. Na szczęście po raz kolejny z pomocą przyszedł Bothan, który pojawił się jak spod ziemi.

– Chętnie bym się czegoś napił – stwierdził i uśmiechnął się do dziewczyny. – Vanoro, ty też jesteś chyba utrudzona – dodał, a ona zmarszczyła brwi. Faktycznie nieprzespana noc dawała teraz o sobie znać.

– Wracajmy – oznajmił Luthias wesołym głosem. – Ściemnia się. Prawdopodobnie wieczerzę już przygotowano. Nie wiem jak wy, ale głodny jak wilk jestem. – To mówiąc, ruszył w stronę zamku. Pozostali poszli w jego ślady.

Vanora odwróciła się na pięcie i chciała odejść, ale Blane złapał ją za łokieć i przyciągnął do siebie. Popatrzyła na niego ze złością.

– Żal do mnie masz? – zapytał, a ona w tym momencie stwierdziła, że tak naprawdę nie ma o co mieć pretensji.

To ona obelgami go obrzuciła, a on zachował się wyjątkowo powściągliwie, co było raczej do niego niepodobne. Mimo wszystko niczym jej tak naprawdę nie zawinił, a świadkowie zdarzenia nie mieli nawet pojęcia, o czym mówił, gdyż rozmowa czytelna była jedynie dla nich, co było w pewien sposób ekscytujące.

– Nie – odparła spokojnym głosem. – Żadnej urazy do ciebie nie żywię i nie interesuje mnie twoje

zdanie. A strzelać z łuku będę wtedy, kiedy tylko najdzie mnie na to ochota. Czy to noc będzie, czy jasny dzień! Podczas bitwy wszelaka pora wojownika zastaje i aby wygrać potyczkę, również w ciemnościach walczyć trzeba – oświadczyła poirytowana.

– Wojownika? – zapytał z nutką ironii, uśmiechając się pod nosem.

– Miecz dobywam równie często, jak napinam cięciwę! – poinformowała podniesionym głosem, piorunując go wzrokiem.

– Takiegoż oręża w rękach twych nie widziałem – stwierdził złośliwie.

– Bo go przy sobie nie noszę – warknęła.

– Jeżeli aż tak bardzo ci cięży, proponuję wymienić na drewniany. Całkiem lekki jest i stosowny dla twoich wymiarów – rzucił cynicznie i zlustrował ją od góry do dołu, co sprawiło, że rozwścieczona jego wypowiedzią nawrzeszczeć na niego chciała, jednak wzrok Blane'a skutecznie każde słowo w niej zduślił.

– Jestem głodna – poinformowała chłodnym głosem, chcąc jak najszybciej zakończyć kłopotliwy temat. Przewrócił oczyma ze zniecierpliwieniem.

Była taka inna od Brice. Różniły się od siebie niczym dzień od nocy.

Podczas treningu wciąż go rozpraszała. Miał wrażenie, że umyślnie kręci się w jego pobliżu, aby wytrącić go z równowagi. Momentami miał nawet ochotę podejść do niej i wygnać jak kłopotliwego szczeniaka. Czy nie powinna robić teraz czegoś innego? Zajmować się jakimiś kobiecymi sprawami? Przecież była jedynie niewiastą. Powinna szyć, gotować, a ona zamiast tego włóczyła się po placu treningowym i we wszystkim przeszkadzała. Westchnął ciężko.

Prawda była taka, że w tym momencie większym strapieniem była dla niego inna kobieta. Co teraz robiła Brice? Czy rozmawiała z Clachem, bratając się z nim jak równy z równym, co w sumie każdy w niej kochał? Czy może siedziała rozmarzona na stercie drewna, z którego zawsze niezdarnie zeskakiwała, gdy tylko widziała, że do niej podchodził? Czasem z lubością przyglądał jej się z ukrycia, gdy nikt nie widział. Była taka naturalna, taka spontaniczna i taka inna. Wściekała się, złościła i wyklócała jak prawdziwa piekielnica, a jednak każdy z kim miała do czynienia, garnął się do niej i szukał z nią kontaktu pomimo jej awanturniczego usposobienia. Głupi Tormod był w stanie całować ziemię, po której stapała. Bothan był przyjaznym człowiekiem i Blane nie zdziwił się, że ciepło ją potraktował, ale Eilig? Również i on poddał się jej urokowi, co było dla tego mężczyzny sprawą niecodzienną. Jednakże prawdziwy szok wywołało zachowanie Ossiana, który od samego początku miał do Brice zastrzeżenia i nie dążył jej sympatią, wręcz przeciwnie, nie starał się nawet tego ukrywać. W którymś momencie się to zmieniło. A teraz właśnie on mianował ją szkocką diablicą. To było wręcz szokujące.

Co takiego było w tej dziewczynie, że potrafiła zaskarbić sobie łaski dosłownie każdego człowieka? Nie kłaniała się nikomu, nie przypodchlebiała, nie nazywała każdego skurwielem. Bywała zuchwała i bezczelna, bezceremonialnie potrafiła wyklócać się o głupotę, jednak szanowała ludzi, traktowała ich jak przyjaciół, obojętnie kim byli. I nie zawahała się stanąć w czyjejs obronie, choćby był to głupi parobek. W którymś momencie zaczął spoglądać na świat jej oczyma. Rozmawiał z Clachem jak z równym, nie zwracał się do niego jak do podwładnego. Brice w jakiś sposób sprawiła, że poświęcał większą uwagę wielu rzeczom, które do tej pory wydawały się dla niego zupełnie nieistotne. Stała się spoiwem, które w pewien sposób wzmacniało więzi między nim i jego ludźmi. To ona sprawiła, że się do nich zbliżył. Choć oczywiście tłumaczył to sobie po swojemu. Musiał ich przed nią chronić, bo przecież ta diablica mogła niechcący wszystkich pozabijać, a co za tym idzie, z konieczności się z nimi zbratał i częściej w ich towarzystwie przebywał. Więcej z nimi rozmawiał, przy okazji sprawdzał... z kim Brice się spotyka, gdzie chodzi i co robi.

Podczas treningu jego głowę zaprzętała jedynie ona. *Co teraz się z nią stanie?* – pomyślał z żalem i z półobrotu z całej mocy uderzył o miecz przeciwnika, pod którym aż ugięły się kolana. Miał ochotę zadawać ciosy na oślep, wrzeszczeć, wykrzyczeć całą złość, zagubić tę przytłaczającą niemoc. Jednak musiał się powstrzymać, choć przychodziło mu to z ogromnym trudem. Po pierwsze, nie powinien robić z siebie głupca, a po drugie, obawiał się, że mógłby niechcący zabić chłopaka, z którym trenował, a przecież nie wypadało uśmiercać ludzi, u których był w gościnie. *Czy ona wróci do Francji?* – dręczył się w myślach.

– Do czorta! – krzyknął wściekle, ponownie wyprowadzając zbyt agresywny cios.

Zacisnął ze złością szczękę, przypominając sobie noc, w którą przez sen wypowiedziała te głupie słowo... *kocham...* – przywołał w myślach jej niewyraźny szept i poczuł, jak krew burzy mu się w żyłach.

Kogo kochała? O kim śniła? Może to Bothan jest tym, który gościł w jej śnie? Spojrzał ze złością w stronę bruneta. Przyjaciel z przeciwległego końca placu dyskretnie obserwował Vanorę, która weszła właśnie w jakieś wiadro, budząc śmiech stojących obok mężczyzn. Westchnął poirytowany. Rzeczywistość ponownie sprowadziła go brutalnie na ziemię.

Śliczna, młodzianka Vanora, córka naczelnika, która już wkrótce miała spocząć w jego ramionach. Czyż nie powinien się cieszyć? Była piękną dziewczyną, inteligentną i rozsądną. Potrafiła walczyć i szanował ją cały klan. Czy powinien wymagać więcej? To byłoby przecież absurdem.

– Dzieciak – wyszeptał, wpatrując się w wrzeszczącą na Luthiasa i Carneya dziewczynę, która podpierając się pod boki, wściekle wpatrywała się w nieumiejętnie kryjących rozbawienie mężczyzn. Zaintrygowała go ta scena.

Ruszył w ich stronę i już po drodze zdezorientowało go to, o czym wrzeszczała. „Jego rzecz, ile ich ma. Może sobie mieć jedną, a może mieć nawet sto! Może nawet pieprzyć osła w stajni! To nie wasza sprawa! Jak ojciec każe, tak zrobię i nic wam do tego!” Kompletnie zaskoczyło go to, co mówiła. Nie miał pojęcia, jak powinien się teraz zachować. „Liczy się dobro klanu. Wyłącznie”. O tak, bardzo jasno dała mu do zrozumienia poprzedniego wieczoru, że jedynie o klan się troszczy. Uśmiechnął się na wspomnienie jak zareagowała, gdy stanął tuż za nią podczas ich nocnego spotkania. Jednakże już wkrótce nie było mu do śmiechu. „Ktokolwiek mężem mym zostanie, będzie robił to, co postanowię, czy to MacMillan, czy MacNab, czy nawet ta kupa mięsa, z którą ojciec już się rozmówił.” Znowu ta kupa mięsa?! *Czy ona nie mogła choćby jeden raz nazwać mnie skurwielem?* – pomyślał, wzdychając poirytowany. Od tej gówniary nie mógł się spodziewać żadnego szacunku! Brice często się złościła, a jednak potrafiła posłać mu również komplement i „skurwiel” jakoś tak wyjątkowo ładnie brzmiało w jej ustach. Vanora niestety nie miała w sobie subtelności i wołał się powoli przyzwyczajając, że z respektem, jaki mu się należał, mówić do niego nie będzie.

W tym momencie była niczym mały kociak, zupełnie zagubiona. Za wszelką cenę chciała pokazać, że niczym się nie przejmuje i sprawę zamierzała zwalić na ojca, jakby faktycznie on miał decydujące zdanie. Blane wiedział, że tak nie jest. Mógł teraz powiedzieć prawdę, jednak nie zamierzał stawiać jej pod ścianą, ponieważ było mu to obojętne. Sprawa została ustalona, a małżeństwo zaaranżowane. Pozostała kwestia ustalenia konkretnej daty, do czego wcale mu się nie spieszyło.

Patrzył na Vanorę i starał się nie roześmiać. W tym momencie wyglądała jak mały, wściekły wojownik, jakim się obwołała. Jednak zamiast grozy budziła jedynie rozbawienie. Miała potargane włosy, a na twarzy niewielkie, ciemne smugi. Takie same na rękawie jasnej koszuli, niedbale wciągniętej w spodnie. Jedynie po bokach, gdyż z przodu i z tyłu tkanina zwisała nieschludnie. Prawą nogawkę spodni do kolan zmoczona miała w wodzie, co było efektem tego rumoru, który przyciągnął jego wzrok.

Przeczesał dłonią włosy i na moment przymknął oczy. Brice... unurzana w błocie, okładająca Clacha pięściami. A później jej wzrok, gdy zorientowała się, że na nią patrzy. W pierwszej chwili ta niewinność, jakby mówiła: „ale o co chodzi?”, później wściekłość, przeszywający wzrok błyszczących z pasją oczu. Co wtedy powiedziała? Że prowadzili ze sobą kulturalną rozmowę jak normalni ludzie? Niewinna, niewinna, niewinna, zawsze Brice była niewinna. *Głupie babsko* – pomyślał i spojrzał ponownie na stojącą przed nim Vanorę, której najwidoczniej przeszła już złość. Był między nimi tak ogromny kontrast... Czy już zawsze będzie je do siebie przyrównywał?

– Powinnaś się chyba przebrać – stwierdził znacząco. – Nosisz czasem sukienki? – zapytał od niechcienia, gdy szli już w stronę zamku. Obrzuciła go zdezorientowanym spojrzeniem. Jakby właśnie powiedział coś, co nie miało sensu.

– Kiedy ojciec każe, to zakładam suknię, ale na szczęście nie zmusza mnie do tego zbyt często – oświadczyła, krzywiąc się z niechęcią, a on uśmiechnął się pod nosem. Mały szatan. *Czy kiedyś staniesz się choć w połowie taka jak Brice?* – pomyślał z żalem, patrząc w brązowe oczy brunetki.

Nie mógł mieć ich obu, ale czy tak naprawdę tego chciał? Mieć je obie...

11 *Banner* – (ze szkoc.) Dzierżący flagę (przyp. aut.).

12 *Carr* – (ze szkoc.) Maszerujący (przyp. aut.).

13 *Dunlop* – (ze szkoc.) Błotniste wybrzeże (przyp. aut.).

14 *Gilchrist* – (ze szkoc.) Sługa Chrystusa (przyp. aut.).

15 *Mata* – (ze szkoc.) Mateusz (przyp. aut.).

Rozdział 39 Jak mógł tego chcieć



Przed wieczerą Blane wymknął się z zamku i z przyjemnością zanurzył w lodowatych wodach jeziora Loch Duich. Tego mu brakowało po wielogodzinnych zmaganiach na placu treningowym. Gdy powrócił, udał się od razu do przestronnej sali, w której ustawiono w dwóch rzędach stoły, pomiędzy którymi chodził Birk i przygrywał na dudach. Zobaczywszy Ronana pomyślał, że to dobry moment, aby pomówić o zaślubinach, jednak okazało się, że miejsca obok starca były zajęte. Po namyśle stwierdził, że nawiązanie dialogu z Ronanem w obecności bandy podpitych Szkotów niekoniecznie przyniosłoby pożądany efekt. Spojrzał w przeciwną stronę, gdzie siedziała Vanora z Bothanem, po czym ruszył w ich kierunku. Zajął miejsce obok dziewczyny i spojrzał przed siebie. Miał dokładnie na wprost starego MacCalluma, jednak dzieliła ich odległość co najmniej dziesięciu metrów. Chodzący między stołami dudziarz i przekrzykujący się mężczyźni nie dawali Blane'owi możliwości jakiegokolwiek kontaktu z ojcem Vanory. Nie miał oczywiście pojęcia, że nie jest to przypadek i maczała w tym palce Vanora, która obrała sobie za cel odizolowanie Blane'a od ojca, aby utrudnić mu powrót do Francuzki.

Blane ujął w rękę kielich, chcąc napełnić go winem, ale zanim to zrobił, czyjeś drobne dłonie pochwytyły dzban i zrobiły to za niego. Spojrzał w bok i ujrzał jednoznaczne spojrzenie młodej, ładnej dziewczyny. Widział ją już wcześniej i za każdym razem odnosił wrażenie, że go prowokuje.

– To Rhona – poinformowała konspiracyjnym szeptem Vanora. – Ale jeżeli masz ochotę się zabawić, to znajdź inną dziewczkę. Ta przewinęła się przez łóżce prawie wszystkich tu zebranych mężczyzn – zakończyła i roześmiała się na widok wścieklej miny brunetki, która odwróciła się na pięcie i pospiesznie odeszła.

– Nie potrzebuję żadnej dziewczki – powiedział Blane i napił się wina. *Wystarczy mi jedna* – uzupełnił w myślach.

– Wydaje mi się, że Rhonę dotknęły twe słowa, Vanoro – zauważył Bothan, uśmiechając się półgębkiem.

– Przyzwyczaiała się – zapewniła dziewczyna, wzruszając ramionami. Nagle spojrzała w bok i na widok idącego w ich stronę młodego chłopaka twarz jej się rozjaśniła. – Dorrel!16 Chodź do nas – przywołała go radosnym głosem.

Młodzieniec podszedł niepewnie. Był wysoki i przeraźliwie chudy. Ubrany schludne, wręcz pedantyczne. Nie miał na sobie ani kiltu, ani pasa z mieczem. Blane pomyślał, że nie pasował do tego miejsca.

– Witaj, Vanoro – powiedział cichym, melodyjnym głosem i obrzucił ich pospiesznym spojrzeniem. Jego oczy były przedziwne. Ogromne, szare i błyszczące, ale takie... przeraźliwie smutne.

– Ktoś cię dziś niepokoił? – zapytała z troską, na co chłopak się uśmiechnął. Jednak mimo pozornej wesołości jego twarz nadal wydawała się przepelniona smutkiem.

– Nie – uspokoił ją. – Sorcha potrzebowała pomocy i spędziliśmy cały dzień w obejściu. Chyba udam się od razu na spoczynek. Wciąż wynajdywała mi zajęcia i nie przestawała mówić o Luthiasie. Na szczęście później dołączył do nas Birk i dzięki Bogu zmieniliśmy temat – poinformował, wzdychając. Vanora przewróciła oczyma.

– Czyli wszystko po staremu – oświadczyła wesoło, po czym złapała go za rękę i mocno uściśnęła. – Idź. Znajdę cię jutro i wszystko mi opowiesz.

– Miło widzieć cię szczęśliwą – stwierdził, obrzucając siedzących obok mężczyzn pospiesznym spojrzeniem. – Życzę wam udanej zabawy – dorzucił i pożegnawszy się, odszedł.

– Kim jest Birk? – zapytał Blane.

– Birk to siostrzeniec Angusa. Podkochuje się w Sorsze, ale ona skrycie lubuje się w Luthiasie. On natomiast traktuje ją jak siostrę, ale gdy jakiś mężczyzna spojrzy na nią z zainteresowaniem, wtedy potrafi nawet za miecz chwycić – streściła wesoło Vanora.

– Dziś z nią rozmawiałem i istotnie bardzo szybko dołączył do nas Luthias. Nie odszedł, dopóki się nie pożegnałem – poinformował z rozbawieniem Bothan.

– Podoba ci się Sorcha? – dociekała Vanora z zainteresowaniem. Westchnął strapiony. Cóż miał odpowiedzieć?

– To bardzo ładna i miła dziewczyna, lecz nie ona mi się podoba – oświadczył tajemniczo.

Blane w tym momencie chciał jak najszybciej rozmówić się z Ronanem. Pomyślał, że jeżeli posiedzi wystarczająco długo, to starzec w końcu uda się na spoczynek. Wystarczyło jedynie poczekać, a potem odprowadzić go do komnaty. Gdyby ustalili szczegóły, mógłby już następnego dnia ruszyć w drogę powrotną. Jednak z upływem czasu docierało do niego coraz wyraźniej, że tego wieczora rozmowa nie dojdzie do skutku. Wieczera trwała zbyt długo, a na twarzy starca malowało się coraz większe zmęczenie. Postanowił, że najpóźniej jutrzejszego dnia ustali szczegóły i wyruszy choćby nocą.

Rozmawiał zdawkowo z Vanorą i mężczyznami z klanu MacCallum. Wieczór był całkiem przyjemny, chociaż w jakimś stopniu nudny. Jednak to miało się już wkrótce zmienić. W którymś momencie coś zobaczył i z wrażenia aż wstrzymał oddech. Kilka metrów dalej, pod jednym z łuków wiodących do korytarza, stała Brice i spoglądała wprost na niego. Przymknął oczy, myśląc, że to przewidzenie, lecz z sekundy na sekundę upewniał się, iż jakimś cudem jego szkocka diablica tu dotarła, choć w tym momencie nawet nie starał się myśleć, jak to się stało. Nie miał pojęcia, w jaki sposób zareagować, bo przecież musiał coś zrobić. Wyglądało na to, że pojawił się spory problem, a nudny wieczór właśnie się zakończył.

Mieć je obie... Jak mógł tego chcieć?

16 *Dorrel* – (ze szkoc.) Smutek (przyp. aut.).

Rozdział 40 Zło



Stoneheven, Hrabstwo Aberdeenshire, Szkocja.

Niewielka portowa tawerna stojąca tuż przy samym nabrzeżu jak każdej nocy przepelniona była powracającymi z morza rybakami, którzy zawitali tam, aby pokrzepić się kuflem piwa i podzielić wrażeniami z połowu. Po obskurnym pomieszczeniu kręciły się portowe dziwki. O tej porze najłatwiej było im zdobyć klienta, który po udanym połowie chętnie korzystał z proponowanych przez nie usług i miał czym zapłacić.

Na samym końcu obskurnego pomieszczenia przy jednej z ław siedziała młoda kobieta. Pustym wzrokiem spoglądała na przekrzykujących się i wybuchających rubasznym śmiechem pijaków, obłapiających wulgarnie ubrane dziwki. Wydawała się zupełnie nieporuszona tym, co działo się wokoło. Wyglądała niepozornie. Ubrana była w czarną suknię, a obok niej na oparciu ławy przerzucona spoczywała peleryna. Długie, kruczoczarne włosy luźno opadały na ramiona. Miała bladą i dość ładną twarz. W przepastnie czarnych, pozbawionych wyrazu oczach pojawiały się co jakiś czas ledwie widoczne i niedostrzegalne dla postronnych pomarańczowe plamki, które igrały niczym płomień dopalającej się w kaganku świeczki stojącej na środku stołu. W jej wyglądzie nie było nic niezwykłego. Niczym niewyróżniająca się młoda, zwyczajnie ubrana kobieta. Jednak mimo tej niepozorności miała w sobie coś groteskowego, trudnego do zinterpretowania. Być może właśnie ta niepokojąca aura sprawiała, że krążący po lokalu mężczyźni nawet nie próbowali jej zaczepiać. Wystarczyło jedno spojrzenie brunetki, aby trzymali się od niej z daleka.

Przeniosła wzrok na stojący przed nią kielich z winem i uniosła dłoń kilka centymetrów powyżej naczynia. Ledwie dostrzegalnie zaczęła kolistym ruchem wodzić palcem nad miedzianym przedmiotem. Po kilku sekundach wprawiony w ruch czerwony płyn utworzył niewielki wir do momentu, aż jej dłoń zastygła w bezruchu, tak samo jak szkarłatny trunek. Przymknęła oczy i głęboko wciągnęła powietrze, a następnie ujęła puchar w dłoń i upiła kilka łyków.

– Ej, paniusiu! – Do jej uszu dotarł bełkotliwy damski głos.

Spojrzała w stronę, skąd dochodził i ujrzała krzykliwie ubraną, młodą dziewczynę, która wpatrywała się w nią nietrzeźwym spojrzeniem. Liczyła sobie może siedemnaście, góra osiemnaście lat, nie więcej. Wulgarny makijaż miał upiększyć jej twarz, jednak przyniósł odwrotny efekt. Wyglądała karykaturalnie. Obcisły gorset przesadnie eksponował obfity biust, co sprawiało, że widoczne były nawet brodawki. Niechlujnie wygnieciona i brudna spódnica miała głębokie rozcięcie z boku, prawdopodobnie dla wygody przy obsłudze klienta. Nieznajoma brunetka bez emocji przyglądała się idącej w jej stronę dziwce, która ledwie trzymała się na nogach.

– To nie miejsce dla takich damulek jak ty – kontynuowała niezrażenie dziewczyna, zaczepnym i nieprzyjaznym tonem.

Każda kobieta w barze oznaczała konkurencję, nawet gdy była jedynie gościem. Nieskażona inteligencją dziewczyna nie zdawała sobie sprawy z powagi sytuacji ani tym bardziej niebezpieczeństwa, na jakie się w tym momencie narażała. Widząc młodą, samotną kobietę uznała ją za rywalkę, która mogła odebrać jej potencjalnego klienta. Swym wulgarnym i aroganckim zachowaniem chciała ją przepłoszyć.

Nieznajoma w milczeniu spoglądała na opuchniętą, czerwoną twarz dziwki, która do niej podeszła i

provokacyjnie skrzyżowała ręce na piersi. Ignorując awanturnicę, brunetka upiła jeszcze łyk wina, po czym podniosła się z ławy i założyła pelerynę. Ani na chwilę nie odrywała oczu od dziewczyny, która wydawała się teraz lekko zdekoncentrowana i zaniepokojona hipnotycznym spojrzeniem kobiety. Przepelniona niezrozumiałym lękiem wpatrywała się w nieznaną, przez co nie zauważyła, jak ta przed odejściem przejechała dłonią nad kielichem, sprawiając, że czerwony płyn ponownie zawirował. Jednocześnie skinieniem zgasiła płomień świecy. Pomimo że dziwka nie widziała tych czynności, ogarnął ją nagle paniczny strach, który budziła sama obecność tajemnicznej kobiety. Odetchnęła dopiero w momencie, gdy ta odwróciła się i odeszła. Odczuła ulgę. Jakby ktoś nagle wpuścił powietrze do pozbawionego tlenu pomieszczenia.

Wybełkotała pod nosem jakieś przekleństwo i wzięła do ręki kielich, w którym pozostało jeszcze wino, po czym opróżniła go kilkoma łykami.

Wytarła usta wierzchem dłoni i ruszyła w stronę stolika, przy którym siedział jeden z rybaków, jednak już po kilku krokach coś zaczęło palić ją w gardle. Z sekundy na sekundę ból przybierał na sile. Miała wrażenie, jakby ktoś szorował jej przelyk rozgrzanym do czerwoności ostrzem. Ból rozprzestrzenił się po całym ciele, a ona mogłaby przysiąc, że niewidzialne szczypce zrywają z niej całe płyty skóry. Złapała dłońmi za szyję, nie mogąc zaczerpnąć tchu ani wydusić choćby słowa. Łzy, które napłynęły do oczu, zupełnie przesłoniły widoczność. Słyszała śmiechy i krzyki, ale nikt z zebranych nie zwracał na nią uwagi. Jakby nagle stała się niewidzialna. Zrobiła jeszcze kilka kroków, gdy jakiś stołek wysunął się wprost pod jej nogi, sprawiając, że runęła z impetem na podłogę. Uderzenie było tak silne, że czaszka pękła, zostawiając na kamiennej posadzce krew i kawałki mózgu.

Stojąca przed budynkiem brunetka spoglądała w mrok skrywający morskie fale, które dzisiejszej nocy wyjątkowo gwałtownie rozbijały się o skały. Usłyszawszy krzyki dobiegające ze środka tawerny, zawiązała dokładnie sznurek od peleryny i ruszyła przed siebie wolnym krokiem, aby już po chwili zanurzyć się w ciemnościach. Przeszła kilkadziesiąt metrów, gdy drogę zastąpił jej mężczyzna.

– Witaj, bracie – wypowiedziała ostrym tonem.

– Mamy problem, Malum – poinformował brunet. Lekko zmarszczyła czoło, po czym przeniosła wzrok na zbliżającego się do nich młodego mężczyznę. W jednej chwili na jej obliczu odmalował się straszliwy gniew. Uniosła dłoń w stronę blondyna, lecz Raven ją powstrzymał: – Jest nam potrzebny – dodał znacząco.

– Co tu robisz? – wycodziła, tłumiąc wściekłość. – Mieliście czekać na mnie na miejscu – dorzuciła nienawistnym głosem, który zabrzmiał, jakby ktoś pocierał o siebie dwoma kamieniami.

– Ervin postanowił wyjechać ci osobiście na spotkanie – odpowiedział Raven.

Sam nie czuł się pewnie, zdając sobie sprawę, że siostra wyraźnie nakazała im zostać w Eilean Donan i teraz jej gniew był wręcz namacalny, a to nigdy nie wróżyło dobrze. Czuł, że musi postępować ostrożnie, gdyż nie chciał rozjuszyć jej jeszcze bardziej. On również nie był zadowolony z wyjazdu, lecz młody MacCallum naciskał, by wyruszyli wraz z nim.

– Gdy odjeżdżaliśmy, MacLeod jeszcze nie dotarł – powiedział Ervin nieco zdławionym głosem. – Nie ma pewności czy w ogóle przybędzie – dorzucił niepewnie.

Widząc reakcję dziewczyny, przeraził się nie na żarty. Od samego początku napawała go lękiem, lecz nigdy gniewu nie kierowała bezpośrednio na niego. Przeszywające spojrzenie tych zatrwająco groźnych, czarnych jak smoła oczu, takich obojętnych, a jednocześnie tak bardzo przepelnionych okrucieństwem, za każdym razem napełniało go przerażeniem.

Mimo że bliźniacy byli wizualnie bardzo do siebie podobni, ich usposobienia stanowiły zupełnie przeciwieństwa. Raven miał sympatyczną twarz i gdy tego chciał, wyglądał niczym uosobienie łagodności i dobroci, pod którymi kryły się obłuda i nikczemność. Jego charakter pozostawiał wiele do życzenia, jednak o ile brat był rozcieńczonym złem, siostra była koncentratem. Zawsze spowita w czerń i trupio błada na twarzy. Z tym przerażającym, pustym spojrzeniem i obojętnością napawającą panicznym strachem. Nigdy wcześniej nie miał do czynienia z kimś tak pozbawionym emocji. Na jej obliczu nigdy nie zaigrał choćby cień uśmiechu. Malum przerażała go i starał się unikać wszelkiego kontaktu z nią, jednocześnie wiedząc, że mogła być najskuteczniejszą bronią do osiągnięcia obranego celu.

– To, że gdy odjeżdżaliście, jeszcze ich nie było, nie oznacza, że teraz ich tam nie ma – wycodziła przez zaciśnięte zęby, sprawiając, że nawet na twarzy jej brata pojawiła się obawa.

– Ale... – zaczął, lecz nie pozwoliła mu skończyć.

– Dziewczyna dotarła już do Eilean Donan – powiedziała stanowczym głosem i usłyszała za sobą jakiś dźwięk. Odwróciła się gwałtownie i spojrzała w dwukolorowe oczy młodszej siostry. – Mogłeś zostawić chociaż Tenebris – wysyczała w kierunku Ravena, przenosząc na niego wzrok i sprawiając, że mężczyzna cofnął się o krok.

Przez chwilę panowało grobowe milczenie. Cisza była wręcz namacalna. Każde z nich wiedziało, że Malum nie przyjmie dobrze decyzji o ich wyjeździe, jednak nie mieli pojęcia, że skala gniewu będzie tak ogromna.

– Możemy wyruszyć w drogę powrotną od razu. Jeżeli wyjedziemy teraz, to za dzień lub dwa dotrzemy na miejsce – zaproponował Raven, na którego obliczu pojawiła się nagła ekscytacja, gdy tylko usłyszał, że dziewczyna jest już w Eilean Donan.

– Gdzie są konie? – zapytała Malum, wpatrując się w niego świdrującym wzrokiem. Nie spodobała jej się reakcja brata. Te niezdrowe emocje osłabiały jego umysł, a powinien być teraz w stu procentach skupiony na sprawie.

– Ja nie jadę! – oznajmił stanowczym głosem Ervin. Popatrzyli na niego zaskoczeni. Chłopak przełknął głośno ślinę i z obawą cofnął się o krok, ale nie zamierzał ustąpić. – Muszę się z kimś spotkać na angielskim dworze i zamierzam...

– Jedziemy do Eilean Donan – przerwała mu lodowatym głosem Malum, wbijając wzrok w jego błękitne, przepelnione łękiem oczy.

– Ja nie wracam! Potrzebuję kilku dni, aby zobaczyć się z moim przyjacielem. To dla mnie bardzo ważne. Później możemy udać się do mojego ojca, ale... – Przerwał, czując, jak kołnierz koszuli zaciska mu się na szyi. Próbował bezskutecznie poluzować jasny materiał, jednak ten przypominał gruby powróż zakładany skazańcom przed egzekucją. Z każdą chwilą ogarniało go coraz większe przerażenie. W głównej mierze powodował je fakt, że stojąca przed nim Malum wbijała wzrok dokładnie w jego szyję. Wyrażenie „zabić wzrokiem” w przypadku tej kobiety miało uzasadnioną rację bytu.

– Ruszmy bez niego – zaproponował niepewnie Raven. Siostra przeniosła na niego spojrzenie, co sprawiło, że materiał koszuli Ervina nagle się poluzował, dopuszczając do jego płuc powietrze. – Vanora mnie zna, poczekamy na miejscu, aż Ervin załatwi swoje sprawy w Anglii i wróci. Przez ten czas zdążymy przyjrzeć się dziewczynie i... – zaczął, lecz Malum nie dała mu dokończyć, łapiąc go gwałtownie za rękaw i szarpnięciem odciągając na bok.

Przez dłuższą chwilę świdrowała go spojrzeniem, a on miał wrażenie, że dosłownie czyta mu w myślach. W tym momencie bardzo żałował, że posłuchał Ervina i nie zmusił go do pozostania w Eilean Donan. Jeżeli faktycznie Francuzka dotarła na miejsce, miałyby okazję pobyć z nią sam na sam przed przybyciem Malum. Prawdę mówiąc, nie wiedział, co zaplanowała siostra i jakie ma w stosunku do niej plany. Nie miał pojęcia, dlaczego tak bardzo zależało jej na cudzoziemce. Do tej pory nigdy się tak nie zachowywała i nigdy nie okazywała żadnych emocji. Teraz gniew aż od niej zionął.

– Pojedziemy z nim – oznajmiła stanowczo Malum. – Nie ufam mu i wole mieć na niego oko, a jak widzę na tobie również nie mogę polegać. – Jej słowa go zaniepokoiły. Wiedział, do czego jest zdolna.

– Ktoś powinien być tam na miejscu – rzucił niepewnie.

– Owszem, masz rację. Ktoś musi tam być i ktoś będzie – warknęła ochryplym, nieprzyjemnym głosem, przenosząc wzrok na stojącą przy drewnianym ogrodzeniu Tenebris, która rzucała kamieniami w stronę spowitego ciemnością morza. Raven wykrzywił się złośliwie.

– Zabierz ją ze sobą. Ja wrócę do Eilean Donan i zajmę się dziewczyną – zaprotestował.

Malum nie ufała Erwinowi i wołała udać się wraz z nim. Chłopak uparł się, aby pojechali do jego kochanka, a był mocno zaangażowany w ten związek. W innym przypadku bez problemu odwiedłaby go od zamiaru i wróciłiby do Eilean Donan. Teraz również nie miałyby z tym problemu, jednak niepokoiły ją niezdrowe emocje, jakie wykazywał Raven w stosunku do dziewczyny. Uznała, że powinna ostudzić jego zapał i najlepiej zrobić to gdzieś daleko, więc zachcianka Ervina była jej poniekąd na rękę.

– Ty jedziesz ze mną, bracie. Tenebris wraca do Eilean Donan – powiedziała nieznoszącym sprzeciwu tonem. Raven zacisnął dłonie w pięści. Przy takim obrocie spraw obawiał się już teraz powiedzieć cokolwiek. Prawda była taka, że się jej bał. Znał siostrę i wiedział, że nie zawahałaby się przed niczym. Nawet w stosunku do niego.

Tenebris spoglądała na rodzeństwo z niepokojem. Wiedziała, że Malum rozwścieczy fakt, iż jej nie posłuchali, ale prawdę mówiąc liczyła na to, że wyjadą do Anglii i sprawa wystarczająco długo się przeciągnie. Zdziwiła się, usłyszawszy, że ma wracać do Eilean Donan.

– Ale dlaczego... – Zanim dokończyła, Malum wymierzyła jej siarczasty policzek.

– Rób, co mówię! – nakazała nienawistnym głosem siostra. Tenebris zacisnęła zęby i spuściła głowę.

– Rozumiem – powiedziała opanowanym głosem. To nie była dla niej nowość, lecz w ostatnim czasie ogarniały ją skrajne emocje, których teraz za nic w świecie nie mogła pokazać. – Co dokładnie mam robić?

– Wrócić i pilnować dziewczyny. Gdyby chciała wyjechać, masz ją powstrzymać. Zabij każdego, kto spróbuje się wtrącić – oznajmiła chłodno Malum.

– Czy mogę wiedzieć, jak długo was nie będzie? – zapytała z pozoru obojętnym głosem i ujrzała, jak siostra mruży podejrzliwie oczy. Zaniepokoiła się.

– Wrócimy po Lunastdal – poinformowała rzeczowo.

Tenebris odetchnęła z ulgą. Do święta zostało trochę czasu. Prawie miesiąc. Dzięki temu będzie miała możliwość przemyśleć sytuację. Złożyła Gastonowi obietnicę, której zamierzała dotrzymać. Na szczęście Ervin swoją nieoczekiwaną zachcianką zrobił jej przysługę. Była zadowolona również z tego, że brat nie wraca z nią do Eilean Donan. Wyglądało na to, że w tym wypadku obie z Malum chciały tego samego. Trzymać go z dala od cudzoziemki. Tenebris doskonale zdawała sobie sprawę, że siostra ma na Ravena swoje sposoby i prawdopodobnie zanim wróca, zrobi mu małe pranie mózgu.

– Ruszam natychmiast – oznajmiła, po czym odwróciła się i chciała odejść.

– Czy jest coś, o czym powinnam wiedzieć? – Chłodny głos siostry sprawił, że poczuła dreszcze. Zatrzymała się w pół kroku i spojrzała przez ramię w stronę brunetki.

– Myślałam, że ty zawsze wiesz wszystko, Malum – stwierdziła spokojnym głosem. Widziała w oczach siostry gniew, lecz wytrzymała jej spojrzenie. – Mogę już odejść? – zapytała po krótkiej chwili.

– Wiem więcej niż myślisz – poinformowała złowieszczo brunetka, jednak Tenebris czuła, że to blef. Były rzeczy, które nawet dla Malum pozostaną tajemnicą.

Całe życie nią manipulowali. Była marionetką, robiła wszystko, czego zażądali. Nigdy nie oczekiwali od niej żadnych emocji, musiała w milczeniu, bez sprzeciwu wykonywać polecenia. Jednak w tej chwili nie było im na rękę, że wyraz jej twarzy zawsze pozostawał niezmienny, a ona sama nie dawała po sobie poznać, co takiego dzieje się w jej głowie.

– Zajmę się dziewczyną do waszego powrotu, a każdego, kto wejdzie mi w drogę, zabiję – oświadczyła spokojnie i odeszła.

Nie czekała ani chwili. Osiodłała gniadą klacz i już wkrótce znalazła się na trakcie wiodącym do Aberdeen. Jadąc przez Ballater droga wiodłaby przez góry, lecz nie chciała forsować konia, a nie musiała się śpieszyć. Niezbyt często miała okazję zostawać sama na tak długo, zawsze rozliczano ją z czasu, nawet wtedy, gdy musiała udać się gdzieś w dalszą drogę. Tym razem miała dla siebie prawie miesiąc. Czuła się z tym dość dziwnie. Tak wiele dni bez kontroli, bez wykonywania poleceń, bez konieczności ciągłego zabijania.

Wiedziała, że gdyby podróżowała z Malum, ruszyliby trasą przez Ballater, gdyż w pobliżu znajdował się zamek Braemar, a tam mieszkał ktoś, z kim Malum zamierzała spotkać się przed przybyciem do Eilean Donan. I to również samo w sobie stanowiło duży problem. Jednak teraz miała dogodną okazję na spokojne przemyślenie sprawy i znalezienie dobrego rozwiązania na problemy, jakie niewątpliwie spowoduje jej siostra. Lammas świętowano na przełomie miesiąca, a do Elembiuos¹⁷ zostało jeszcze sporo czasu. Byłoby oczywiście łatwiej, gdyby wiedziała, dlaczego Malum tak zależy na dotarciu do cudzoziemki, ale nawet Raven nie miał o tym pojęcia. To jedyna rzecz, którą się z nim nie podzieliła.

¹⁷ W starożytnej Szkocji miesiące miały inne nazwy i były dość specyficzne. Przełom sierpnia i lipca nazywany był *Elembiuos*. W dosłownym tłumaczeniu celtyckiej nazwy – Czas żądania (przyp. aut.).

Rozdział 41 Wąż



Braemar Castle, Hrabstwo Aberdeenshire, Szkocja

Nathair¹⁸ MacAulay wbiegł pospiesznie po schodach na ostatnie piętro zamku. Już na korytarzu usłyszał znajome odgłosy i skrzywił się z niesmakiem. *Znowu* – pomyślał z obrzydzeniem i bez pukania otworzył drzwi komnaty, w której zastał brata.

Krępy, niski, lekko łysiejący mężczyzna kopulował właśnie z dziewczką kuchenną, która leżała brzuchem na lepiącym się od brudu stole z zadartą na plecy płócienną spódnicą. W dłoni trzymał butelkę z winem, z której co chwila pociągał solidny łyk czerwonego płynu, jęcząc przy tym jak zarzynane prosię. W odróżnieniu od niego kobieta nie wydawała z siebie żadnego dźwięku. Takie sytuacje były dla niej codziennością i traktowała je jak wypróżnianie się w wychodku. Ona i pozostałe kobiety mieszkające na zamku.

Trzydziestopięcioletni Murray¹⁹ MacAuley cierpiał na nadpobudliwość seksualną i dziewczki wzywał do swej komnaty po kil-ka, czasem nawet kilkanaście razy dziennie. Gdy przekraczały próg, bez słowa zadzierały suknię i wypinały tyłek, aby mógł sobie ulżyć. Niczego więcej od nich nie wymagał. Prawdziwą sielanką były dla niego wygrane bitwy i palone osady, gdzie przed dobieciem wieśniaków gwałcił wszystkie kobiety, czy to osiemdziesięcioletnie staruszki, czy pięcioletnie dziewczynki. Jeżeli zaszła taka potrzeba, nie pogardził nawet męskim zadem.

- Czego chcesz? – wystękał, nie przerywając wykonywanej czynności.
- Musimy porozmawiać – oznajmił stanowczo brat.
- Mów – wydusił zdławionym głosem Murray i przyspieszył tempo.
- Przestań. Sprawa jest ważna.
- Już kończę. Jeszcze chwila... jeszcze... – Jęki przybrały na sile.

Nathair poczuł obrzydzenie. Podszedł do okna, otworzył je szeroko i głęboko odetchnął nocnym powietrzem. Słyszał coraz szybsze posapywania, które w końcu przerodziły się w odrażający, kwiczący odgłos. Odwrócił się w chwili, gdy Murray wyciągał swój organ rozrodczy z kobiety, która pospiesznie wstała i opuściła suknię. Zanim wyszła, wytarł jeszcze umazaną spermą dłoń o jej bluzkę.

- Następnym razem niech przyjdzie Wynda²⁰. Mam dość twojego chudego zadka – nakazał gburliwym tonem. Na twarzy dziewczyny odmalowała się ulga. – Teraz mów! – zażądał, zwracając się do brata. – Co takiego cię sprowadza, że nie mogłeś poczekać do rana? Nie widziałeś, że byłem zajęty?
- Ślepy by zobaczył, a głuchy usłyszał – mruknął pod nosem. – Gdybyś ograniczył się do dwóch, trzech dziewczek nie miałbyś tyle dzieci – dorzucił z naganą.

Jurność jego brata stanowiła duży problem i nieraz miał ochotę najzwyczajniej w świecie go wykastrować. Na zamku i w pobliskich wsiach pałętało się mnóstwo smarkaczy do złudzenia przypominających Murraya, a gdy któraś dziewczka zachodziła w ciążę, prawie za każdym razem to on był ojcem. Nathair zdawał sobie jednak sprawę, że brat nie panuje nad popędem i jest to schorzenie, a nie zachcianka. Niestety nie zawsze udawało się w porę spędzić płód i przybywało gęb do wyżywienia. Zdarzało się, że gdy rodziła się dziewczynka, pozbywano się jej zaraz po urodzeniu, aby nie spółkował ze swymi dziećmi.

– Jedna mi nie wystarczy – poinformował rubasznym głosem Murray.

Nahair ciężko westchnął. Nie miał teraz ochoty na pogadanki o jego łózkowych potrzebach.

– Blane MacLeod jest w Eilean Donan – powiedział krótko, na co siedzący przy stole brat powstał gwałtownie i ze złością cisnął butelką w ścianę.

– A jednak! – wrzasnął wściekle i uderzył dłońmi w drewniany, lepący się od brudu blat.

– Mówiłem, że będzie starał się o córkę starego MacCalluma – mruknął pośpiesznie Nathair. – Nie wierzyłeś.

– Brodie21 MacKenzie twierdził, że MacLeod jej nie chce. Ma ponoć jakąś dziwkę z zagranicy. Każdy o niej słyszał. Nawet do mnie wieści dotarły. Brodie powiadał, że jeno ją trzyma w łóżu i innej nie chce! – krzyknął.

– Do czorta, Murray, on nie z tych, co dziwkę długo w łóżu przetrzymują. Zresztą może mieć ją i za żonę wziąć Vanorę.

– Ciekawe, co to za dziewczka. Wiesz coś o niej? W łóżku musi być...

– Nie wiem i nie chcę wiedzieć! Przystań myśleć jedynie o pieprzeniu. Większy mamy problem niż jakaś zagraniczna ladacznica! Jeżeli MacLeod połączy się z MacCallumem będziemy zgubieni i nawet wsparcie klanu MacKenzie nam nie pomoże! – wrzasnął na brata, aż ten poczerwieniał na twarzy. Spoglądał teraz na niego nieco zaskoczony. Rzadko kiedy Nathair tak się denerwował.

Od zawsze łączył ich dość nietypowy układ.

Po śmierci ojca funkcję naczelnika przejął najstarszy syn, Murray.

Jednak dla każdego było jasne, że to Nathair podejmuje decyzje i dowodzi klanem, a Murraemu to zupełnie nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie, był typem człowieka, który chętnie się kimś wysługiwał i zwał na innych odpowiedzialność. On sam lubił jedynie pieprzyć i zabijać. Aktywność wykazywał w bitwach, ponieważ na nich mógł bezkarnie przelewać krew i dokonywać gwałtów. Tylko krzyki, płacz i błaganie o litość dawały mu prawdziwe spełnienie. Podczas aktów cielesnych delektował się myślą, że chwilę po szczytowaniu poderżnie ofierze gardło albo wypruje bebechy. Czasem robił to w trakcie. Na zamku nie było mowy o zabijaniu, a kobiety przyzwyczyły się do codziennego spółkowania i leżały pod nim jak materac; nie wydając żadnego dźwięku. W takich okolicznościach nie doświadczał przyjemności. Spełniał tylko potrzebę, której domagał się jego nadpobudliwy organizm. Mógł sobie jedynie wyobrazić rzeczy, które chciałby zrobić.

Był niski, miał sporą nadwagę oraz ogniście rude, przeredzone włosy z łysym plackiem na czubku głowy. Czerwony na twarzy z małymi, blisko osadzonymi oczami, nosem jak kartofel i zaciętymi ustami już na pierwszy rzut oka wyglądał odpychająco, co skutecznie odstraszało od niego kobiety. W przeciwieństwie do brata Nathair był mężczyzną zarówno inteligentnym, jak i przystojnym. Wygląd odziedziczył po matce, córce bogatego angielskiego kupca, która na swoje nieszczęście spodobała się ojcu Nahaira. Miała piętnaście lat, gdy ją uprowadził i wbrew woli pojął za żonę, a następnie więził przez kolejne dwa lata. Gwałcona i bita pogodziła się z losem i zaniechała ucieczek, kiedy powiła pierwsze dziecko, a mąż zagroził, że gdy odejdzie, nie ujrzy już nigdy syna. Śliczna, młodziutka Angielka była najpiękniejszą kobietą w klanie.

Nathair miał teraz dwadzieścia osiem lat. Był wysoki, smukły i doskonale zbudowany. Miał ciemną karnację, kruczoczarne gęste włosy i czarne oczy. Budził w kobietach zachwyt, jednak trzymał się od nich z daleka, uwagę poświęcając sprawom dotyczącym klanu. Niewiele mówił, ale zawsze uważnie słuchał i obserwował. Ludzi trzymał na dystans, co było dość łatwe z racji tego, że jego marionetką był Murray, na którym skupiała się cała uwaga, pomimo że spełniał jedynie polecenia młodszego brata. Nahair był przebiegłym człowiekiem i tak naprawdę nigdy nikogo do siebie nie dopuścił.

Miał jeszcze troje rodzeństwa. Dwie siostry i brata. Starsza z sióstr, dziesiętnastoletnia Grizel22 z usposobienia przypominała Murraya. Była dziewczyną przeciętnej urody. Sylwetkę miała krępa i lekko ociosaną, jednak twarz całkiem ładną.

Długie, rude włosy przyciągały uwagę, lecz niczym innym się nie wyróżniała. Jej charakter pozostawiał wiele do życzenia. Należała do osób hałaśliwych i cechowała się egoizmem. Potrafiła knuć i zawsze miała swoje zdanie, a każdy, kto miał inne; mylił się. Nie była dziewczyną, która utknęła w kuchni albo zajmowała się kobiecymi sprawami, wręcz przeciwnie, lubiła przebywać z mężczyznami i z racji rangi często dawała im odczuć, że jest siostrą naczelnika, której należy się specjalne traktowanie. Ludzie nie przepadali za nią, choć większość mężczyzn często gościła między jej nogami. Zdarzało się nawet, że wbrew

swej woli. Powszechnie wiadomo, że nawet Murray składał jej czasem nocne wizyty, o czym głośno się nie mówiło, o co osobiście zadbał Nathair.

Młodsza siostra, Effie²³, liczyła sobie niecałe dwanaście lat i była zupełnym przeciwieństwem Grizel. Figurę miała drobną i chłopcę, włosy szare oraz rzadkie, a buzię bladą i wiecznie złęczoną. Jedyne, co ją wyróżniało, to przeogromne oczy o niespotykanym turkusowym kolorze. Zawsze łagodne i dobrotliwe. Tę jedną rzecz odziedziczyła po matce. Każdemu schodziła z drogi. Była spokojną dziewczynką, którą często bez powodu karano.

Najmłodszy chłopiec, Ear²⁴, miał dziewięć lat i jego charakter dopiero się kształtował. Był dobrym dzieckiem. Pogodnym i uczynnym, jednak z każdą chwilą coraz bardziej zafascynowanym starszymi braćmi. Ku ogromnemu rozczarowaniu małej Effie, która cierpiała widząc zmiany, jakie zachodziły w chłopcu.

– Klany MacKenzie i MacCallum żadnej bitwy przeciw sobie nie stoczyły. A Brodie to niegłupi człowiek, zobaczysz, że stary Ronan weźmie go pod uwagę w wyborze męża dla swej córki – mruknął ponuro Murray, niezadowolony z wybuchu brata, który zawsze odnosił się do niego stanowczo, jednak zachowywał pozory. Tym razem rozsierdził się nie na żarty.

– Może i wziąłby go pod uwagę, gdyby nie wiedział, że z nami za pan brat żyje, ty durniu! – rozwiął jego nadzieję Nathair. Murray ciężko westchnął. Może faktycznie zbyt bagatelizował sprawę?

Od początku obawiali się połączenia klanów MacLeod i MacCallum i mieli nadzieję, że do tego nie dojdzie. Niestety wiadomość o przybyciu Blane'a do Eilean Donan była jednoznaczna. Z wizytą towarzyską tam nie pojechał.

– Są i dobre strony tego, że MacLeod przebywa w Eilean Donan – stwierdził Murray, budząc ciekawość brata. – Ardvreck został bez naczelnika – powiedział zachęcająco, z fałszywym uśmiechem.

– Pomyśl logicznie, choć jeden raz! – krzyknął Nahair. – Jeżeli Ardvreck najedziemy, to z odsieczą oba klany ruszą, a wtedy nas zdziesiątkują. Ronan nie puściłby płazem, gdyby podczas wizyty Blane'a coś się jego ludziom w Ardvreck stało, a z racji tego że MacCallum Vanorę chce ożenić, inne klany chętnie by mu dopomogły. Nie mówiąc już o samym Zwierzu, którego gniew byłby wtedy nie do opanowania – podsumował już spokojnie.

– Czuję, że w tej sprawie może nam się przydać owa cudzoziemka – powiedział po namyśle rudzielec, uśmiechając się chytrze. Nahair jęknął w duchu.

– O czym ty, u licha, bredzisz, ośle? – Powoli tracił cierpliwość. Jego brat był idiotą, dla nikogo nie było tajemnicą, że z mózgu rzadko robił użytek. Jednak w tym układzie musieli zachować choćby nikłe pozory, że współpracują. Niestety teraz znaleźli się w kiepskim położeniu. Ich klan już od wielu pokoleń próbował podbić Ardvreck i zająć ziemie MacLeoda. Bezskutecznie. Nahair złożył przysięgę umierającemu ojcu, że tego dokona. I zamierzał jej dotrzymać.

– Jeżeli ta dziewczka jest dla MacLeoda aż tak cenna, to dla nas może być jeszcze bardziej – podsunął Murray, budząc żywe zainteresowanie w oczach brata, na którego ustach już po chwili zaigrał przebiegły uśmieszek.

– Masz rację – wydusił.

Prawda była taka, że nie miał pojęcia, co to za dziewczyna. Wieść niesła, że Blane odbił ją od nich z niewoli, ale on żadnej nie pamiętał, która niewolę w jednym kawałku by przetrwała. A na pewno wiedziałby o zniewoleniu, tym bardziej że panna była cudzoziemką.

Ponoć Blane zrobił z niej później nałożnicę i inne dziewczki odprawił, więc musiało mu na niej zależeć, skoro tyle uwagi jej poświęcił. Może nie była zwyczajną chłopką, tylko ze szlachty się wywodziła? Mimo wszystko zostawił ją i o Vanorę się starał, więc mogło być też tak, że przestała się dla niego liczyć. Jednak jeżeli od początku ją faworyzował, to prawdopodobnie zechce mieć je obie. A wtedy mogliby tę sytuację wykorzystać, pozbawiając go cennej dla niego rzeczy. Vanory nie mogli tknąć, ale jakąś zagraniczną dziwką nikt się nie będzie przejmował. *Nikt oprócz Blane'a* – pomyślał i uśmiechnął się pod nosem. Tak, warto iść tym tropem.

– Więc co robimy? – naciskał podekscytowanym głosem Murray.

– Nic – stwierdził krótko Nahair i ujrzał zdezorientowane spojrzenie brata. – Musimy poczekać na Malum – zdecydował.

– Nie lubię tej suki. Zawsze, gdy na mnie patrzy, mam wrażenie, że łążą po mnie robaki – powiedział rudzielec i splunął na brudną podłogę.

– Pieprzyć nikt ci jej nie każe.

– Ale...

– Bez gadania! – przerwał stanowczo. – Też nie przepadam za jej towarzystwem, ale sama do nas przysłała i pomoc w zniszczeniu MacLeoda zaproponowała, a takiej propozycji nie możemy odrzucić.

– Ciekawe, jaki ma w tym interes – wymamrotał niezadowolony. Nahair zacisnęła szczękę, starając się nie wybuchnąć gniewem. Doskonale wiedział, jaki interes ma w tym Malum. Nie znał jedynie szczegółów.

– Nie nasza w tym rzecz.

– Ludzie gadają, że to czarownica – szepnęła cicho Murray.

– Nie jest nią – zaprzeczył odruchowo, jednak w porę ugryzł się w język. Lepiej, żeby ten przygłup nie wiedział zbyt wiele. Lubił czasami podzielić się informacjami z Grizel, a to nie przyniosłoby niczego dobrego. – Jeśli to czarownica, to tym bardziej nam się przyda. Kazała czekać na jej przybycie, więc poczekamy.

Znał sekret Malum i pozostawał żywy tylko dlatego, że poznała tajemnicę, którą on ukrywał przed światem. Dlatego nie zamierzał dopuścić, aby dowiedziano się, że w bliskim otoczeniu Blane'a znajduje się ktoś, kto jako jedyny może zdemaskować Malum i to właśnie do niego chce dotrzeć. Nie miał pojęcia, kim jest ta osoba, ale nie musiał znać szczegółów. Ważne było jedno. Mieli ten sam cel, którym był MacLeod. Ona chciała mu coś odebrać, a on miał zamiar dopilnować, aby przy tej okazji życie stracił również Blane, pozostawiając klan bez naczelnika, co zamierzał wykorzystać i ze wsparciem MacKenzie zdziesiątkować MacLeodów, a następnie przejąć Ardvreck.

– Ile chcesz na tę sukę czekać? – dopytywał Murray.

– Tyle, ile będzie trzeba. I dopóki do nas nie zawita, niczego nie zrobimy – zdecydował.

– Tylko, że...

– Liczy się jedynie to, aby zniszczyć MacLeoda! – Po raz kolejny nie dopuścił brata do głosu. – Przekup kogoś w Eilean Donan, chcę wiedzieć, co tam się dzieje. I niech dowiedzą się czegoś o tej cudzoziemce – nakazał rzeczowo i nie czekając na odpowiedź, wyszedł.

Zbiegł ze schodów, chcąc udać się do komnaty. Po drodze prawie wdepnął w śpiącą na stopniach Effie. Była taka drobniutka, że nie dostrzegł jej w ciemnościach. Przykucnął i szarpnięciem zbudził dziecko, które, złężnione, od razu odskoczyło, lecz na widok brata uspokoiła się i słabo uśmiechnęła.

– Czemu śpisz na schodach? – zapytał cicho i pogłaskał dziewczynkę po szarych, polepionych kosmykach włosów.

– Grizel mnie wygnała i zakazała sobie w drogę wchodzić – wyszeptwała smutno i ziewnęła. – Na dworze zimno, ale jak mnie znajdzie to pójdę spać do stajni, nie chcę, żeby znowu kijem mnie obija – dodała, a on westchnął.

Nie wiedzieć czemu, ale zawsze miał do tej małej słabość. Z całego rodzeństwa jedynie Effie była mu w jakimś stopniu bliska, czego nigdy przy ludziach nie okazywał. Lecz gdy zostawali sami, nie krył ciepłych uczuć. Przynosił jej słodycze i dbał, aby była najedzona. Czasem rozmawiali i niebywałą przyjemność sprawiało mu zaufanie, jakim go darzyła. Było między nimi takie ciche porozumienie, o którym wiedzieli jedynie oni. Opętany złem, fałszywy, mściwy oraz okrutny, jedynymi dobrymi uczynkami, jakie kiedykolwiek zrobił, obdarzał tę małą paskudę.

Wziął dziewczynkę na ręce i zaniósł do jednej z komnat gościnnych. Uprzednio sprawdził, czy nikogo tam nie ma, a gdy upewnił się, że mała będzie bezpieczna, postawił ją na podłodze i kucnął przy niej. Wyjął z kieszeni owsiane ciastko i wsadził dzieciakowi w rękę. Uśmiechnął się lekko na widok radości na jej twarzy. W takich chwilach nie myślał o złych rzeczach, których dokonał i tych, które dopiero zamierzał zrobić. Stawały się nieistotne. Liczyło się tylko to wpatrzone w niego niczym w obrazek dziecko. Małeńka dziewczynka, która nie dostrzegała w nim żadnego zła. Przez te krótkie chwile czuł się, jakby faktycznie był taki, jakim go widziała.

– Zjedz – nakazał. – Gdy wyjdę, podstaw stołek pod drzwi i nikogo nie wpuszczaj. Wyśpij się dobrze, a rano zejdź do kuchni. Dopilnuję, abyś dostała śniadanie.

– Dziękuję – wyszeptwała mała z wdzięcznością. – Jesteś najlepszym bratem na świecie – dodała entuzjastycznie, a on westchnął. *Mały, naiwny dzieciak* – pomyślał, lecz nic nie powiedział. Ten zachwyt w jej oczach... A przecież nie otrzymała nic poza zwyczajnym sucharem i wygodnym łóżkiem. Dla niego zaś jej słowa były bezcenne. Jedynie ona widziała w nim dobro. Ale prawda była taka, że jedynie ją tak

traktował. I sam nie miał pojęcia, dlaczego wybrał właśnie taką nic niewartą paskudę. Małe, wiecznie wypłoszone, brzydkie popychadło. Może to przez te oczy...

– Idź spać – powiedział łagodnie i potarł ją po lichych włosach, a następnie odszedł.

Wszedł do swej komnaty i od razu podszedł do okna, które szeroko otworzył, wpuszczając do pomieszczenia światło księżycy. Zdjął kaftan i odrzucił pod ścianę. Rozdarł koszulę i również ją rzucił na podłogę. Głęboko oddychał. Takie chwile słabości pomieszane z gwałtownymi emocjami zawsze coś w nim wyzwalały.

Położył dłoń na kluczu, który miał zawieszony na srebrnym łańcuszku i zdjął go z szyi. Podszedł do kotary wiszącej na ścianie po drugiej stronie pokoju i odsunął ją gwałtownym szarpnięciem, odsłaniając czarne, wąskie drzwi ukryte w niewielkiej wnęce. Wsadził klucz w zamek i powolnym ruchem go przekręcił. To było jego miejsce, nikomu nieznane pomieszczenie, które skrywało jego największy sekret. Przekroczył progi, zamykając za sobą drzwi, zza których już po chwili dobiegł kobiecy szloch...

18 *Nathair* – (ze szkoc.) Wąż (przyp. aut.).

19 *Murray* – (ze szkoc.) Żeglarz, człowiek morza (przyp. aut.).

20 *Wynda* – (ze szkoc.) Z wąskiego przejścia (przyp. aut.).

21 *Brodie* – (ze szkoc.) Z rowu (przyp. aut.).

22 *Grizel* – (ze szkoc.) Szara wojowniczką (przyp. aut.).

23 *Effie* – (ze szkoc.) Z dobrą reputacją (przyp. aut.).

24 *Ear* – (ze szkoc.) Ze wschodu (przyp. aut.).

Podziękowania

Osób, którym chciałabym podziękować jest tak wiele, że w kilku zdaniach nie byłabym w stanie ich wymienić, jednak chciałabym kilka z nich wyróżnić.

Ostatnie miesiące to dla mnie bardzo intensywny, pełen skrajnych emocji okres, który zmienił moje postrzeganie świata i przegrupował priorytety. Poznałam wspaniałych ludzi, którzy, z pozoru zwyczajni, są prawdziwymi bohaterami, takim cichymi, niedostrzegalnymi. Dziękuję przede wszystkim Pani Ani Jagodzie, wspaniałej kobiecie o ogromnym sercu, która była dla mnie takim „pierwszym krokiem” i od której wszystko się zaczęło. Pani Magdzie Rychlewskiej, Pani Ewie Białkowskiej i każdemu pracownikowi Schroniska dla bezdomnych zwierząt w Skierniewicach.

Również Pani doktor Joannie Michalskiej i Pani doktor Mai. Zawsze dodawały mi otuchy i pokazały, czym jest nadzieja, gdy człowiek czuje się kompletnie bezsilny. Chociaż czasami nasze spotkania były okupione łzami, jednak wiele mnie nauczyły. Po ośmiu porażkach nastąpiły cztery małe cudy i jest w tym Wasza zasługa. Mam nadzieję, że tych sukcesów będzie więcej.

W podziękowaniach chciałabym wyróżnić również Justynę Sieprawsą, dla której bywam istnym wrzodem na tyłku, ale to dzięki niej moje powieści mają tak piękną oprawę.

Standardowo dziękuję mojej rodzinie, przyjaciołom, wydawnictwu WasPos i w głównej mierze Tobie, czytelniku. Cieszę się, że jesteś. Mam nadzieję, że spotkamy się w kontynuacji Deja Vu i nie tylko. Mam Ci jeszcze dużo do opowiedzenia :)

